3/2026

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Kwartalnik lipiec–wrzesień 3 (97) / 2026 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)

Nowa Europa Wschodnia

Ukraina. Przeszłość i teraźniejszość

Kowal | Portnow | Stryjek | Zacharow

Rosyjska gospodarka. Zadyszka niedźwiedzia

Szymon Kardaś

Edukacja w służbie Kremla

Dima Zicer

ROSJA NA CELOWNIKU UKRAINY

Agnieszka Żądło

Wojna o runet – służby kontra biznes

Paweł Jaskuła

ISSN 1899-5543 09
9 771899 554264

3/26

a.pl fbb6fb8ff4

REKLAMA

Nowa Europa Wschodnia
– zrozumieć, by widzieć dalej.



Zacznij prenumeratę.

www.kew.org.pl

eprasa.pl

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl fbb6fb8ff4

eprasa.pl

Historia, która łączy

Niekiedy jeden tekst w periodyku znacząco się wyróżnia i na długo pozostaje w pamięci. W bieżącym numerze „Nowej Europy Wschodniej" publikujemy teksty znakomitych Autorów i Autorek – wystarczy wspomnieć Jawhena Zacharowa – obrońcę praw człowieka, prof. Tomasza Stryjka, prof. Pawła Kowala czy Agnieszkę Żądło, która zastanawia się nad prawnym i moralnym aspektem ukraińskich ataków na Rosję. Jednak wywiad, którego udzielił NEW prof. Andrij Portnow, jest materiałem wyjątkowym i powinien na długo pozostać w pamięci czytelników i czytelniczek redagowanego przez nas periodyku. W rozmowie z Piotrem Leszczyńkim prof. Portnow nie koncentruje się na aspektach relacji polsko-ukraińskich, które omawiane są we wszystkich mediach (czy to prawicowych, czy lewicowych), a mówi o „wojnie pamięci" pomiędzy Warszawą i Kijowem i, co najważniejsze, daje przepis na jej zakończenie. Przytacza postaci i wydarzenia w relacjach naszych krajów – według niego, odwołanie się do nich umożliwi wzajemne pojednanie i sprawi, że opinia na temat relacji polsko-ukraińskich stanie się bardziej wyważona. Jako sąsiedzi prowadziliśmy wojny i dokonywaliśmy (sobie nawzajem) rzeczy okrutnych i nikczemnych, ale potrafiliśmy żyć we wspólnym państwie i ze sobą współpracować. Wywiad jest ważny szczególnie dziś, kiedy w Polsce obserwujemy falę ataków na uchodźców z Ukrainy, a internet przepełniony jest hejtem (którego część pozostaje wytworem rosyjskich trolli) wobec nich. Umacnianie polsko-ukraińskich więzi jest zadaniem na lata. Nie wykonamy go bez mądrej i konsekwentnej polityki wschodniej (o czym także piszemy w numerze), wysiłku organizacji pozarządowych, projektów kulturalnych. Ta praca chyba nigdy nie była tak ważna.

Redakcja

fbb6fb8ff4

eprasa.pl

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Tomaszem Stryjkiem **Starcie o narrację. Czy Ukraina próbuje przepisać historię?** ... 7

Publicystyka i analizy

Rozmowa z Jewhenem Zacharowem **Najpierw człowiek.** ... 25
Szymon Kardaś **Niedźwiedź łapie zadyszkę** ... 34
Rozmowa z Dimą Zicerem **Militarystyczni szturmowcy** ... 43
Paweł Jaskuła **Jak służby i biznes walczą o kontrolę nad runetem** ... 50
Miłosz Szymański **Bratobójstwo, czyli koniec dwuwładzy w Kirgistanie** ... 61
Ireneusz Dańko **Gorąca rosyjska patriotka** ... 70
Bartłomiej Krzysztan **Prometeizm, pragmatyzm, możliwości. Zwrot w Armenii a polska polityka zagraniczna** ... 79
Maciej Pieczyński **Z-pisarz przeciwko wojnie** ... 86
Zoriana Varenia **Szybka i długa droga Mychajła Drapatego** ... 96
Agnieszka Żądło **Zaawrócić wojnę do Rosji** ... 105

Reportaż

Piotr Andrusieczko **Najwyższa cena** ... 115

Rozmowa

Rozmowa z Pawłem Kowalem **Nic, co można uśrednić** ... 129

Prezentacja

Arto Paasilinna **Fin z wami!** ... 139
Patrick Leigh Fermor **Przerwana droga** ... 145

Historia

Rozmowa z Andrijem Portnowem **Pomiędzy solidarnością a konfliktem** ... 161
Rozmowa z Igorem Hałagidą **Powrót do badań podstawowych** ... 169

fbb6fb8ff4

Nowa Europa Wschodnia
Kwartalnik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kobylański, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 1300 egz.

eprasa.pl

Starcie o narrację
Czy Ukraina próbuje przepisać historię?

Z Tomaszem Stryjkiem, historykiem, znawcą stosunków polsko-ukraińskich, rozmawia Sonia Knapczyk-Tomalka

SONIA KNAPCZYK-TOMALKA: W ostatnich latach relacje polsko-ukraińskie bardzo mocno się zmieniały w związku z wojną na terytorium Ukrainy. Na chwilę spory historyczne między naszymi narodami zeszły na dalszy plan, a teraz znowu powróciły. Jak Pan ocenia tę sytuację z perspektywy historyka zajmującego się tematyką relacji polsko-ukraińskich?

TOMASZ STRYJEK: W okresie ponownego zaognienia relacji polsko-ukraińskich odnośnie do historii od dwu i pół roku nie dowiedzieliśmy się niczego nowego o wydarzeniach na Wołyniu, w Galicji Wschodniej czy na Chełmszczyźnie w latach 1943–1945. Źródła tego, o czym Pani mówi, czyli najpierw zejścia tej problematyki na dalszy plan, a potem jej gwałtownego powrotu, leżą w sferze procesów społeczno-politycznych, a nie w sferze badań historycznych. W 2019 roku władzę po wyborach objął prezydent Wołodymyr Zełenski, który na początku traktował kwestię pamięci historycznej jako drugorzędną – inaczej niż jego poprzednicy, Poroszenko i Juszczenko, oraz spora część ukraińskich polityków.

Następnie nastąpiła inwazja rosyjska i gwałtowny wzrost sympatii Polaków do Ukraińców. To sprawiło, że nie tylko strona ukraińska nie chciała wracać do tych spraw, ale i polscy politycy oraz polskie społeczeństwo – ze względu na wzrost empatii wywołany wybuchem konfliktu zbrojnego – nie podnosili tego tematu. Jeszcze w lipcu 2023 roku, przy kolejnej okrągłej rocznicy Wołynia, nie doszło do żadnego starcia, choć wcześniej takie rocznice, obchodzone co pięć lat, zwykle stawały się impulsem do dyskusji i sporu. Swoją rolę odegrał tu także prezydent Andrzej Duda, który – inaczej niż większość polskiej prawicy – starał się podtrzymywać nastrój pojednania. To się jednak zmieniło. Od jesieni 2023 roku obserwujemy zmianę nastrojów zarówno

fbb6fb8ff4

w społeczeństwie polskim, jak i ukraińskim.

Co spowodowało tę zmianę nastrojów po obu stronach?

Po stronie polskiej głównym źródłem jest mechanizm, który powtarza się w wielu krajach, do których nagle napływa duża liczba uchodźców czy imigrantów. Po początkowo dobrym, w polskim przypadku wyjątkowo dobrym, przyjęciu, po pewnym czasie pojawia się reakcja odwrotna – odrzucenie, niechęć, zawiść, oskarżenia. Ich źródłem są bieżące napięcia społeczne, ale skoro istnieje jeszcze argument historyczny – a w polskim przypadku istniał, tylko był zepchnięty na dalszy plan – to właśnie on trafia do zestawu zarzutów stawianych Ukraińcom. Co ciekawe, badamy teraz w Polsce młodzież szkolną, to, jak postrzega relacje polsko-ukraińskie, oraz rodziców – jak oceniają te relacje w szkołach swoich dzieci. Okazuje się, że sami Ukraińcy zgłaszają, że Wołyń stał się właściwie głównym tematem, przez pryzmat którego są odbierani. Chodzi o sytuacje przypadkowe – na przystanku autobusowym, gdy ktoś dowiaduje się, że rozmawia z młodym Ukraińcem, pyta go: „A co wy na ten temat sądzicie?" – z oczywistym oczekiwaniem, że odpowie jak „dobry Ukrainiec", czyli przyzna, że Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) dopuściła się zbrodni. W Polsce, w ciągu ostatnich niemal trzech lat, od kampanii wyborczej w październiku 2023 roku, a zwłaszcza podczas kampanii prezydenckiej w 2025 roku – kiedy kandydat na prezydenta Karol Nawrocki mocno podniósł stawkę w tej sprawie – doszło do tego, że temat ten stał się swego rodzaju „pałką", którą wygodnie jest „okładać" ukraińskich rezydentów w Polsce. Doprowadziło to do niedopuszczalnych sytuacji, w ostatnich tygodniach obserwujemy nawet przypadki przemocy fizycznej.

Ze strony ukraińskiej mamy natomiast inny moment: tam zdają sobie sprawę, że w Polsce nastąpiła zmiana nastrojów i że Polska ma się z czego tłumaczyć przed opinią publiczną Europy – właśnie z powodu takich siłowych, przemocowych incydentów, które przywołałem.

I tu przechodzimy do decyzji prezydenta Zełenskiego z maja 2026 roku, dotyczącej nadania jednej z jednostek ukraińskiej armii imienia bohaterów UPA.

W Kijowie zdano sobie sprawę, że to moment, w którym pozycja Polski jest osłabiona, a pozycja Ukrainy – wzmocniona. Wzmocniona sukcesem wojsk ukraińskich, jeśli chodzi o technologie dronowe, rakietowe i uderzenia w infrastrukturę energetyczną przeciwnika. To właśnie moment, w którym – jak mogli uznać w Kijowie – warto sprawę UPA podnieść, nie tylko na forum polsko-ukraińskim, ale i europejskim, utrzymując, że polska

eprasa.pl

narracja o sprawczości i odpowiedzialności UPA jest nieprawdziwa, a przynajmniej niekompletna, i że trzeba ją skorygować. Sądzę, że właśnie tak należy rozumieć decyzję Zełenskiego – pojawia się ona nieprzypadkowo w momencie wzrostu znaczenia Ukrainy. Mamy więc gotowy konflikt, którego źródła tkwią w nastrojach społecznych w Polsce i w reakcji na nie w Ukrainie, a także w zmianie pozycji obu krajów na arenie międzynarodowej. Ten wzrost znaczenia Ukrainy przekłada się właśnie na politykę historyczną, którą w tej fazie konfliktu zapoczątkował Zełenski.

Jak Pan ocenia decyzję polskiego prezydenta w tej sprawie? Czy odebranie Orderu Orła Białego było adekwatną odpowiedzią na działania Zełenskiego?

Nie była to decyzja adekwatna. Była arbitralna, podjęta z przekonaniem, że nieważne są konsekwencje – że trzeba tupnąć nogą i powiedzieć swoje, bronić swoich racji bez zważania na konsekwencje. To wejście w pewien rodzaj gestów politycznych o charakterze eskalacyjnym. Jak wiemy, ukraińska elita polityczna również zaczęła oddawać polskie odznaczenia. Na szczęście sprawa skończyła się na gestach symbolicznych i nie dotknęła sfery strategicznej, kluczowej dla obu państw. Decyzja o odebraniu odznaczenia niesie za sobą konsekwencje międzynarodowe. Nie da się bowiem radykalnie zmienić wizerunku UPA, jeśli chodzi o działalność tej organizacji do końca okupacji niemieckiej – a przecież o tym okresie mówimy.

Czy prezydent Nawrocki wykorzystuje tę sytuację, żeby budować własną politykę historyczną wobec Ukrainy i umocnić swoją pozycję – w sposób sprzeczny z tym, co w tej sprawie chciałby robić rząd Tuska? Czy działania prezydenta Zełenskiego dały mu do tego dobry pretekst?

Niewątpliwie tak, ponieważ jest to konsekwentna linia budowania przez prezydenta swojej pozycji na polskiej prawicy – linia, która zaczęła się jeszcze w okresie jego prezesury w IPN. Cofnijmy się tu do momentu, który mógł mieć wpływ na decyzję Zełenskiego, mianowicie do wizyty – pierwszego oficjalnego spotkania między prezydentami po elekcji Karola Nawrockiego – na którym podarował on Zełenskiemu dwa tomy wydane przez IPN, poświęcone zbrodni wołyńskiej. To była taka „dydaktyka" wprost. I w związku z tym wydaje się, że takie rozumienie polityki – budowanie przez prezydenta pozycji lidera całej prawicy, która jest coraz bardziej rozdrobniona i potrzebuje właśnie takiego punktu orientacyjnego, jakim może być prezydent dzięki jego stosunkowo silnej pozycji w systemie ustrojowym – najprawdopodobniej inspiruje jego działania.

fbb6fb8ff4

Wspomniał Pan, że w ostatnich latach badania związane z tematem zbrodni wołyńskiej nie przyniosły nic nowego. Jednak w ramach łagodzenia konfliktu Zełenski zapowiedział otwarcie archiwów – które są już otwarte – oraz zwiększenie liczby prac ekshumacyjnych. Czy to faktycznie jest jakieś realne działanie, czy raczej tylko gest PR-owy?

Otwarcie archiwów może świadczyć o tym, że Ukraina chce doprowadzić do poważnej korekty narracji, którą wytworzyli polscy historycy i polskie państwo. Pojawia się sugestia, że w archiwach może się znajdować coś, czego jeszcze nikt, przynajmniej spoza Ukrainy, nie widział. W tym właśnie upatruję źródła wypowiedzi Zełenskiego. Nadal nie wiemy, co to mogłoby być, i nie wydaje mi się, żeby faktycznie coś takiego w archiwach istniało. Chodzi raczej o spór o wiarygodność dotychczasowych źródeł historycznych. Źródła, które wskazują na sprawczość UPA, na przygotowanie i wykonanie planu działania przeciwko Polakom, pochodzą bowiem z zeznań złożonych przez niektórych dowódców UPA przed śledczymi NKWD – a więc już w 1945 roku, gdy konflikt polsko-ukraiński na Wołyniu i w Galicji Wschodniej był bliski zakończenia. Armia sowiecka zajęła zachodnią Ukrainę oraz Polskę, a NKWD przesłuchiwało ujętych dowódców UPA. Ci opowiadali o wewnętrznym konflikcie w kierownictwie OUN i UPA – że nie wszyscy uważali decyzje Dmytra Klaczkiwskiego, który jako pierwszy rozpoczął akcję na Wołyniu, za słuszną. Niektórzy uznawali to, co uczyniono wobec Polaków, wręcz za kompromitację. Ostatecznie jednak kontrolę przejęli ci – na czele z Romanem Szuchewyczem – którzy chcieli kontynuować tę akcję, i nie dość, że ją podtrzymali, to jeszcze rozszerzyli później na Galicję Wschodnią. Zeznania te zawierają treści, które – jak ukraińscy historycy mogą teraz przekonywać – i zresztą już wcześniej to sugerowali – mogły zostać wymuszone przez sowieckich śledczych i w związku z tym są nieprawdziwe. O to raczej chodzi, a nie o to, że mieliby ujawnić jakieś zupełnie nowe dokumenty. To jest raczej komunikat: chcemy zmiany narracji, adresowany nie tylko do Polski, ale i do międzynarodowej opinii publicznej.

A co z pracami ekshumacyjnymi?

Jeśli chodzi o ekshumacje, to jest to oczywiście działanie bardzo pozytywne. Zaczęło się wskutek porozumienia między rządem Polski a władzami Ukrainy w 2025 roku. To zasługa ministra Pawła Kowala oraz ministra Andrija Sybihy. Strony zamierzają kontynuować ekshumacje i bardzo dobrze – z tym, że to może nie rozwiązać sporu o sprawstwo i odpowiedzialność zbrodni. W szczególności chodzi o liczbę zamordowanych, bo

eprasa.pl



Archiwum prywatne

Otwarcie ukraińskich archiwów może świadczyć o tym, że Ukraina chce doprowadzić do poważnej korekty narracji, którą wytworzyli polscy historycy i polskie państwo. Pojawia się sugestia, że w archiwach może się znajdować coś, czego jeszcze nikt, przynajmniej spoza Ukrainy, nie widział.

kwestia odpowiedzialności wiąże się z liczbą ofiar – im większe straty polskie, tym bardziej niepodważalna odpowiedzialność UPA. A przecież ekshumacje nie wykażą takiej liczby ofiar, jaką szacują polscy historycy, to po prostu niemożliwe! Nawet jeśli straty były tak duże, jak się szacuje, nie da się odnaleźć wszystkich ofiar. Odnajdzie się może połowa – to będzie maksimum, na jakie można liczyć. Wtedy nadal w Ukrainie będzie można w dyskusji o odpowiedzialności UPA podnosić argument, że Polacy nie wykazali pełnej liczby ofiar – wykazali połowę, co oznacza, że przesadzają. W związku z tym cała polska interpretacja roli UPA będzie przedstawiana jako częściowo nieprawdziwa. W ten sposób można się w kółko przerzucać argumentami. Niemniej samo wykonywanie ekshumacji oceniam jako bardzo pozytywne, bo daje ono prawo do godnego pochówku ofiarom – do upamiętnienia ich i zaspokojenia oczekiwań ich rodzin. To proces, który powinien być kontynuowany.

Prezydent Zełenski zapowiada utworzenie Panteonu Bohaterów Narodowych, w którym liderzy OUN i dowódcy UPA mają zostać wyniesieni do rangi bohaterów narodowych. Czy to będzie kolej-

fbb6fb8ff4

na eskalacja konfliktu z Polską? Dlaczego – być może to tylko polska perspektywa, ale to właśnie wybrzmiewa w naszych mediach – Ukraińcy akcentują w tym panteonie akurat liderów UPA?

Po pierwsze, uważam, że nie mają racji komentatorzy, którzy twierdzą, że Panteon – w sprawie którego jest już ustawa w Radzie Najwyższej, a który ma stanąć w Ławrze Peczerskiej w centrum Kijowa – będzie miejscem, którego odwiedzenie wejdzie do protokołu dyplomatycznego wizyt zagranicznych gości. Sądzę, że takim miejscem będzie nowy cmentarz pod Kijowem, na którym chowani są bohaterowie obecnej wojny. To miejsce nie budzi kontrowersji. Argumenty niektórych polskich komentatorów, że nikt do Panteonu nie pojedzie, bo nikt nie będzie chciał zetknąć się z upamiętnieniem ludzi odpowiedzialnych za zbrodnię, i że Ukraina strzela sobie w ten sposób w stopę, są – moim zdaniem – błędne. Goście będą po prostu zawożeni na cmentarz pod Kijowem.

Po drugie, oczywiście chodzi tu o Banderę, Szuchewycza i Klaczkiwskiego. Banderę można ekshumować z Monachium. Klaczkiwskiego nie można – nie wiadomo, co stało się z jego ciałem, Szuchewycza też nie. W tych przypadkach może się więc skończyć na upamiętnieniach w formie tablic, nie na rzeczywistych pochówkach. Niemniej za każdym razem będzie to wywoływać konflikt z Polską.

Odpowiadając na Pani pytanie, dlaczego akcent pada właśnie na tych konkretnych liderów OUN i dowódców UPA, a nie na kogoś innego z historii Ukrainy – mógłby paść na przykład na uczestników wojny o niepodległość 1918–1921 czy nawet na uczestników wojen kozackich o niezależność od Rosji i Polski – myślę, że chodzi o to, aby wykazać, że byli oni w tej historii postaciami pierwszorzędnymi. We wszystkich przypadkach konfliktów, w których stawką są granice i niezależność po 1991 roku w Europie Środkowo-Wschodniej, widzimy, że to właśnie etos walki z komunizmem i zagrażającymi z zewnątrz niepodległości siłami imperialnymi – w przypadku Ukrainy i państw bałtyckich jest to Rosja, a w przypadku Chorwacji Serbia – wysuwa się na pierwszy plan. Ten etos ma w sobie coś z postawy *contra mundum* – „zostaliśmy sami, wszyscy nas opuścili, tylko sami możemy przetrwać". Mimo że tamci w latach czterdziestych XX wieku ponieśli porażkę – przegrali zarówno chorwaccy ustasze i ich następcy *križari*, jak i „leśni bracia" w krajach bałtyckich – to jednak ich niezłomność pozostaje motywem, który współczesnym obrońcom niepodległości nasuwa się w pierwszej kolejności.

W czym objawia się ta postawa we współczesnej Ukrainie?

Widać to w dzisiejszej armii, a zwłaszcza w jej ochotniczej czę-

eprasa.pl

ści: w pierwszym rzędzie tej, która poszła na front w związku z partią Korpus Narodowy, którą kierował Andrij Biłecki, dowodzący aktualnie trzecim korpusem armijnym regularnej armii na froncie rosyjsko-ukraińskim. Etos UPA wraca jako źródło i punkt odniesienia, to, co faktycznie się wydarzyło, schodzi na dalszy plan. Podkreślam przy tym, że te paralele między przypadkami bałtyckimi, gdzie po 1991 roku nie było wojny z Rosją, ale szereg konfliktów i symbolicznych prób podważania ich suwerenności, przypadkiem wojny chorwacko-serbskiej w latach 1991–1995 oraz przypadkiem rosyjsko-ukraińskim, dotyczą rozprzestrzeniania się popularności tego etosu i symboli walki z lat czterdziestych XX wieku, a nie bliskości czy identyczności samych wydarzeń historycznych, bo te są różne. Jeśli chodzi o przypadek Niezależnego Państwa Chorwackiego i ustaszy, którzy w czasie II wojny światowej popełnili zbrodnie na serbskiej ludności cywilnej – można powiedzieć, drugie co do skali po niemieckich w Europie Południowo-Wschodniej – historyczna paralela jest wątpliwa. UPA rzeczywiście zamordowała bardzo wielu cywilów, przede wszystkim Polaków, ale nie była państwem zorganizowanym, satelitą III Rzeszy, nie wytworzyła rasistowskich aktów prawnych nawołujących do zabijania. Niemniej ten etos walki, która kończy się przegraną, ale trwa do końca, przeciwko wszystkim – działa wszędzie, a jego kontynuatorzy nie zważają na to, jakie były przewiny poprzedników.

Wydaje się, że Chorwacja poradziła sobie ze swoją historią.

Chorwacja jest tu bardzo ciekawym przykładem sporów prawnych o to, jakich symboli można używać. W czasie wojny 1991–1995, w obronie przed rozpadającą się Jugosławią, a faktycznie przeciwko Serbom w Chorwacji i wspierającej ich armii jugosłowiańskiej, powstały oddziały, które wprost odwoływały się do jednostek armii ustaszowskiej z lat 1941–1945, używając tych samych symboli i haseł. Państwo chorwackie stoi więc przed problemem: jedni są zbrodniarzami, drudzy – niepodważalnymi bohaterami wojny lat dziewięćdziesiątych, a używali tych samych haseł i symboli. Warto prześledzić, jak to wygląda dziś, trzydzieści lat po tamtej wojnie – 5 sierpnia, w dzień święta państwowego, przypada kolejna rocznica dorocznego zjazdu weteranów w Kninie w zachodniej Chorwacji. Jak rozdzielić: kto używa tych symboli i z jaką intencją – żeby czcić bohaterów czy także zbrodniarzy? Stąd całe akty prawne i procesy próbujące to rozstrzygać.

W przypadku ukraińskim jest inaczej, bo, jak mówiłem, państwo ukraińskie nie bierze odpowiedzialności za UPA, ponieważ nie było wtedy państwa ukraińskiego, tylko partyzantka.

fbb6fb8ff4

Antypolska akcja UPA nie miała też charakteru tak systematycznego, jak próba pozbycia się Serbów z terytorium Chorwacji, więc paralela historyczna zachodzi tylko w niewielkim stopniu. I jak mówiłem na początku, władze Ukrainy dążą do zmiany narracji, by pokazać, że ruch UPA był przede wszystkim ruchem antykolonialnym, a nie nacjonalistycznym, w którym kolonizatorzy – Polacy i „Moskale" mieli zniknąć z ziemi ukraińskiej. Miał to być ruch wyzwolenia spod panowania obcych – wszystkich obcych – w którym gniew ludu przeciwko uciskowi rządzi się swoimi prawami. To właśnie narracja, do której, jak sądzę, zmierza państwo ukraińskie, co w Polsce spotyka się z odrzuceniem. Chorwacja natomiast po trwających w latach dziewięćdziesiątych próbach uniknięcia odpowiedzialności ostatecznie ją przyjęła – uznała, że Niepodległe Państwo Chorwackie rzeczywiście mordowało. Nie zgodziła się nazwać tego ludobójstwem, ale przyznała, że dochodziło do masowych zabójstw. Stało się to w procesie jej akcesji do Unii Europejskiej.

Zatrzymajmy się przy kwestii akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej. Pojawiła się rezolucja Parlamentu Europejskiego potępiająca banderyzm. Co wydarzy się w związku z tym w Ukrainie – czy znajdzie się tam na tyle odwagi, żeby zrobić tak, jak zrobiła Chorwacja, czyli wziąć odpowiedzialność za to, co się wydarzyło, także w kontekście utrzymania dobrych relacji z Polską? Czy też Ukraina – silna dziś ze względu na sukcesy na froncie oraz doświadczenie zdobyte w walce z Rosją – będzie się upierać przy swojej wersji wydarzeń? Czy jest szansa, żeby wyjść z tego impasu?

Rzeczywiście taka rezolucja powstała, a przeprowadzili ją głównie polscy eurodeputowani z obozu rządzącego oraz niemieccy – referentem tej sprawy był poseł niemiecki z tej samej frakcji, Europejskiej Partii Ludowej. Trzeba jednak zauważyć, że sformułowania, jakie się tam pojawiają, moim zdaniem, dość słabo przekładają się na europejską opinię publiczną. Napisano tam, że Ukraina w swojej polityce historycznej nie uwzględnia polskiej wrażliwości na wydarzenia z czasów II wojny światowej, w trakcie których popełniono zbrodnie. Nie ma tam natomiast stwierdzenia, że polityka prezydenta Zełenskiego wchodzi w konflikt z wartościami, na których opiera się Unia Europejska. Poza Polakami raczej nikogo specjalnie to nie porusza. Dla większości obserwatorów w innych krajach to jest spór polsko-ukraiński, który trafił na forum unijne, ale pozostanie sporem polsko-ukraińskim. Podobnie jak istnieją inne spory historyczne w Unii – Chorwacja próbowała już spowolnić negocjacje akcesyjne Serbii, a jeszcze mocniej Bułgaria ostatnio próbuje blokować negocjacje Mace-

eprasa.pl

donii Północnej. Podobnie jak w tych sprawach, decydenci głównych krajów unijnych będą się raczej przyglądać temu sporowi między państwami w Europie – patrząc z ich perspektywy Europie Wschodniej – z dystansem. Będą rozumowali w następujący sposób: wszędzie w tym regionie był nacjonalizm i nic nie jest proste ani jednoznaczne. Nie sądzę, żeby po tej rezolucji ukształtowała się w Europie zintegrowana opinia publiczna, która domagałaby się od Ukrainy zmiany podejścia do UPA. Wspomniana rezolucja to pewien sukces polskiej dyplomacji, ale niewielki. Sądzę, że ostatecznie ten spór będzie się toczył między Polską a Ukrainą, a nie między Europą a Ukrainą – i że raczej nie uda się go pogłębić ani utrwalić na poziomie unijnym. O akcesji Ukrainy do Unii będą decydować przede wszystkim względy strategiczne – one przemawiają również do Polaków, którzy myślą strategicznie, a nie wyłącznie w kategoriach historycznych czy ekonomicznych (bo to jeszcze inne pole oporu wobec wpuszczenia ukraińskiej gospodarki do Unii). Jeśli chodzi o argumenty strategiczne, są one w Polsce takie same jak w Niemczech czy we Francji: Ukraina jest potrzebna, bo dzięki swojej energii, doświadczeniu i determinacji podnosi ogólny europejski potencjał obronny w bardzo trudnych czasach. Wszystko będzie zależało od tego, jaki rząd będzie sprawować władzę w Polsce. Jeśli, jak mówiliśmy na początku, prezydent zbuduje prawicową koalicję, która będzie rządzić przez wiele lat – a negocjacje akcesyjne Ukrainy również potrwają wiele lat – to kto wie, może rzeczywiście dojść do próby powstrzymania tego procesu przez nieratyfikowanie traktatu.

Nie ma postępów, jeśli chodzi o badania, ale czy w ogóle prowadzony jest dialog z historykami ukraińskimi? Czy został zamrożony na czas wojny?

Mamy przykrą sytuację. Dialog historyków był zawieszony w związku z decyzją strony polskiej o wprowadzeniu do kodeksu karnego zakazu tzw. banderyzacji pod groźbą kary więzienia oraz postanowieniem strony ukraińskiej o zawieszeniu ekshumacji. Od 2018 roku, jeśli chodzi o II wojnę światową, dialog ten właściwie się nie toczył do wiosny tego roku, kiedy z inicjatywy ministra Kowala, przy zaangażowaniu Centrum Mieroszewskiego oraz przy współpracy z Ukraińskim Instytutem Pamięci Narodowej, doszło do pierwszego od bardzo wielu lat kongresu historyków polskich i ukraińskich. Proszę mi wierzyć: ludzie, którzy wcześniej ze sobą współpracowali i rozmawiali, nie widzieli się po osiem, dziewięć lat. Spotkali się na początku maja w Baranowie Sandomierskim i panowała bardzo dobra atmosfera. Oczywiście nie udało się rozstrzygnąć wszystkiego – to niemożliwe – pozostały różnice zdań, ale byli

fbb6fb8ff4

na dobrej drodze do tego, żeby wznowić owocne relacje. Jednak prezydent Zełenski swoją decyzją podważył cały ten wysiłek. Nie potrafię powiedzieć, jak dalej się to potoczy. Są jeszcze inne inicjatywy – na przykład próba przygotowania podstaw metodycznych do wspólnego podręcznika do nauczania historii polsko-ukraińskiej. Historycy nie składają broni i nie rozkładają rąk, pewne procesy nadal się toczą, choć klimat w ostatnich tygodniach zdecydowanie się pogłębił.

Jak w Pana ocenie będzie wyglądać polityka historyczna wobec Ukrainy? Czy nastąpi dalsze zaostrzanie kursu, czy raczej będziemy mieć do czynienia z punktowymi kryzysami pojawiającymi się od czasu do czasu?

Sądzę, że przy obecnym układzie politycznym – czyli kohabitacji, niezależnie od tego, czy prezydent jest z prawicy, a rząd z centrum, czy odwrotnie – nie dojdzie do pełnego zaostrzenia kursu. Będą raczej kryzysy, podobne do tego ostatniego. Gdyby jednak doszło do pełnego przejęcia władzy wykonawczej w Polsce przez prawicę, wtedy rzeczywiście nie potrafiłbym być optymistą. Wspomniane przeze mnie badania pokazują, że w Polsce wszyscy wiedzą, o co chodzi z Wołyniem – uczniowie, rodzice… Chociaż uczniowie niekoniecznie wiedzą dokładnie, co się tam wydarzyło, czasem mylą Wołyń z Katyniem – ale co do tego, że jest to sprawa, z której Ukraina powinna się rozliczyć, panuje pełna zgoda społeczna. Jednak Polska osiągnęła efekt, który jest w pewnym sensie pułapką: to poczucie zgody wewnętrznej nie daje jej realnej możliwości załatwienia sprawy na zewnątrz. I nic nie wskazuje na to, żeby udało się ją załatwić tak, jak opinia publiczna tego oczekuje – to znaczy, żeby Ukraina podjęła działania, których od lat domagano się w uchwałach sejmu, w tym uznanie tych wydarzeń za ludobójstwo. Nie widać instrumentów dyplomatycznych, których użycie miałoby to osiągnąć. W związku z tym obawiam się powrotu do stanu przypominającego zimną wojnę w tej części stosunków polsko-ukraińskich, która dotyczy przeszłości.

Dr hab. Tomasz Stryjek jest historykiem i politologiem. Specjalizuje się m.in. w problematyce pamięci. Autor wielu publikacji dotyczących historii Ukrainy. W 2014 roku został uhonorowany Nagrodą im. Jerzego Giedroycia za książkę *Wojna po wojnie. Antysowieckie podziemie w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1953*, której jest współautorem.

eprasa.pl

REKLAMA



NOWOŚĆ

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej

Historie ukraińskich kobiet – pełne bólu, gniewu i wściekłości – które w obliczu wojny zachowują siłę i wolę życia.

Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

fbb6fb8ff4

REKLAMA

NOWOŚĆ

Nowa książka wydawnictwa KEW

*Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci **spojrzeć szerzej.***

www.kew.org.pl

Kolegium Europy Wschodniej



eprasa.pl

REKLAMA



NOWOŚĆ

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej

Wiersze Mort są ponadczasowe, precyzyjne, wyostrzone, stworzone tak, by przetrwać więcej niż jedno życie.

Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

fbb6fb8ff4

REKLAMA

nowa seria
KEW
Kolegium Europy Wschodniej

SKĄD
inąd



Nowa seria wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl

REKLAMA

Nowość Wydawnictwa KEW



fbb6fb8ff4

REKLAMA



WDZIĘCZNI

© 2020–2024 NOWA EUROPA WSCHODNIA ONLINE ISSN: 2084-3992

eprasa.pl

REKLAMA

dr **Piotr Tarczyński**

współautor „Podkastu Amerykańskiego”

Oślizgłe macki, wiadome siły

HISTORIA AMERYKI W TEORIACH SPISKOWYCH



Cała prawda o teoriach spiskowych, które zbudowały Amerykę

”*Uwielbiam teorie spiskowe, im bardziej szalone tym lepiej. USA są w tej dziedzinie potęgą, a* ***Piotr Tarczyński jest wspaniałym przewodnikiem po światach równoległych.***

MARCIN MELLER

”*Piotr Tarczyński z pasją ukazuje, jak tropiciele spisków, mentalni płaskoziemcy i mieszkańcy rzeczywistości alternatywnych zapanowali nad masową wyobraźnią. I polityką. A może zawiązali przeciw nam wielki spisek?* ***Ta książka to przepyszne antidotum i cięta riposta****. Bo Tarczyński rozmontowuje szurskie opowieści i pseudoargumenty do ostatniej śrubki.* ***Czytajcie, szerujcie, kupujcie na prezenty, a teoriom spiskowym wypadną wszystkie zęby!***

ARTUR DOMOSŁAWSKI

znak litera nova

fbb6fb8ff4

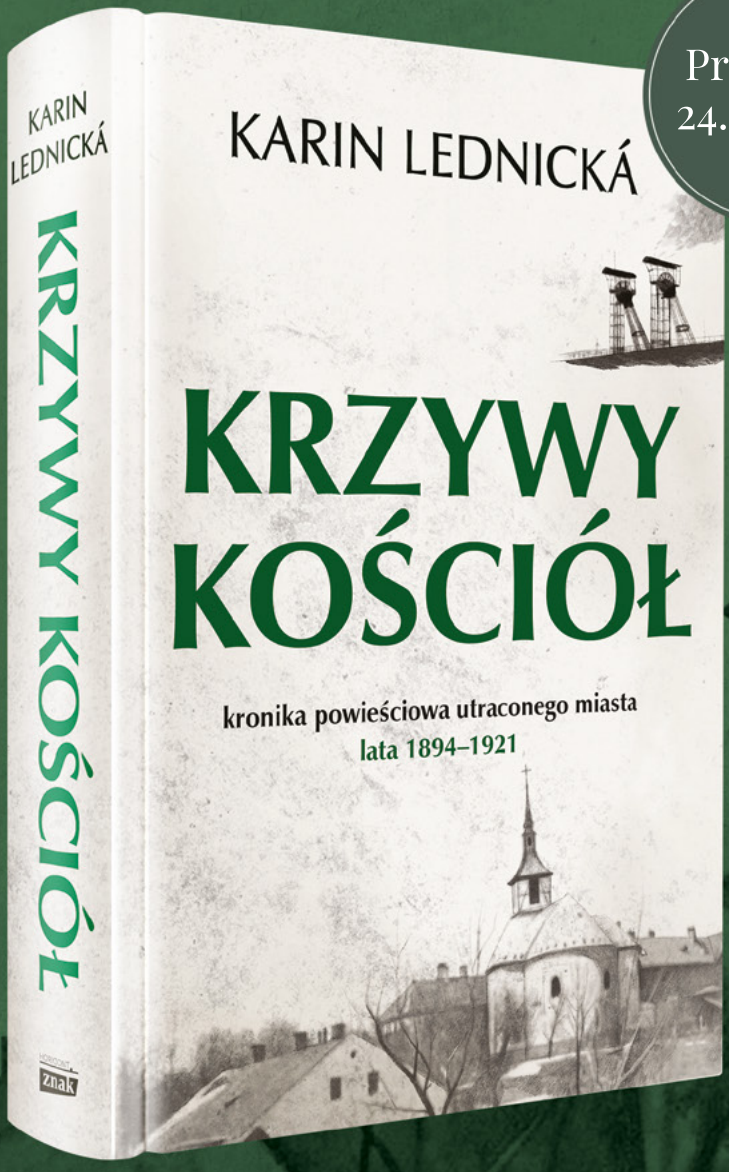
REKLAMA

Czeski fenomen już w Polsce!

Karin Lednická

Krzywy kościół

Kronika powieściowa utraconego miasta: lata 1894–1921



Premiera 24.09.2025

tłum. prof. Joanna Goszczyńska

Najpierw człowiek

Z Jewhenem Zacharowem, ukraińskim obrońcą praw człowieka, rozmawia Urszula Pieczek

URSZULA PIECZEK: Całe swoje dorosłe życie poświęcił Pan obronie praw człowieka. Jak zmieniła się rola obrońcy praw człowieka w ostatnim czasie? Czy w ogóle można mówić o prawach człowieka w czasie wojny?
JEWHEN ZACHAROW: Jesteśmy zobowiązani mówić o prawach człowieka podczas wojny. Naruszeń tych praw w czasie wojny jest znacznie więcej niż w okresie pokoju. I nie dotyczy to wyłącznie działań agresora. Pojawiają się zjawiska, których wcześniej nie było, i są to straszne rzeczy. Mówimy o zabójstwach, torturach, gwałtach i przemocy seksualnej. Dokonuje się celowych zabójstw ludności cywilnej, osób niemających żadnego związku z wojną. Dochodzi do ataków na obiekty cywilne. Często są to zabójstwa umyślne: strzelają snajperzy, a drony atakują także ludzi, którzy próbują ratować się przed wojną i wydostać z miejsc objętych walkami, jak było w Mariupolu i innych miastach.

To również zbrodnie przeciwko dziedzictwu kulturowemu Ukrainy – ataki na zabytki, grabież muzeów, wywożenie wszystkiego, do czego Rosjanie mają dostęp – pomników, muzeów, cerkwi. Dochodzi do niszczenia całych miast: Izium, Wołczańsk, Pokrowsk, ostatnio Konstantynówka. To ogromna fala zbrodni. Powiem więcej: po II wojnie światowej w Europie czegoś takiego nie było. Ale podczas wojny również ukraińskie organy państwowe naruszają prawa człowieka. Muszę to przyznać. Dzieje się tak w różnych sferach i mógłbym o tym długo opowiadać.

Co ma Pan na myśli?

Jeżeli nie będziemy świadomi ukraińskich naruszeń, to po zwycięstwie będziemy mieli problem. A ja wierzę, że Ukraina tę wojnę wygra i że Rosja nie będzie w stanie jej dalej prowadzić. Jej gospodarka weszła na drogę, z której nie ma odwrotu, i prędzej czy później nastąpi tam poważny kryzys. Trudno powiedzieć dokładnie, kiedy, być może nawet w tym roku, a jeśli nie, to w przyszłym. Spodziewam się zmiany sytuacji i zakończenia wojny. Tym bardziej że ukraińskie siły zbrojne w dużej mierze odbierają Rosji możliwość prowadzenia wojny: atakują centra logistyczne, miejsca wystrzeliwania rakiet, okręty i infrastrukturę wojskową.

Wojna wywołała jednak również ogromną nienawiść wobec Rosjan i wobec tych, którzy w Ukrainie ją wspierają.

fbb6fb8ff4

To prawda. Jest ogromna nienawiść wobec Rosjan, a także wobec tych, których w Ukrainie nazywa się „żdunami" – ludzi, którzy czekają na rosyjską armię i chcą, żeby Ukraina przegrała. Dlatego postępowania karne wobec kolaborantów cieszą się w społeczeństwie dużym poparciem. Ludzie często jednak nie zastanawiają się, kogo dokładnie ściga się i za co. Oczywiście, jeśli ktoś naprowadza rosyjską artylerię na cele, przekazuje informacje o rozmieszczeniu naszych wojsk czy wskazuje konkretne obiekty, jest kolaborantem. To zdrada i takie osoby powinny ponosić odpowiedzialność. I tak właśnie się dzieje.

Mam natomiast wątpliwości w wielu innych przypadkach. Na przykład pociąga się do odpowiedzialności nauczycieli, którzy poszli pracować w czasie okupacji. Mogę jeszcze zrozumieć sytuację, kiedy nauczyciel przedmiotów humanistycznych zaczyna wykładać historię czy literaturę w rosyjskim duchu. Ale jeśli chodzi o matematykę czy fizykę, tego już nie rozumiem.

Pociąga się też do odpowiedzialności lekarzy. A przecież lekarz, niezależnie od sytuacji, powinien wykonywać swój zawód i leczyć ludzi. Zdarza się również, że odpowiedzialność ponoszą pracownicy służb komunalnych czy osoby, które wykonywały funkcje w okupacyjnych strukturach.

Weźmy przykład przewodniczącego rady, który pozostał na miejscu podczas okupacji. Rosjanie każą mu nadal wykonywać obowiązki, zostać lokalnym przedstawicielem i pracować dla swojej gminy. On to robi. Kiedy terytorium zostaje wyzwolone, zostaje jednak pociągnięty do odpowiedzialności właśnie za to, że wykonywał te obowiązki. Kary mogą być bardzo wysokie. Ludzie często absolutnie nie rozumieją, dlaczego zostali pociągnięci do odpowiedzialności, skoro w ich przekonaniu po prostu próbowali pracować dla swojej gminy, zdobywać opał czy żywność.

Trzeba pamiętać, że ludzie żyjący pod okupacją znajdowali się w sytuacji bezwzględnego przymusu. Bardzo wiele zależy od tego, jak i w jakim zakresie dana osoba wykonywała swoje funkcje. Wszystko wymaga analizy: konkretnych spraw sądowych i konkretnych wyroków. Uważam, że niektóre z tych wyroków są co najmniej zbyt surowe.

Nie jestem też pewien, czy prawidłowo wyznaczono granicę między kolaborantami a ludźmi, którzy znaleźli się pod okupacją i próbowali po prostu przetrwać.

A jak w tej sytuacji wygląda wasza rola jako organizacji praw człowieka? Co można zrobić?

Charkowska Organizacja na Rzecz Praw Człowieka w zasadzie wszystkie swoje zasoby skierowała na pomoc tym, którzy ucierpieli w wyniku wojny. Pracujemy nie tylko w obwodzie charkowskim. Mamy biura w Kijowie i Mikołajowie. Było też biuro w Sumach, dopóki nie zostało zbombardowane. Na szczęście stało się to w nocy, kiedy nikogo tam nie było.

eprasa.pl

Rejestrowanie rosyjskich zbrodni pochłania praktycznie wszystkie nasze zasoby. A jednocześnie nie możemy systematycznie zapewniać pomocy prawnej osobom, które ucierpiały w wyniku naruszeń praw człowieka ze strony ukraińskich władz.

Trzeba powiedzieć jasno: każdy, nawet przestępca, ma prawo do obrony i do adwokata, który będzie go bronił. Adwokaci występują w takich sprawach, ale muszę powiedzieć, że często spotykają się z bardzo ostrym stosunkiem do oskarżonych. Ich również uważa się za niegodziwców. Ryzykują atakami, obrażaniem i innymi formami nacisku.

My po prostu nie mamy na to wystarczających zasobów. Kiedy stajemy przed pytaniem, komu pomóc – osobom, które były torturowane przez Rosjan i potrzebują pomocy psychologicznej, prawnej, rzeczowej czy medycznej, czy osobom, które ucierpiały w wyniku naruszeń praw człowieka ze strony ukraińskich władz – nasze możliwości są ograniczone.

To nie znaczy, że niczego nie robimy. Ostatnio zajmowaliśmy się analizą takich problemów, badamy wyroki sądowe i niektóre sprawy dotyczące bezpieczeństwa państwa. Jeśli widzimy problem ze sprawiedliwością, piszemy o nim.

Za każdym razem pojawia się jednak pytanie: czy ktoś nie wykorzysta naszych tekstów przeciwko ukraińskim władzom, czyli przeciwko państwu, które prowadzi wojnę? To nas istotnie powstrzymuje. Często zwracamy się do organów państwowych w sprawie naruszeń praw człowieka, ale nie publikujemy tych informacji publicznie, żeby nie mógł ich wykorzystać przeciwnik. To rzeczywiście bardzo trudny problem.

Bo często ukraińskie organy władzy działają w sposób przypominający rosyjskie praktyki. Dobrym przykładem jest działalność związana z mobilizacją, kiedy ludzi po prostu zatrzymuje się czy zabiera siłą. Przecież podobne rzeczy robiła Rosja. Po co mamy powtarzać rosyjskie mechanizmy?

Wojnę może wygrać tylko demokratyczne państwo, które zupełnie inaczej podchodzi do wielu kwestii. I muszę powiedzieć, że w tym sensie obserwujemy u nas nieustanną walkę starych, sowieckich praktyk z ludźmi, którzy chcą żyć jako wolni i niezależni obywatele.

Ta walka odbywa się we wszystkich sferach życia. Nawet w siłach zbrojnych. Bardzo wiele zależy od tego, kto dowodzi konkretnym oddziałem. Jest dowódca starej, sowieckiej formacji, który nie liczy się z ludźmi. Dla niego najważniejsze jest wykonanie rozkazu, niezależnie od tego, ilu ludzi przy tym zginie. Ale są też tacy, którzy nie chcą wykonywać głupich rozkazów. Tacy, którzy chronią ludzi i naprawdę przeżywają straty w swoim oddziale. To również widzimy.

Czyli konflikt między „starym" a „nowym" porządkiem państwowym jest wciąż widoczny?

Tak. Można to obserwować we wszystkich sferach życia. Wiele rzeczy pozostało – praktyki, których właściwie nawet

fbb6fb8ff4

nie usunęliśmy. Podam przykład. Wiadomo, że ogromna liczba wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka przeciwko Ukrainie dotyczyła niewypłacania ludziom wynagrodzeń albo innych należnych świadczeń. Ludzie szli do sądu, otrzymywali wyrok i tytuł wykonawczy, ale państwo mówiło: najpierw przedsiębiorstwo ma rozliczyć się z państwem, spłacić swoje zobowiązania wobec państwa, a dopiero potem wypłacimy pieniądze ludziom. I tych pieniędzy ludziom nie wypłacano. Wtedy szli do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Duża część wyroków przeciwko Ukrainie dotyczyła naruszenia prawa do sprawiedliwego sądu właśnie dlatego, że wyroki sądów nie były wykonywane. Jeżeli wyrok sądu nie jest wykonywany, prawo do sądu staje się iluzoryczne. Faktycznie go nie ma. Ta historia trwała bardzo długo. Co więcej, państwo wprowadzało ustawy ustanawiające moratoria na wypłatę zasądzonych należności.

Czasami zastanawiam się, dlaczego nikt nie porównuje tego z pewnymi praktykami z czasów stalinowskich. Wtedy najpierw trzeba było wykonać plan dostaw zboża, a dopiero później można było rozliczać się z własną wsią. Plan był nierealny i w rezultacie doprowadził do sztucznego głodu. Oczywiście nie twierdzę, że dzisiejsza sytuacja jest tym samym. Chodzi mi o pewien sposób myślenia: państwo stawia swoje zobowiązania ponad prawami człowieka i uznaje, że może odsunąć wypłatę należnych ludziom pieniędzy.

Podam jeszcze jeden przykład. Państwo miało każdego lata wypłacać nauczycielom, poza wynagrodzeniem za urlop, dodatkowe środki na cele zdrowotne. Nigdy tego nie robiło. Ludzie poszli do Europejskiego Trybunału, który uznał, że skoro ustawa przewidywała te wypłaty, ich niewypłacanie było naruszeniem prawa. Nie wiem, czy wszystkim osobom, którym przez wiele lat zalegano z tymi świadczeniami, ostatecznie wypłacono należne pieniądze. Wiem natomiast, że takich wyroków było bardzo dużo.

Wróćmy do sedna Pańskiej działalności. Jak zmieniły się metody rosyjskich zbrodni od początku wojny?

Obecnie znacznie wyraźniej widać ataki na obiekty cywilne. One były cały czas, ale teraz stało się to jeszcze bardziej widoczne, również w związku ze zmianą technologii. Pojawiły się drony, które znacznie rozszerzyły przestrzeń, w której Rosjanie mogą atakować ludzi. Dotyczy to całego Chersonia, Sum, Zaporoża. Zagrożeniem są już nie tylko rakiety balistyczne, ale także drony. Podobnie jest w okolicach Charkowa. W obwodzie charkowskim nawet podróżowanie pociągiem stało się bardzo ryzykowne, ponieważ pojawiają się drony, które mogą po prostu ostrzelać pojazd. One polują na cywilów. W Chersoniu są także snajperzy. Bardzo ryzykowne jest wychodzenie na ulicę, przebywanie na nabrzeżu, szczególnie jesienią i zimą, kiedy nie ma liści na drzewach. Ostrzał prowadzony jest z przeciwległego brzegu rzeki.

eprasa.pl

W rezultacie w tym roku zginęło więcej cywilów niż w poprzednich latach. Dane, które znam, pokazują, że w lipcu liczba ofiar cywilnych była o około 70 procent większa niż w lipcu poprzedniego roku. Do tego dochodzą rakiety balistyczne. Niestety nie mamy obecnie wystarczającej liczby środków, które mogłyby je przechwytywać. Podczas ostatnich ataków na Kijów nie udało się zestrzelić żadnej z nich. Te zbrodnie stają się coraz bardziej odczuwalne, a zagrożenie coraz większe.

Rosjanie, nie osiągając oczekiwanych rezultatów na polu walki, przesuwają środek ciężkości na ataki na obiekty cywilne. Chcą ponownie pozbawić nas dostępu do elektryczności, ciepła i gazu, a teraz również wody. Pojawiły się też ataki na pociągi, na przykład w niedawnym uderzeniu na kolej w Odessie zginęli maszynista i jego pomocnik. Załoga doprowadziła jednak pociąg do końca trasy i ewakuowała ludzi. To nie jest pierwsza taka sytuacja.

Kiedy jadę do Charkowa, muszę liczyć się z dużym prawdopodobieństwem, że w razie zagrożenia będziemy musieli opuścić pociąg i czekać na zewnątrz. A jeśli zdarzy się to w polu, nie ma właściwie żadnego schronienia. Postój może trwać nawet dwie czy trzy godziny. Moje dzieci znalazły się w dokładnie takiej sytuacji. Drony latały nad nimi i trudno było powiedzieć, co będzie dalej.

To jest również ogromna presja psychiczna. Czeka nas bardzo trudna zima. To już zostało zapowiedziane i jest jasne, że sytuacja może być ciężka. Ludzie próbują przygotowywać alternatywne źródła energii. Ale warunki są różne. Są osoby, które nie mają gazu i wszystkie urządzenia w ich domu działają na prąd. Jeżeli zabraknie im elektryczności, nie będą mogły funkcjonować.

Z wodą jest jeszcze trudniej. Można wozić ją z rezerwowych źródeł, korzystać ze studni artezyjskich, ale nie jest to proste. W poprzednich latach przerwy w dostawach były krótkie. W tym roku może być gorzej. To będzie problem. I może się zdarzyć, że ludzie, którzy nie chcą wyjeżdżać, będą po prostu do tego zmuszeni.

Uważa Pan, że Rosja mimo to przegra wojnę?

Tak. Uważam, że Rosja nie wytrzyma. Z jednej strony pogłębia się kryzys rosyjskiej gospodarki. On będzie narastał i nie widzę dla Rosji wyjścia z tej sytuacji. Pytanie tylko, kiedy to nastąpi i jak długo będzie mogło się ciągnąć. Z drugiej strony Rosja nie wygrywa także na polu walki. Nawet wielka mobilizacja, którą prowadzi, jej nie pomoże. Mam nadzieję, że Zachód nie pozwoli Ukrainie przegrać tej wojny.

Ukraińskie Siły Zbrojne bardzo dobrze walczą. W technologiach, zwłaszcza jeśli chodzi o drony, wyprzedzamy Rosję w wielu obszarach. Odnosimy sukcesy w atakach na samoloty, infrastrukturę logistyczną i przemysł wydobywczy, który dostarcza surowce nie tylko ludności cywilnej, ale także wojsku. Tego wszystkiego nie da się po prostu kupić za granicą. Potrzebne są do tego pieniądze i odpowiednie możliwości. Krótko mówiąc: spo-

fbb6fb8ff4

dziewam się, że Rosja przegra. A kiedy przegra, będzie znacznie łatwiej.

A w jaki sposób dokumentujecie zbrodnie wojenne? Jak wygląda wasza praca?

Robimy to stale, codziennie. W tej chwili pracuje u nas dziewiętnastu dokumentalistów. Zaczęliśmy dokumentować zbrodnie od samego początku wojny, dosłownie od 1 marca 2022 roku. Włączyliśmy do tego wielu kolegów z innych organizacji. Przez długi czas robiliśmy to codziennie na całym terytorium Ukrainy. W niektórych obwodach nasze dokumentowanie obejmowało bardzo dużą część zdarzeń, między innymi w obwodzie charkowskim, kijowskim, chersońskim i zaporoskim. Później mieliśmy około półtora roku przerwy w finansowaniu. Mimo to kontynuowaliśmy dokumentowanie, choć na mniejszą skalę.

Od 1 października 2025 roku rozpoczęliśmy duży projekt wspierany przez Unię Europejską i wznowiliśmy pracę w całym kraju. Od razu wiedzieliśmy, że odtworzenie wszystkich zbrodni z okresu, kiedy nie mieliśmy środków na pełne dokumentowanie, jest nierealne. Dlatego postanowiliśmy dokumentować przede wszystkim te zbrodnie, które wydarzą się od tego momentu.

Dokumentujemy zabójstwa i obrażenia, również będące skutkiem ataków bez rozróżnienia celu, umyślne zabójstwa, takie jak w Buczy i innych miejscach, a także ataki dronów. Rejestrujemy bezprawne pozbawienie wolności, w tym uprowadzenia cywilów na terytoriach okupowanych, a także tortury i przemoc seksualną.

Po 1 października w naszej bazie zapisanych jest blisko 30 tysięcy incydentów i zbrodni. A we wszystkich naszych bazach jest ich łącznie ponad 150 tysięcy. Oczywiście część naszych kolegów chce uzupełnić tę lukę i udokumentować wszystkie zbrodnie z okresu, którego nie objęliśmy pełnym monitorowaniem. Jeśli chcą to zrobić, to ich prawo. My tego nie kwestionujemy.

Dokumentowanie jest jednak dopiero pierwszym krokiem. Jeżeli nie zbiera się informacji i nie układa ich w określoną strukturę w bazie danych, po kilku tygodniach zamieniają się w chaos informacyjny. Złożyliśmy już osiem wniosków do Biura Prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego. Dotyczą one konkretnych zbrodni, które udokumentowaliśmy. Dostarczyliśmy także materiały dotyczące Mariupola oraz przymusowego wywożenia dzieci z Ukrainy do Rosji. Mam nadzieję, że Biuro Prokuratora będzie korzystać z naszej pracy i informacji, które zebraliśmy i przekazaliśmy.

Czy współpracujecie również z innymi instytucjami międzynarodowymi?

Oczywiście. Właściwie stworzyliśmy pewien podział pracy. Pierwszy komponent to zdobywanie informacji o zbrodniach. Drugi to dokumentowanie tych informacji w bazach danych. Trzeci to przekazywanie ich organom ścigania. Jeśli organy ścigania nie mają wystarczających

eprasa.pl

danych, inicjujemy wszczęcie postępowań karnych. Jeśli postępowanie już istnieje, przekazujemy dodatkowe informacje, które mogą zostać do niego dołączone.

Najbardziej cenimy informacje zdobyte bezpośrednio od osób poszkodowanych, a nie z otwartych źródeł. Jeździmy do różnych obwodów, do miejsc, w których mieszkają poszkodowani. Współpracujemy z organami miejscowego samorządu, organizujemy spotkania z osobami, które ucierpiały.

Z jednej strony przekazujemy informacje organom ścigania – policji, służbom i prokuraturze. Z drugiej strony dzięki temu uzupełniamy nasze bazy i realizujemy najważniejszy cel, jaki sobie postawiliśmy: zapewnienie jak największej pomocy możliwie dużej liczbie osób poszkodowanych przez tę wojnę.

Kiedy odnajdujemy takie osoby i przekazujemy informacje organom ścigania, nasz adwokat wchodzi do sprawy jako przedstawiciel pokrzywdzonego. Mamy ponad dwudziestu adwokatów. Prowadzą oni bardzo wiele spraw. Według stanu na 1 lipca tego roku było ich w naszym postępowaniu ponad osiem tysięcy.

Zapewniamy również pomoc psychologiczną. Otworzyliśmy centra we Lwowie, Charkowie, Kijowie i Mikołajowie. Mamy biura zarówno w tych miastach, jak również w Sumach, choć tam obecnie nie jeździmy, ponieważ droga jest zbyt niebezpieczna. We wszystkich pozostałych miejscach pracujemy normalnie.

Międzynarodowy Memoriał przekazał naszej organizacji część środków z nagrody, którą otrzymał. Jesteśmy częścią Memoriału. Te pieniądze zostały przeznaczone na pomoc cywilnym ofiarom wojny. Początkowo pomagaliśmy rodzinom osób zabitych, a później rozszerzyliśmy tę pomoc również na rodziny osób zaginionych i rannych. Pomagamy też w leczeniu rannych cywilów. Wojsko ma zapewnione bezpłatne leczenie, cywile nie zawsze. Staramy się więc wypełnić tę lukę.

Ponadto pomagamy organom w prowadzeniu postępowań. Organizujemy ekspertyzy sądowo-medyczne i współpracujemy z obwodowymi biurami medycyny sądowej. Kiedy ekspert potrzebuje konsultacji albo dodatkowych danych, staramy się je zapewnić. Robimy to własnym kosztem i dzięki środkom zbieranym na całym świecie.

Prowadzimy także działalność informacyjną. Nasza organizacja istnieje od wielu lat i zgromadziła ogromną ilość materiałów. Dysponujemy elektroniczną biblioteką praw człowieka oraz wirtualnym muzeum poświęconym ruchowi praw człowieka w Ukrainie.

Po rozpoczęciu wojny uruchomiliśmy z inicjatywy Unii Europejskiej również stronę poświęconą zbrodniom wojennym. Ma ona siedem wersji językowych. Publikujemy tam teksty będące rezultatem analizy naszych baz i badań. Są tam również wywiady z poszkodowanymi, świadkami i ludźmi, którzy mają coś ważnego do powiedzenia o wojnie. Realizujemy projekt „Głosy wojny". Zebraliśmy już ponad 350 wywiadów, a część z nich została opracowana i udostępnio-

fbb6fb8ff4

na w wielu wersjach językowych. W zależności od dostępnych środków tłumaczymy je również na inne języki.

Jak te materiały są później wykorzystywane?

Kiedy pomagamy organom ścigania na poziomie krajowym w prowadzeniu śledztw, faktycznie tworzymy solidną bazę dowodową tych zbrodni. Pociągnięcie sprawcy do odpowiedzialności jest możliwe tylko wtedy, kiedy wiadomo, kto nim jest albo przynajmniej kto jest podejrzany. Nie możemy czekać do końca wojny z przygotowaniem tych materiałów. Współpracujemy między innymi z Grupą Roboczą ONZ zajmującą się przymusowymi i niewyjaśnionymi zaginięciami. Przekazaliśmy jej dokumentację ponad dwóch i pół tysiąca spraw. Zwracamy się również do Komitetu Praw Człowieka ONZ, który otrzymał od nas akta ponad trzystu spraw dotyczących ofiar tortur i osób, które ucierpiały w wyniku przemocy seksualnej. Współpracujemy także z Biurem Prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego. W każdym z naszych ośmiu zgłoszeń znajduje się określony zestaw dobrze udokumentowanych przypadków. Dotyczą one zabójstw, przymusowych zaginięć, tortur, bezprawnego pozbawienia wolności, zbrodni przeciwko ludzkości czy wywożenia dzieci. To są bardzo dokładnie opracowane przypadki. Współpracujemy też z innymi międzynarodowymi organizacjami i jesteśmy częścią różnych koalicji. Jedną z nich jest People First (co znaczy „człowiek przede wszystkim"). Jej głównym celem jest doprowadzenie do uwolnienia wszystkich osób przetrzymywanych w Federacji Rosyjskiej oraz na terenach okupowanych. Od 2024 roku ta praca ma dla naszej organizacji szczególnie wysoki priorytet.

Jeżeli osoby zaginione żyją, mogą znajdować się w niewoli. Naszym zadaniem jest je odnaleźć, ponieważ Rosjanie ukrywają informacje o tych ludziach, szczególnie o cywilach. O osobach wojskowych wiemy więcej, część z nich została już uwolniona. Na wolność wypuszczono ponad dziewięć tysięcy sześćset ukraińskich jeńców. W przypadku cywilów sytuacja jest inna – wciąż bardzo mało o nich wiemy. W rejestrze osób zaginionych bez wieści znajduje się obecnie ponad dziewięćdziesiąt tysięcy osób. To rejestr obejmujący różne przypadki. Osoby pozostają w nim do czasu ich odnalezienia czy uwolnienia, a później są przenoszone do odpowiedniej kategorii. Rosjanie ukrywają część cywilów i nie chcą ich wypuszczać. Pragnę podkreślić: przetrzymywanie cywilów za kratami, tak jak robi to Rosja, jest złem i nie ma ku temu prawnych podstaw.

Niedawno podpisał Pan list otwarty dotyczący kryzysu w relacjach polsko-ukraińskich. Jak z perspektywy osoby zajmującej się prawami człowieka patrzy Pan na tę sytuację?

Uważam, że pogorszenie stosunków między Ukrainą a Polską jest korzystne tylko dla jednego państwa, czyli Rosji. To nasz wspólny wróg. Uważam, że zarów-

eprasa.pl

no Ukraina, jak i Polska cierpią na tę samą chorobę. My nie lubimy myśleć o własnych porażkach, błędach i popełnionych zbrodniach. Wolimy pamiętać o swoich ofiarach, sukcesach, zwycięstwach, bohaterstwie.

To dotyczy zarówno Ukrainy, jak i Polski. Oba te kraje nie potrafią jeszcze w wystarczającym stopniu uznawać własnych win. Jednym z najważniejszych zadań ruchu praw człowieka jest nauczenie elit politycznych poszczególnych państw, że trzeba umieć się do takich rzeczy przyznać. Historię trzeba pozostawić historykom. To, co wydarzyło się osiemdziesiąt lat temu, ma oczywiście ogromne znaczenie. Nie mówię, że nie ma żadnego. Ale dzisiaj znacznie większe znaczenie ma nasza jedność i walka ze wspólnym wrogiem.

Jewhen Zacharow jest przewodniczącym zarządu Ukraińskiego Związku Helsińskiego na Rzecz Praw Człowieka (UHSPL), dyrektorem Charkowskiej Grupy Obrony Praw Człowieka, działaczem radzieckiego ruchu dysydenckiego w latach 70. i 80. W 1975 roku ukończył studia na Wydziale Mechaniczno-Matematycznym Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Wasyla Karazina. W latach 1989–1992 był współprzewodniczącym charkowskiego oddziału stowarzyszenia Memoriał. W latach 1990–1994 był członkiem Charkowskiej Rady Miejskiej. Odznaczony Orderem Wolności, Orderem za Odwagę Intelektualną oraz Nagrodą im. Wasyla Stusa.

fbb6fb8ff4

Niedźwiedź łapie zadyszkę

Szymon Kardaś

Piąty rok wojny z Ukrainą będzie dla Rosji najtrudniejszym z punktu widzenia gospodarki. Rosnące koszty związane z prowadzeniem konfliktu widoczne są na poziomie budżetu państwa i innych wskaźników ekonomicznych. Władze wciąż dysponują jednak możliwościami amortyzowania strat. W 2026 roku rosyjski niedźwiedź złapał zadyszkę, ale pogłoski o jego śmierci są mocno przesadzone.

Truizmem jest stwierdzenie, że decyzja Kremla o inwazji na Ukrainę w 2022 roku jest główną przyczyną pogarszającej się sytuacji gospodarczej Rosji. Wszystkie inne czynniki, takie jak sankcje, szkody wyrządzane przez ukraińskie ataki dronowe, są tylko jej pochodną. Choć w wielu sektorach gospodarka Rosji zaczyna mierzyć się z coraz większymi trudnościami, a pole manewru władz do amortyzowania gospodarczych skutków wojny się zawęża, to jednak nie należy się spodziewać, by w najbliższych miesiącach nastąpił ekonomiczny krach.

Rosja w płomieniach

Głównym czynnikiem wpływającym na pogarszanie się sytuacji gospodarczej Rosji jest trwająca już ponad cztery lata pełnoskalowa wojna z Ukrainą. Generuje ona coraz większe koszty, przede wszystkim bezpośrednio związane z finansowaniem działań zbrojnych. W latach 2022–2025 wydatki na cele wojskowe znacząco wzrosły. O ile w okresie 2019–2021 Rosja wydawała na obronę około 47 miliardów dolarów rocznie, o tyle w 2026 roku jej budżet obronny szacowany jest na 158,5 miliarda dolarów. Według oficjalnych prognoz rosyjskiego Ministerstwa Finansów, nadmiarowy wzrost wydatków na obronę ma w 2026 roku wynieść 28 miliardów dolarów. Z kolei w latach 2027–2028 prognozowany jest wzrost o 54 miliardy dolarów.

Pochodną wojny i czynnikiem, który coraz silniej oddziałuje negatywnie na rosyjską gospodarkę, są sankcje nakładane na Rosję przez państwa zachodnie. Istotny jest nie tylko ich wymiar ilościowy, ale także wielosektorowość. Od początku pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku Unia Europejska przyjęła (stan na

eprasa.pl

sierpień br.) dwadzieścia jeden pakietów sankcyjnych. Obejmują one między innymi sektor finansowy, energetyczny, transportowy, technologiczny i obronny, a także konkretne osoby i przedsiębiorstwa. Istotną rolę odgrywa w tym zakresie również polityka sankcyjna USA. Waszyngton wprowadził szerokie sankcje finansowe, handlowe i technologiczne wobec Rosji, obejmujące między innymi banki, przedsiębiorstwa, oligarchów oraz ograniczenia eksportu zaawansowanych technologii. Skala amerykańskich działań to kilka tysięcy ograniczeń dotyczących Rosji i rosyjskich podmiotów, w tym kluczowych rosyjskich spółek energetycznych, takich jak Rosnieft', Łukoil czy Gazprom Nieft'. Sankcje wprowadziły również Wielka Brytania, Kanada, Japonia, Australia oraz inne państwa Zachodu, często koordynując swoje działania w ramach G7.

W 2023 i 2024 roku PKB Rosji wzrosło odpowiednio o 4,1 i 4,9 procent, w 2025 wskaźnik ten wyniósł już zaledwie 1 procent.

Restrykcje przyjęte przez państwa zachodnie zwiększają presję gospodarczą na Rosję. Ograniczają bowiem jej dostęp do rynków zbytu, kapitału i kluczowych technologii, co w konsekwencji podnosi koszty prowadzenia wojny przeciwko Ukrainie.

Czynnikiem, który odgrywa w 2026 roku dużo większą rolę niż w latach wcześniejszych, są ataki dronowe na terytorium Rosji, podejmowane przez Ukrainę w ramach działań obronnych. Szczególnie istotne znaczenie mają uderzenia w infrastrukturę energetyczną. Choć tego typu działania prowadzone były od początku wojny, to jednak ich skala zaczęła się zwiększać w 2025 roku. Największą intensywność odnotowano jednak dopiero wiosną i latem 2026 roku. Od stycznia do sierpnia rafinerie działające na terytorium Rosji zostały trafione ponad dwieście razy. Konsekwencją były ograniczenia możliwości przerobowych rosyjskich zakładów, skutkujące niedoborami paliw na rosyjskim rynku. Władze zmuszone były wprowadzić zakazy eksportu benzyny i diesla oraz czasowo zezwolić na import paliw z zagranicy (Białoruś, Indie), celem pokrycia niedoborów. Na stacjach benzynowych wprowadzano reglamentację sprzedaży produktów naftowych, co i tak nie zapobiegło wielokilometrowym kolejkom samochodów ustawiającym się po paliwo. Co więcej, czasowe niedobory paliw przełożyły się na problemy w różnych segmentach gospodarki: od branż przemysłowych po sektor usług, w tym turystykę. Innym przykładem są ukraińskie ataki dronowe na obiekty firmy Wildberries, która jest jedną z największych rosyjskich sieci handlowych i logistycznych. Uderzenia zniszczyły lub uszkodziły kilkanaście dużych magazynów, zakłócając dostawy i powodując poważne straty nie tylko w budżecie firmy, ale także rzeszy przedsiębiorców korzystających z jej usług. Ataki te zwiększają presję na sektor logistyczny, małe przedsiębiorstwa i banki, generując dodatkowe koszty związane z odbudową czy pracami naprawczymi.

fbb6fb8ff4

Zadyszka

Choć w pierwszych latach wojny wielu ekonomistów zwracało uwagę, że rosyjska gospodarka rozwija się przede wszystkim dzięki jej przestawieniu na tryb wojenny, po czterech latach konfliktu wyraźnie widać, że model ten stopniowo wyczerpuje swój potencjał. O ile w 2023 i 2024 roku PKB Rosji wzrósł odpowiednio o 4,1 i 4,9 procent, o tyle w 2025 wskaźnik ten wyniósł już zaledwie 1 procent. Tempo wzrostu ma wyhamować jeszcze bardziej w 2026 roku. Rosyjskie Ministerstwo Rozwoju Gospodarczego prognozuje, że w 2026 roku wskaźnik ten wyniesie zaledwie 0,4 procent. Z kolei Bank Centralny Rosji w prognozie z lipca 2026 roku szacuje, że wzrost PKB będzie mieścił się w przedziale 0–1 procent. Przejście na tryb gospodarki wojennej jest dziś dla Rosji znacznie bardziej kosztowne niż w czasach ZSRR. W przeciwieństwie do okresu zimnej wojny Moskwa musi płacić ceny rynkowe za dostawy wykorzystywane w produkcji zbrojeniowej, ponieważ znaczną ich część zapewniają zagraniczni dostawcy.

Jednym z największych problemów władz jest w związku z tym rosnący deficyt budżetowy, zarówno na poziomie centralnym (federalnym), jak i na poziomie budżetów regionów. O ile jeszcze w 2021 roku budżet Federacji Rosyjskiej odnotował nadwyżkę na poziomie 524 miliardów rubli, o tyle już w 2022 roku pojawił się deficyt w wysokości prawie 3,3 biliona rubli. Wzrósł on do ponad 5,6 biliona rubli w 2025, a w lipcu 2026 roku osiągnął wartość ponad 6,4 biliona rubli. Wynik ten jest prawie dwukrotnie wyższy od założeń budżetowych rosyjskiego Ministerstwa Finansów na cały 2026 rok (3,8 biliona rubli na koniec 2026 roku). Drastyczny wzrost deficytu jest przede wszystkim efektem wspomnianych już wcześniej rosnących wydatków państwa na prowadzenie wojny z Ukrainą. Choć władze systematycznie utajniają coraz więcej danych statystycznych, to z oficjalnych komunikatów Ministerstwa Finansów wynika, że wydatki państwa wzrosły z 24,7 biliona rubli w 2021 roku do prawie 43 bilionów rubli w 2025 roku, a znacząca część wzrostu przypadła właśnie na wydatki na obronę. W 2026 roku trend ten się utrzymuje. Według danych opublikowanych przez ministerstwo na początku sierpnia 2026 roku wydatki państwa w okresie styczeń–lipiec 2026 wzrosły o 14,5 procent w stosunku do analogicznego okresu w 2025 roku. Choć dług publiczny Rosji jest relatywnie niewielki – według oficjalnych szacunków jego wielkość na poziomie federalnym wyniosła w 2025 roku około 16,1 procent PKB – to jego obsługa staje się coraz większym obciążeniem dla budżetu. Potwierdzają to nawet oficjalne dane. W 2025 roku wydatki na obsługę długu sięgnęły 3,21 biliona rubli, czyli o 37,9 procent więcej niż rok wcześniej. Jednocześnie rosnący deficyt budżetowy zwiększa potrzeby pożyczkowe państwa. Rząd finansuje je przede wszystkim na rynku krajowym, ponieważ w wyniku za-

eprasa.pl

chodnich sankcji pozostaje w dużej mierze odcięty od zachodnich rynków kapitałowych. W dłuższej perspektywie rosnące zadłużenie, wyższe koszty jego obsługi oraz wzrost deficytu budżetowego mogą ograniczać możliwości finansowania innych wydatków publicznych oraz zwiększać presję na rosyjskie finanse publiczne.

Coraz większym problemem rosyjskiej gospodarki staje się także wzrost zadłużenia na poziomie przedsiębiorstw oraz konsumentów. Według doniesień „The Moscow Times" w latach 2021–2026 zadłużenie firm wzrosło o 93 procent, a gospodarstw domowych o 57 procent, podczas gdy rosnące koszty kredytu i spowolnienie gospodarcze utrudniają spłatę zobowiązań. W 2025 roku upadłość konsumencką ogłosiło rekordowe 636 tysięcy Rosjan, o 30 procent więcej niż rok wcześniej. Z kolei w pierwszej połowie 2026 roku sądy ogłosiły upadłość 3550 przedsiębiorstw, czyli o 10,8 procent więcej niż w 2025 roku.

Jednym z najbardziej czytelnych sygnałów, że wojna coraz mocniej obciąża budżet państwa, jest kurczenie się rosyjskich rezerw finansowych. Szczególnie wymowny jest spadek płynnej części Funduszu Dobrobytu Narodowego: z około 8,8 biliona rubli w lutym 2022 roku do około 4,1 biliona na początku 2026 roku, a następnie do około 3,7 biliona rubli w sierpniu 2026 roku, czyli o blisko 60 procent w ciągu czterech i pół roku. Fundusz, pierwotnie pomyślany jako zabezpieczenie rosyjskich finansów publicznych na wypadek spadku dochodów z ropy i gazu, stał się w warunkach wojny jednym ze źródeł finansowania rosnącego deficytu budżetowego. Choć powyższe wyniki nie oznaczają, że Rosji grozi w najbliższych miesiącach niewypłacalność, to jednak pokazują, że jej poduszka finansowa jest dziś znacznie słabsza niż przed inwazją. Tym samym w piątym roku pełnoskalowej wojny Kreml ma mniejszą zdolność do amortyzowania kolejnych szoków gospodarczych. W przypadku silnych spadków cen ropy przy dalszym wzroście wydatków wojennych może to coraz bardziej ograniczać możliwości finansowania wojny bez zwiększania zadłużenia i obciążania gospodarki. Jednym z poważniejszych problemów gospodarczych są także niedobory siły roboczej w wielu sektorach gospodarki. Z jednej strony jest to konsekwencją znaczących strat osobowych ponoszonych w trakcie trwającej od 2022 roku pełnoskalowej wojny. Według szacunków magazynu „The Economist" około 3 procent przedwojennej populacji mężczyzn w Rosji w wieku poborowym (18–49 lat) zginęło lub zostało rannych podczas wojny z Ukrainą (w sumie 1,1–1,5 miliona osób). Z drugiej strony to efekt emigracji wykwalifikowanej grupy Rosjan obawiających się mobilizacji czy sprzeciwiających

W 2021 roku budżet Federacji Rosyjskiej odnotował nadwyżkę na poziomie 524 miliardów rubli, w 2022 roku pojawił się deficyt w wysokości prawie 3,3 biliona rubli.

fbb6fb8ff4

się oficjalnej polityce władz. Według „The Bell" liczba Rosjan, którzy w okresie wojny na stałe opuścili swoją ojczyznę, szacowana jest na 650 tysięcy osób.

W 2026 roku pojawiła się także kolejna fala wyprowadzania aktywów z Rosji przez część oligarchów. Jak informował Bloomberg, niektórzy z najbogatszych Rosjan (obawiając się przejęcia ich majątków przez państwo w związku z pogarszającą się sytuacją gospodarczą i kosztami wojny) zaczęli przenosić część kapitału za granicę, między innymi do Turcji, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Monako.

Złote środki

Jednym z kluczowych czynników wpływających na to, że wojna nie wywołała w Rosji poważniejszego kryzysu ekonomicznego, jest jej potencjał oraz relatywnie korzystne wskaźniki charakteryzujące rosyjską gospodarkę przed inwazją na Ukrainę w 2022 roku. Federacja Rosyjska dysponuje jednymi z największych zasobów surowcowych na świecie. Dotyczy to nie tylko sektora energetycznego, w tym złóż ropy, gazu, uranu czy surowców krytycznych, ale także potencjału sektora rolnego.

Rosja przystępowała do wojny z Ukrainą ze znaczącym poziomem rezerw walutowo-złotowych. Choć według oficjalnych danych w 2026 roku znacząco spadł poziom rezerw złota, to nadal jest on zbliżony do zasobów sprzed wybuchu konfliktu w 2022 roku. W lipcu 2026 roku wynosił 2282 ton metrycznych (w styczniu 2022 roku wynosił 2305 ton metrycznych). Co więcej, Rosja zajmuje piąte miejsce na świecie pod względem zasobów złota. Kreml może zatem relatywnie łatwo uzupełniać rezerwy złotowe.

Paradoksalnie jednym z czynników, które w warunkach wojny działają do pewnego stopnia na korzyść Rosji, jest rozległa kontrola państwa nad gospodarką. Dzięki kontroli nad głównymi bankami i przedsiębiorstwami władze mogą wpływać na kierunki finansowania inwestycji i produkcji, podporządkowując je celom uznawanym za istotne z politycznego i strategicznego punktu widzenia. Umożliwiło to państwu w pierwszych latach wojny podejmowanie działań wspierających, ograniczających skalę bankructw, odpływu kapitału czy spadku skali aktywności przedsiębiorstw niektórych branż. Tym samym duży poziom kontroli nad gospodarką dał Kremlowi większe możliwości łagodzenia bezpośrednich skutków sankcji. W dłuższej perspektywie taka polityka wiąże się jednak z ryzykiem nieefektywnej alokacji zasobów, spadku efektywności gospodarczej oraz narastania problemów finansowych.

Jednym z czynników działających stabilizująco jest wsparcie udzielane przez politycznych sojuszników Moskwy, na czele z Pekinem. Choć w debacie publicznej często wskazuje się, że negatywnym dla Rosji skutkiem wojny z Ukrainą jest wzrost zależności gospodarczej od Chin, to w rzeczywistości zacieśniająca się współpra-

eprasa.pl

ca bilateralna – nawet jeśli jest asymetryczna z perspektywy Kremla – neutralizuje część gospodarczych kosztów konfliktu. W obliczu sankcji Chiny stały się dla Rosji ważnym dostawcą maszyn, urządzeń elektronicznych czy sprzętu i technologii o „podwójnym przeznaczeniu", wykorzystywanych w przemyśle zbrojeniowym. Według raportu Kiel Institute Chiny odpowiadają obecnie za ponad 60 procent dostaw komponentów krytycznych dla produkcji zbrojeniowej w Rosji. Moskwa wykorzystuje także relacje gospodarcze z państwami takimi jak Kazachstan czy Kirgistan do ograniczania skutków zachodnich sankcji, między innymi przez przekierowywanie handlu i pozyskiwanie towarów oraz komponentów objętych ograniczeniami. Kraje te stają się tym samym jednym z kanałów umożliwiających rosyjskim podmiotom częściowe obchodzenie sankcji, choć skala i znaczenie tego mechanizmu różnią się w zależności od rodzaju towarów i stopnia kontroli nad przepływami handlowymi.

Pomimo sankcji oraz ukraińskich uderzeń na rosyjską infrastrukturę energetyczną (szczególnie intensywnych w 2026 roku), sektor energetyczny demonstruje siłę przetrwania i wciąż generuje zyski dla rosyjskiego budżetu. Rosja utrzymuje poziom wydobycia i eksportu ropy surowej na relatywnie niezmienionym poziomie w porównaniu z ostatnim rokiem sprzed inwazji. Choć obecne główne rynki zbytu (Chiny, Indie) są mniej lukratywne w stosunku do odbiorcy unijnego, to nadal pozwalają Moskwie zarabiać na eksporcie surowców energetycznych. Według danych CREA w okresie od 24 lutego do 19 sierpnia 2026 roku wartość rosyjskiego eksportu węglowodorowego wyniosła ponad 1,1 biliona euro, z czego 69 procent przypadło na ropę i produkty naftowe, 21 procent na gaz i 10 procent na węgiel. W 2026 roku czynnikiem działającym pozytywnie okazał się wzrost cen ropy będący konsekwencją wojny Izraela i USA z Iranem. Korzyścią dla budżetu jest to, że wzrost deficytu będzie z pewnością mniejszy, niż gdyby ceny ropy utrzymywały się na poziomie sprzed wybuchu wojny z Iranem (pod koniec lutego 2026 roku ropa Brent wyceniana była na około 70 dolarów za baryłkę, a średnia cena rosyjskiego Uralsa na 55 dolarów za baryłkę, a w niektórych transakcjach nawet 40–42 dolary za baryłkę). Po wybuchu wojny z Iranem ceny ropy znacząco wzrosły, osiągając w niektórych tygodniach konfliktu poziom przekraczający 100 dolarów za baryłkę.

Przykręcanie śruby

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza nie wpłynęła w widoczny sposób na stabilność społeczno-polityczną Rosji. Wzrost inflacji, straty osobowe armii rosyjskiej, kryzys paliwowy czy ataki ukraińskich dronów na obiekty logistyczne (m.in. magazyny Wildberries) nie przełożyły się na demonstracje niezadowolenia ze strony społeczeństwa.

fbb6fb8ff4

Jest to najprawdopodobniej konsekwencją trzech czynników. Po pierwsze, rosyjskie społeczeństwo jak dotąd wykazuje znaczną zdolność adaptacji do pogarszających się warunków ekonomicznych. Pomimo inflacji i oznak spadku dynamiki realnych dochodów nie doszło dotychczas do demonstracji społecznego niezadowolenia. Po drugie, ważnym czynnikiem jest pogłębiający się w ostatnich dekadach, zwłaszcza po wybuchu pełnoskalowej wojny z Ukrainą, poziom represyjności reżimu w Rosji. Władze nie tylko drastycznie zaostrzyły prawodawstwo umożliwiające ściganie i penalizowanie nawet najbardziej niewinnych form niezadowolenia wobec ich polityki, ale wykazują się wyjątkową gorliwością w pacyfikowaniu jakichkolwiek oznak protestu. Za krytykę polityki Kremla wydawane są wieloletnie wyroki więzienia, a przy braku realnej opozycji politycznej nie ma żadnych impulsów umożliwiających organizację jakichkolwiek protestów. Po trzecie, istotną rolę odgrywa także rozbudowany aparat propagandy i wszechobecna narracja o konieczności wspierania władz nie tyle w walce z Ukrainą, ile *de facto* całym „kolektywnym Zachodem". Choć miarodajne badania opinii publicznej są obecnie trudne do przeprowadzenia, to wiele wskazuje na to, że znacząca część Rosjan wciąż popiera politykę Kremla i gotowa jest obwiniać za pogarszającą się sytuację gospodarczą nie tyle tamtejsze władze, co Ukrainę i wspierający ją politycznie, gospodarczo i wojskowo Zachód.

Mimo sankcji, a także ukraińskich uderzeń na rosyjską infrastrukturę energetyczną, rosyjski sektor energetyczny demonstruje siłę przetrwania i wciąż generuje zyski dla rosyjskiego budżetu.

W piątym roku wojny sytuacja polityczna w Rosji wciąż pozostaje relatywnie stabilna. Kreml spacyfikował opozycję, ograniczył możliwość masowej mobilizacji politycznej społeczeństwa i rozbudował narzędzia dyscyplinowania elity, która nadal pozostaje lojalna wobec Władimira Putina i jego polityki. Nie oznacza to jednak, że władza czuje się całkowicie bezpiecznie. O rosnących obawach związanych ze stabilnością systemu świadczą działania „prewencyjne". Ilustracją jest choćby wykluczenie partii Jabłoko z zaplanowanych na wrzesień 2026 roku „wyborów" do Dumy Państwowej, mimo że partia nie stanowiła realnego zagrożenia dla władzy. Innym przykładem są działania dotyczące kontroli internetu. Jak zauważają Katarzyna Chawryło i Maria Domańska w raporcie przygotowanym dla Ośrodka Studiów Wschodnich, władze blokują niezależne serwisy, ograniczają dostęp do sieci i budują podporządkowany państwu rodzimy system informacyjny, utrudniając dostęp do niezależnych treści i polityczną samoorganizację społeczeństwa. Choć elita pozostaje co do zasady lojalna wobec Putina, to widoczne są sygnały świadczące o różnicach zdań odnośnie do prowadzenia wojny z Ukrainą, sytuacji gospodar-

eprasa.pl

czej czy przyszłości państwa. Jednak nie widać w niej sił zdolnych realnie zagrozić Putinowi, choć napięcia wewnątrz systemu mogą narastać wraz z kosztami wojny.

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza nie wpływa na razie w istotny sposób na sytuację społeczno-polityczną w Rosji. Jednocześnie Kreml systematycznie podejmuje działania wskazujące na dążenie do ograniczenia wszelkich czynników, które mogłyby tę stabilność podważyć.

Jak długo?

Andriej Klepacz, który był głównym ekonomistą rosyjskiego banku WEB, wieszczył wiosną 2026 roku, że Rosja nie wygra walki na wyniszczenie z Zachodem. Wskazywał, że choć tamtejsza gospodarka może jeszcze wytrzymać, w pewnym momencie może dojść do kryzysu społecznego – i to wtedy, gdy nikt nie będzie się go spodziewał. Według doniesień medialnych za swoje słowa został zwolniony, po interwencji Kremla, przez szefa WEB Igora Szuwałowa. Ten ważny głos przedstawiciela rosyjskiej elity ekonomicznej rodzi pytania o perspektywy zmian kondycji ekonomicznej Rosji w horyzoncie najbliższych miesięcy i lat.

Choć sytuacja gospodarcza Rosji w piątym roku dużej wojny z Ukrainą jest gorsza niż w latach wcześniejszych i wchodzi w fazę stagnacji, a nawet kryzysu, to jednak jest mało prawdopodobne, by w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy doszło do poważniejszego załamania. Jednocześnie utrzymanie *status quo* sprawia, że rosyjskiej gospodarce będzie dużo trudniej wrócić do normalnego funkcjonowania w warunkach pokoju. Trwająca wojna, pochłaniająca coraz więcej środków stanowi coraz poważniejszą barierę rozwoju rosyjskiej gospodarki w horyzoncie średnio- i długoterminowym. Postępuje proces jej prymitywizacji, co długofalowo będzie obniżało jej konkurencyjność i pogłębiało uzależnienie od partnerów gospodarczych spoza świata zachodniego, czyli przede wszystkim od Chin.

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza nie wpływa na stabilność społeczno-polityczną Rosji. Inflacja, kryzys paliwowy, ataki ukraińskich dronów nie przełożyły się na niezadowolenie ze strony społeczeństwa.

Czynnikiem komplikującym sytuację gospodarczą Rosji mogą być również kolejne sankcje nakładane przez państwa zachodnie. Szczególną rolę mogłyby odegrać restrykcje przygotowywane obecnie w USA. W sierpniu nowa ustawa sankcyjna otrzymała aprobatę Senatu, a jesienią 2026 roku ma stać się przedmiotem obrad Izby Reprezentantów. Choć nie jest jasne, czy uzyska podpis Donalda Trumpa, to jej ewentualne wejście w życie dałoby prezydentowi USA możliwość nakładania

fbb6fb8ff4

bardzo wysokich ceł (w ramach „sankcji wtórnych") na państwa handlujące z Rosją, a w szczególności na te, które importują surowce energetyczne, takie jak ropa, gaz czy uran.

***

Wydaje się, że piąty rok wojny z Ukrainą będzie jednocześnie najtrudniejszym z punktu widzenia rosyjskiej gospodarki. Rosnące koszty wojny widoczne są zarówno w budżecie państwa, jak i na poziomie innych ważnych wskaźników ekonomicznych. Jednocześnie władze wciąż dysponują możliwościami amortyzowania strat, mimo że z każdym rokiem są one coraz bardziej ograniczone. W 2026 roku rosyjski niedźwiedź na pewno złapał poważną zadyszkę. Póki co jednak pogłoski o jego śmierci są mocno przesadzone.

Szymon Kardaś jest głównym analitykiem ds. polityki energetycznej w programie „European Power" w European Council on Foreign Relations. Od 2010 roku jest także adiunktem na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Autor wielu publikacji naukowych i eksperckich dotyczących polityki energetycznej, m.in. kompleksowej monografii pt. *Dyplomacja energetyczna Federacji Rosyjskiej 1992–2025. Środki, cele, kierunki i ocena efektywności*.

eprasa.pl

Militarystyczni szturmowcy

Z Dimą Zicerem, autorytetem w dziedzinie pedagogiki w Rosji, rozmawia Marcin Łuniewski

MARCIN ŁUNIEWSKI: Na ile rosyjska szkoła przypomina dzisiaj tę z czasów stalinowskich albo nazistowskich Niemiec, gdy świątynie wiedzy zamieniono w fabryki posłuszeństwa i uległości?

DIMA ZICER: Jestem przeciwny bezpośrednim porównaniom. Z pewnością są pewne rzeczy, które przypominają erę stalinowską czy hitlerowskie Niemcy. Pamiętajmy jednak, że choć Putin i ludzie wokół niego nie potrafią wymyślić niczego nowego, to jednak wygląda to trochę inaczej.

W tym roku propaganda pod postacią „lekcji na ważne tematy" wchodzi do przedszkoli. Czego uczy się obecnie rosyjskie dzieci i młodzież? Podziwu dla Władimira Putina, konieczności rozpętania wojny, tego, że Ukraina nigdy nie była państwem?

Sytuacja jest dość skomplikowana. Żeby nie wprowadzać czytelnika w błąd, musimy powiedzieć, że gdy mówimy o propagandzie, to rozmawiamy przede wszystkim o szkołach publicznych. Wciąż jednak są jeszcze w Rosji szkoły, głównie prywatne, które za wszelką cenę starają się unikać lekcji ideologicznych i im się to udaje. Poza tym wszystkie nowe lekcje wprowadzone po 2022 roku również nie są jednolite. Wspomniane w pytaniu „lekcje na ważne tematy" teoretycznie są fakultatywne, co oznacza, że dziecko może je opuścić. W praktyce zmusza się uczniów do uczęszczania na nie. Główny problem polega jednak na tym, że w ciągu ostatnich czterech lat wprowadzono szereg zajęć, których naprawdę trudno uniknąć. To na przykład podstawowe szkolenie wojskowe czy edukacja rodzinna, gdzie dzieciom mówi się, że rodzina może być zbudowana tylko w jeden sposób. Inny przykład to podstawy duchowej kultury moralnej, gdzie wyjaśnia się, jak prawidłowo myśleć. Są zajęcia, gdzie wytwarza się siatki maskujące dla wojska. Na inne przychodzą mordercy z frontu, by uczyć dzieci. To jest ogromny problem. Nawet gdy ktoś chce się z tego wyrwać, jest bardzo trudno. Co do przedszkoli ma Pan rację, ale i tutaj jak w przypadku szkół są takie, które starają się tego uniknąć. Z każdym dniem ten wpływ ideologiczny niestety narasta.

Do tego wszystkiego dochodzi militaryzacja nawet najmłodszych dzie-

fbb6fb8ff4

ci i zachęcanie starszych, by wstępowały do Junarmii...

Musimy oddzielić to, czego chce Putin i jego otoczenie, od tego, co udaje im się osiągnąć. Chcieliby zobaczyć Hitlerjugend maszerujące ulicami. To jest absolutnie pewne, sądząc po tym, co robią, jak zmieniają podręczniki do historii. Namawiają dzieci i rodziców do przystępowania do wszelkiego rodzaju organizacji ideologicznych. Jak dotąd idzie to jednak bardzo powoli. Są oczywiście organizowane obozy i kongresy tych organizacji, ale uczestniczy w nich może 10–15 procent dzieci.

Co Kreml chce osiągnąć tymi działaniami? Chce stworzyć nowego człowieka reprezentującego „rosyjski świat" czy może po prostu mieć pewność, że gdy młodzi Rosjanie dorosną, to nie będą w stanie zaszkodzić władzy?

Niestety ku mojemu ogromnemu żalowi udało im się już zrobić z większości Rosjan biernych obywateli. To jest cel, który Kreml realizuje od dwudziestu lat. Gdyby im się to nie udało, nie byłoby tej wojny ani tego horroru, bo ludzie zadawaliby pytania. Przez lata istniało niewypowiedziane porozumienie między władzami a społeczeństwem. My zajmujemy się polityką, a wy wszystkim innym. Nie zawracajcie nam głowy, a my damy wam możliwość wzbogacania się i kupowania co chcecie. Obecnie wydaje mi się, że celem Putina jest stworzenie społeczeństwa ideologicznego, militarystycznego i uzależnionego od wojny. Myślę, że o tym się teraz dyskutuje, bo Kreml sam doprowadził do sytuacji, w której potrzebuje agresywnego wsparcia i właśnie go szuka, a robi to prymitywnymi metodami. Hitler i Stalin odwoływali się do tych samych praktyk. Wszyscy są naszymi wrogami i chcą nas zabić, więc musimy się zjednoczyć, musimy kochać naszą ojczyznę, nawet nie rozumiejąc, co ona dla nas oznacza, i musimy iść naprzód. Dlatego uważam, że następuje przejście z tworzenia biernego obywatela do stworzenia militarystycznego szturmowca.

Czy te działania przynoszą już rezultaty? Pytam o to, bo z jednej strony pojawiają się głosy, że przecież przeżyliśmy ZSRR, byliśmy pionierami, a nie wyrośliśmy na komunistów. Z drugiej strony z badania Centrum Lewady wynika, że 40 procent Rosjan w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat zdecydowanie popiera Putina. Z kolei Mediazona pisze, że liczba osiemnastolatków, którzy zginęli na froncie w 2025 roku, się podwoiła.

Niestety władze odniosły sukces, a im dalej spojrzymy, tym jest on większy. Wyjaśnię to jak pedagog. Po pierwsze, jeśli ktoś jest indoktrynowany, to bardzo wiele zależy od środowiska, w jakim się znajduje, ale także od wieku. Jeśli na przykład piętnastolatek zostanie poddany indoktrynacji, to w tym wieku ma on już podstawy krytycznego myślenia, jest w okresie dojrzewania i chce się wszystkiemu przeciwstawiać. Stąd też jego szanse na

eprasa.pl

ucieczkę od ideologii są dość wysokie. Ci, którzy w 2022 roku mieli piętnaście lat, mają teraz około dwudziestu. Ówczesne pięciolatki teraz mają dziewięć, a ci, którzy mieli dziewięć – mają trzynaście. W młodym wieku, szczególnie poniżej siedmiu lat, dorosłym ufa się w stu procentach. Dlatego też, jeśli w sidła propagandy wpadnie dziecko w wieku od sześciu do dziewięciu lat, będzie mu się z nich bardzo trudno wyrwać do końca życia. Są na ten temat poważne socjologiczne badania. Oznacza to, że wpływ indoktrynacji z każdym rokiem będzie rósł. Zostało to przetestowane w nazistowskich Niemczech. Dlatego Kreml odniósł sukces i będzie go odnosił. Po drugie, należy zrozumieć, że cztery lata wojny to bardzo długi czas, szczególnie dla dzieci. Jeśli w takim okresie dziecko próbuje się opierać temu, co słyszy, to staje się to coraz trudniejsze. Zaczyna się wtedy szukać sytuacji większego komfortu, dostosowania się. To odnosi się również do opinii publicznej. Widzimy ludzi, którzy kilka lat temu mówili jedno, a teraz mówią coś zupełnie innego. Po trzecie, wiem, że zabrzmi to strasznie, ale Kreml działa bardzo profesjonalnie i metodycznie. Osacza młode osoby ze wszystkich stron. Dziecku bardzo trudno jest tego uniknąć. Wyobraźmy sobie, że mama napisała dziecku usprawiedliwienie, że z powodu bólu zęba nie będzie go na „lekcji na ważny temat", na którą zaproszono mordercę z frontu. Rodzice mają do tego prawo, ale ich dziecko dalej będzie się musiało uczyć ze zmienionych podręczników do historii. Oznacza to, że jeśli w ogóle będzie chciało zaliczyć ten przedmiot, będzie musiało czytać o tym, że to Ukraina rozpoczęła wojnę, że mieszkają w niej bandero-faszyści i całe to gówn*. Z kolei na obowiązkowej od tego roku „wiedzy o rodzinie" będzie musiało uczyć się, że najważniejszy w domu jest mężczyzna, a kobieta ma o niego dbać.

Gdzie w tym wszystkim jest nauczyciel? Podczas majowego spotkania Rosyjskiego Komitetu Antywojennego pojawiły się głosy, że wciąż mają przestrzeń do przekazywania uczniom prawdziwej wiedzy.

Taka możliwość wciąż jest. Przede wszystkim w szkołach prywatnych i w ramach „domowej edukacji", ponieważ oddziaływanie państwa jest tutaj zdecydowanie mniejsze. Jednakże, żeby nauczyciel mógł mieć wpływ, to musi chcieć go mieć. Niestety zdecydowana większość pedagogów opowiada się po stronie rządu. Podsumowując: teoretycznie mogą mieć dobry wpływ na dzieci, ale wielu tego nie robi. Pamiętajmy jednak, że nauczyciel w faszystowskiej szkole nie może wyjść i powiedzieć głośno „tu jest faszyzm". Oczywiście taki nauczyciel może odejść ze szkoły i to byłby przykład dla dzieci, ale dokąd potem pójdzie? Może oczywiście zacząć uczyć w prywatnej szkole albo dawać korepetycje, ale to jest bardzo wymagający czyn. Musimy pamiętać jeszcze o jednej rzeczy. Nauczyciele jako pracownicy lokalnych komisji wyborczych od lat uczestniczą w fałszowa-

fbb6fb8ff4



Archiwum prywatne

Niestety ku mojemu ogromnemu żalowi udało im się już zrobić z większości Rosjan biernych obywateli. To jest cel, który Kreml realizuje od dwudziestu lat.

niu wyborów. Są bardzo dobre badania na ten temat przeprowadzone przez Columbia University. Pokazują one, że nauczyciele są jednymi z pierwszych, którzy przyjmują ideologię jakiegoś reżimu, ale też pierwsi się od niej odwracają.

Czy uczniowie są w stanie wyrażać jakikolwiek sprzeciw wobec tego, czego są uczeni w szkołach? Według raportu Amnesty International choćby najmniejszy opór może się skończyć wezwaniem do dyrektora, a nawet na policję. Portal Wiorstka pisał w zeszłym roku, że gdy chłopiec odmówił udziału w jednej z propagandowych lekcji, na jego matkę nasłano psychologa.

Są w stanie powiedzieć, że się z czymś nie zgadzają, ale może się to dla nich skończyć bardzo źle. Nawet wcześniej dzieci nie miały zbyt wielu możliwości sprzeciwiania się temu, czego uczy się w szkołach. Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich placówek, ale teraz jest to po prostu groźne. Jeśli uczeń powie, że nie zgadza się z Putinem albo wojną, to mogą z tego wyniknąć poważne konsekwencje zarówno dla niego, jak i jego rodziców. Niedawno do programu, który prowadzę, zadzwoniła trzynastoletnia dziewczynka. Powiedziała, że jej rodzice popiera-

eprasa.pl

ją wojnę, jej znajomi i nauczyciele też ją popierają. Zapytała, co może zrobić, jeśli tylko ona jest przeciw. Co można jej w takiej sytuacji doradzić? Jeśli otworzy usta, skończy się to źle. Jedyne, co można jej powiedzieć, to żeby próbowała się uratować, dorosła i wyjechała. To dramatyczna sytuacja dla dzieci, które myślą inaczej niż cała reszta.

Na ile internet daje szansę na ucieczkę od państwowego prania mózgów? Teoretycznie to wciąż jeszcze relatywnie wolna przestrzeń, ale Kreml także sieć zalewa propagandą, często robioną przez młodych ludzi dla rówieśników.

Tak, młodzi ludzie wciąż mogą uciec do internetu, ale to nie znaczy, że znajdą tam coś, od czego będą mieć wysoką świadomość obywatelską. Im więcej czasu mija, tym mniejszą rolę odgrywa sieć. Żeby coś znaleźć w internecie, najpierw trzeba to wyszukać. Wyobraźmy sobie, że jestem czternastolatkiem. Aby zobaczyć, co naprawdę dzieje się na wojnie, muszę zadać odpowiednie pytanie w przeglądarce. Kłopot w tym, że społeczeństwo wokół mnie robi wszystko, aby to pytanie w mojej głowie się nie pojawiło albo żeby była na nie tylko jedna odpowiedź. Władze robią wszystko, żeby krytyczne myślenie utrzymać na niskim poziomie. Podsuwają także łatwe i szybkie odpowiedzi. Dlaczego jest wojna? Bo otaczają nas wrogowie. Dlaczego nas otaczają? Bo zazdroszczą Rosji i chcą ją zniszczyć. Dodajmy do tego inne trudności i to, że trzeba się namęczyć z VPN. Przekaz władz do młodzieży jest prosty: nie martw się niczym, po prostu usiądź i posłuchaj swojej ulubionej muzyki, a wszystko będzie dobrze.

Podczas wspomnianej konferencji Rosyjskiego Komitetu Antywojennego jedna z przedstawicielek Wolnego Uniwersytetu (opozycyjna inicjatywa edukacyjna) powiedziała, że opozycja musi docierać bezpośrednio do młodych Rosjan i tworzyć równoległe struktury edukacyjne. Czy Pana zdaniem te działania mogą być skuteczne?

Nie sądzę, żeby te projekty miały jakąkolwiek szansę. Myślę, że „opozycja" to są dobrzy ludzie, którzy chcą zrobić coś dobrego, ale jak mają dotrzeć do młodych Rosjan? W jaki sposób uczniowie mają się od nich dowiedzieć o alternatywnej prawdzie? Kiedy byłem mały, mój tata co wieczór słuchał Głosu Ameryki. To był koniec lat siedemdziesiątych i ojciec szukał prawdy. Obecna opozycja może próbować sygnalizować młodym Rosjanom: dzieciaki jesteśmy tutaj, możemy wam pomóc, gdy wyjedziecie z kraju. Wszystkie te opozycyjne instytucje mówią, że uczniom, którzy wyjechali z Rosji do Europy, powinno się pozwolić kontynuować naukę rosyjskiej historii. Uważam, że to wręcz szkodliwe. Najpierw powinni się oni zintegrować z Europą albo innym miejscem na świecie, w którym przebywają, a dopiero potem – jeśli będą chcieli – mogą pomóc Rosji i do niej wrócić.

fbb6fb8ff4

Podczas Forum Wolnej Rosji, które miało miejsce w lutym w Wilnie, mówił Pan, że ostatnim ratunkiem dla młodych Rosjan może być ich najbliższa rodzina i krewni. Jak mogą im pomóc? Rozmawiać z nimi, jak tata z Panem o Głosie Ameryki?

Po pierwsze, rodzina musi się upewnić, że w szkole nie ma putinowskiej inkwizycji. Takie szkoły, choć jest ich niewiele, wciąż jeszcze istnieją. Jeśli bliscy zauważą choćby najmniejszy ślad indoktrynacji, jak na przykład portret Putina przy wejściu do szkoły albo te bachanalia z okazji Dnia Zwycięstwa, to powinni wypisać dziecko z tej placówki. Muszą to zrobić, nawet jeśli to bardzo trudne. To pierwszy i najskuteczniejszy sposób, żeby pomóc. Po drugie, funkcjonuje edukacja domowa. Na czym to polega? To możliwość nauki poza szkołą. Nie musi to być jednak dom. Można porozumieć się z innymi rodzicami i na przykład wynająć lokal i zatrudnić nauczyciela albo korepetytora. Krótko mówiąc, chodzi o organizację własnej, innej formy nauczania. I wreszcie po trzecie, rodzina musi rozmawiać z dzieckiem, żeby rozumiało, co się wokół niego dzieje, jakie poglądy mają bliscy i jak należy zachowywać się w danej sytuacji. Znam dziesiątki, jeśli nie setki przypadków, w których zadziałało to bardzo skutecznie.

Z drugiej strony w Wilnie przytoczył Pan historię antyputinowskiej rodziny z Petersburga, która posłała siedmioletniego syna do szkoły, a gdy z niej wrócił, zaczął mówić o „żydowsko-banderowskim reżimie w Kijowie". To nie jest dobry prognostyk na przyszłość.

To jest właśnie przykład tego, że rodzina nie zrobiła wystarczająco dużo. Nie wystarczy być po prostu antyputinowskim. Gdy dziecko ma siedem lat, wpływ indoktrynacji jest ogromny. To jest właśnie to, o czym mówię – mówienie, że Putin to gówn* to za mało. W tym wieku dziecko trzeba jak najszybciej wyciągnąć ze środowiska, które je indoktrynuje, ponieważ istnieje bardzo duże ryzyko, że rodzina sama sobie z tym nie poradzi. Ileż dzieci tak przepadło w Związku Radzieckim? Ile mówiło: mamo, ty nic nie rozumiesz, ZSRR to najlepsze państwo na świecie? Bez wątpienia prognozy na przyszłość są coraz gorsze.

Nie boisz się, że tak naprawdę jest już za późno na jakiekolwiek działania? Że młodzi Rosjanie wejdą w dorosłość, nawet jeśli nie jako putiniści, to jako bierni, pasywni i konformistyczni ludzie?

A czego mam się bać, skoro jestem pewny, że tak będzie? Nie chcę, żeby to zabrzmiało jako oskarżenie wobec wszystkich, którzy żyją w Rosji, ale jeśli mówimy o „społeczeństwie", to jego większość jest zarażona tym całym brudem. I nie zdarzy się żaden cud. Nawet gdyby jutro przyszedł nowy Michaił Gorbaczow i powiedział, że to już koniec i zaczyna się pierestrojka. Nic by to nie zmieniło bez uzdrowienia, bez po-

eprasa.pl

wszechnej narodowej skruchy. Już raz się to zdarzyło i widzieliśmy, co się stało bez skruchy, bez mówienia o tym, jak nasi ojcowie i dziadkowie zabijali oraz więzili innych ludzi. I może nie każda rodzina miała z tym coś wspólnego, ale każda była częścią tego ludu. Bez *katharsis* ta historia będzie się powtarzać. Nowy Putin po prostu wróci za piętnaście lat. Niestety nie jestem optymistą.

Załóżmy, że Putin upada i w Rosji zaczyna się demokratyzacja. Od czego powinno się zacząć w kontekście edukacji? Od samego minimum, czyli nauczania, co to znaczy być obywatelem, co oznacza demokracja?

Trzeba zacząć od tego, by ludzie zaczęli się zastanawiać: „Boże mój, jak bardzo byliśmy chorzy w głębi duszy". Należałoby ich zawieźć do Bachmutu, żeby spojrzeli na to miasto-widmo i przeszli się jego ulicami. Nie da się uniknąć bardzo silnego szoku ani zadania sobie pytania: „jak ja mogłem to popierać?". Potem, moim zdaniem, należy w stu procentach zweryfikować wszystkich nauczycieli, którzy współpracowali z reżimem. Chodzi mi na przykład o takich, którzy organizowali spotkania morderców z frontu ze swoimi uczniami. Lustracja i zakaz wykonywania zawodu. A dalej krok po kroku tłumaczyć, kim jest obywatel. Reżim Putina stara się pozbawiać ludzi tożsamości i ich „ja". Tę osobowość bardzo mozolnie trzeba ludziom przywrócić.

Ile Pana zdaniem pokoleń musi upłynąć, żeby dzisiejsza rosyjska młodzież zrozumiała to wszystko, o czym Pan mówi, to, w jakim reżimie żyła? Pytam, ponieważ wśród starszych Niemców, którzy przeszli proces denazyfikacji, nawet po latach pojawiały się głosy, że Hitler był zły, ale gospodarkę podniósł z ruin.

Może cię zaskoczę, ale mam na to pytanie konkretną odpowiedź. Powiem to jako Żyd: dokładnie czterdzieści lat. Wszystko jest napisane w Biblii. Wyjście z niewoli egipskiej trwało cztery dekady. To czas, kiedy człowiek może się odbudować. Pierwsze badania, w których większość Niemców przestała mówić, że Hitler był zły, ale dobrze zarządzał państwem, pojawiły się w 1985 roku, czyli czterdzieści lat po upływie wojny. Jeszcze w 1970 roku, gdy Willy Brandt klękał przed Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, większość Niemców uznała to za szaleństwo. To było dwadzieścia pięć lat po wojnie. Mamy więc pewną liczbę, którą opieram na Biblii. To czterdzieści lat, ale pod warunkiem bardzo wytężonej i ciężkiej pracy. Mojżesz bardzo długo się starał, żeby wyrwać Żydów ze stanu niewoli.

Dima Zicer jest popularnym rosyjskim nauczycielem i pedagogiem, dyrektorem teatralnym Instytutu Edukacji Nieformalnej; koordynator projektu „Miłość, a nie dyscyplina", autor książek poświęconych pedagogice.

fbb6fb8ff4

Jak służby i biznes walczą o kontrolę nad runetem

Paweł Jaskuła

Druga Służba FSB, uchodząca za jeden z najmroczniejszych oddziałów rosyjskich służb specjalnych, w coraz większym stopniu przejmuje kontrolę nad internetem w Rosji. Choć formalnie odpowiada przede wszystkim za ochronę ustroju konstytucyjnego i walkę z terroryzmem, jej działalność sięga znacznie dalej. W ostatnim roku szczególnie wzrosła aktywność „dwójki" w przestrzeni cyfrowej, gdzie kolejne blokady i ograniczenia prowadzą nie tylko do zaostrzenia cenzury, lecz także do konfliktu z rosyjskim biznesem i przebudowy dotychczasowego układu wpływów.

Ostatnie miesiące okazują się poważnym testem dla odporności i stabilności kremlowskiego reżimu w warunkach coraz odważniejszych ataków odwetowych Ukrainy i narastającej presji gospodarczej ze strony zachodnich sankcji, co prowadzi do poważnego naruszenia dotychczasowego kontraktu społecznego. W cieniu tych wydarzeń odbywa się również otwarta, choć cicha, rywalizacja o wpływy w rosyjskim internecie. Od połowy zeszłego roku jego faktycznymi gospodarzami stały się rosyjskie służby, które (na wzór chiński) patroszą jego zawartość z elementów uznanych za szkodliwe dla obecnej władzy.

Kto broni interesów?

Ministerstwo Cyfryzacji odpowiada za swoją działkę już tylko teoretycznie, ograniczając swoją sprawczość między innymi do otwartego przerzucania odpowiedzialności na operatorów sieci komórkowych oraz firmy z sektora IT za zwalczanie narzędzi, za pomocą których Rosjanie mogą obchodzić blokady internetowe (VPN). To jedno z ostatnich okien na „zewnętrzny" internet dla społeczeństwa, które w szybkim tempie traci dostęp do alternatywnego wobec kremlowskiego obiegu informacji. Kary za niestosowanie się do tych wytycznych są dotkliwe: od pozbawienia ulg podatkowych do usunięcia z „białych list" serwisów, które nie podlegają odgórnym

eprasa.pl

blokadom. Zmienia się również stosunek biznesu do samego ministerstwa, jeszcze do niedawna postrzeganego jako instytucja zdolna do obrony jego interesów.

Nie jest to jednak przypadek odosobniony, lecz raczej rozszerzenie na kolejne branże tendencji widocznej w rosyjskiej gospodarce od pewnego czasu. Państwo coraz częściej przerzuca na biznes koszty radzenia sobie ze skutkami zagrożeń, za które wcześniej samo brało odpowiedzialność. Dobrym przykładem są rosyjskie przedsiębiorstwa przemysłowe, zmuszane do samodzielnego pokrywania kosztów szkód wyrządzanych przez ataki ukraińskich dronów na ich zakłady.

Na czele Drugiej Służby FSB stoi siedemdziesięciojednoletni generał Aleksiej Siedow, który zna Władimira Putina od lat osiemdziesiątych, kiedy obaj służyli w leningradzkich strukturach KGB. Siedow pełni funkcję nieprzerwanie od 2006 roku, kiedy otrzymał nominację z rąk ówczesnego i obecnego prezydenta Federacji Rosyjskiej. To właśnie Siedow miał być inicjatorem zeszłorocznych działań wymierzonych w popularne komunikatory Telegram i WhatsApp.

W lutym tego roku, tuż przed pełną blokadą pierwszego z nich, zarówno w „Komsomolskiej Prawdzie", jak i „Gazecie Rosyjskiej" ukazały się niemal równocześnie druzgocące artykuły na temat Telegramu. Zarzucano w nich, że projekt Pawła Durowa był wykorzystywany w 2022 roku do organizacji zamachów na Darię Duginę, publicystkę i córkę ideologa Aleksandra Dugina, w 2023 roku na Władlena Tatarskiego, prowojennego blogera i byłego bojownika separatystów w Donbasie, a także dziewięciu wysokich rangą rosyjskich wojskowych. Według danych przytaczanych w obu publikacjach od 2022 roku FSB miała udaremnić co najmniej czterysta siedemdziesiąt pięć zamachów terrorystycznych planowanych za pośrednictwem Telegrama. Sam komunikator przedstawiano natomiast jako narzędzie, które od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku miało być wykorzystywane przez służby państw NATO oraz – zgodnie z terminologią rosyjskiej propagandy – „reżim kijowski".

Runet przestaje być dla FSB przestrzenią wymagającą technicznego nadzoru, a w coraz większym stopniu staje się obszarem kontroli politycznej i ideologicznej.

Budowanie narracji wokół zagrożenia ze strony wroga wewnętrznego jest głęboko zakorzenione w historii „Dwójki", która już w okresie postsowieckim przejęła schedę po Piątym Zarządzie KGB – strukturze odpowiedzialnej za zwalczanie „dywersji ideologicznej" oraz prześladowanie dysydentów. Dzisiaj komórka ta odgrywa jedną z kluczowych ról w polityce wewnętrznej Rosji. Do długiej listy jej zadań należy nadzór nad sprawami dotyczącymi ekstremizmu, prowadzenie obserwacji działaczy opozycyjnych czy uczestnictwo w procedurach uznawania konkretnych

fbb6fb8ff4

organizacji za „niepożądane", a osób fizycznych za „zagranicznych agentów". Służba odgrywa również istotną rolę w sprawowaniu kontroli ideologicznej, wywierając wpływ na sferę kultury i organizacje religijne oraz zwalczając „niewłaściwe" interpretacje historii i polityki.

Zmiana, która dokonała się w ostatnich miesiącach, nie polega więc na samym wejściu FSB do rosyjskiego internetu. Służba była w nim obecna od lat, jednak kwestie związane z funkcjonowaniem sieci pozostawały przede wszystkim domeną jej wyspecjalizowanych struktur technicznych, czyli Centrum Bezpieczeństwa Informacyjnego oraz Służby Naukowo-Technicznej. To ich przedstawiciele utrzymywali dotychczas kontakty z branżą i uczestniczyli w pracach nad kluczowymi regulacjami, w tym dotyczącymi tzw. suwerennego runetu. Przesunięcie kontroli nad internetem w stronę „Dwójki" oznacza zmianę znacznie głębszą niż zwykła reorganizacja kompetencji. Runet przestaje być dla FSB przestrzenią wymagającą technicznego nadzoru, a w coraz większym stopniu staje się obszarem kontroli politycznej i ideologicznej.

Technokraci przegrywają ze służbami

Przejęcie kontroli nad runetem przez polityczno-ideologiczne struktury aparatu bezpieczeństwa, kosztem dominujących w tym obszarze technokratów, już pociągnęło za sobą szereg konsekwencji dla rosyjskiej gospodarki. Sektor IT, który jeszcze do niedawna postrzegał ministra cyfryzacji Maksuta Szadajewa jako adwokata swojej sprawy, musi nauczyć się funkcjonować w nowej rzeczywistości. Wciąż urzędujący, choć coraz bardziej marginalizowany minister ma przy tym na koncie szereg inicjatyw istotnych dla cyfryzacji Federacji Rosyjskiej. To za jego kadencji powstał portal Gosusługi (odpowiednik polskiego mObywatela). Szadajew roztoczył również parasol ochronny nad branżą IT w postaci licznych ulg podatkowych, odroczenia mobilizacji jej pracowników po rozpoczęciu wojny w Ukrainie oraz wsparcia procesu przechodzenia dużych rosyjskich przedsiębiorstw na krajowe oprogramowanie.

Szczególna pozycja Kowalczuka sprawiła, że w kolejnych latach jego interesy biznesowe coraz silniej splatały się z politycznymi priorytetami Kremla, w tym z przejmowaniem kontroli nad rosyjskim rynkiem medialnym i cyfrowym.

Informatorzy portalu The Bell uważają, że sam Szadajew uchodzi w środowisku za ostrożnego „aparatczyka", który stara się wciąż wnosić wartość do zarządzanego sektora, ale też nie za wszelką cenę. Nie oznacza to jednak, że bardziej radykalne propozycje siłowików przechodzą bez trudu. Podczas ostatniej rundy walki z VPN udało się między innymi zablokować po-

eprasa.pl

mysł automatycznego nakładania za pośrednictwem Gosusług kar finansowych na właścicieli kart SIM korzystających z narzędzi do obchodzenia blokad. Jego zawężające się faktyczne kompetencje są i tak maksimum tego, z czego może on korzystać w klimacie militaryzującej się Rosji. Według tego samego źródła wspomniany Siedow dysponuje znacznie większą realną władzą niż bezpośredni przełożony ministra, premier Miszustin.

Dążenia administracji prezydenta Federacji Rosyjskiej do ograniczenia społeczeństwu dostępu do internetu i narzędzi VPN przełożyły się negatywnie na popularność otoczenia Putina. Blokada najpopularniejszych komunikatorów wraz z trwającym niemal dwa miesiące – w marcu i kwietniu – odłączeniem mobilnego internetu w Moskwie wywołała niezadowolenie nawet wśród coraz bardziej pogrążonych w apatii i bierności Rosjan. Telegram jest przy tym tak silnie wbudowany w ich codzienne życie, że jego skuteczne odcięcie od sieci, na wzór zastosowanego wcześniej wobec YouTube'a, okazało się niemożliwe. Głosy sprzeciwu, obok zwykłych obywateli, podnieśli zarówno wojskowi służący na froncie ukraińskim i prowojenni blogerzy, jak i gubernatorzy niektórych regionów.

Próby ograniczenia dostępu do Telegrama przyniosły efekt odwrotny do zamierzonego, prowadząc do gwałtownego wzrostu zainteresowania VPN. W grudniu 2025 roku hasło to wpisano około 12 milionów razy do najpopularniejszej rosyjskiej wyszukiwarki Yandex. W marcu liczba wyszukiwań wzrosła do 16 milionów, a wstępne szacunki wskazują, że wiosną tego roku z VPN mogło korzystać w Rosji ponad 65 milionów osób. W tym samym czasie pogorszyły się również notowania prezydenta Władimira Putina. Na początku roku poziom jego poparcia spadł do 67,8 procent, po raz pierwszy od rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, schodząc poniżej 70 procent. Pogorszenie nastrojów społecznych może mieć znaczenie dla przebiegu zaplanowanych na wrzesień wyborów parlamentarnych.

Kasperska przeciwko cenzurze

W świetle opisywanych wydarzeń warto przypomnieć także nazwiska Natalii Kasperskiej oraz jej męża Igora Aszmanowa, którzy przez lata należeli do najbardziej wyrazistych prokremlowskich głosów w rosyjskiej branży IT. Mimo długoletniego poparcia dla władz kolejne blokady internetu i ograniczenia dostępu do popularnych serwisów skłoniły małżeństwo do zmiany dotychczasowego stanowiska. Od początku tego roku Kasperska coraz częściej występuje jako jedna z najbardziej zdecydowanych obrończyń dostępu do VPN i przeciwniczek dalszego zaostrzania kontroli nad siecią. Korzystając z pozycji wypracowanej przez lata, pod koniec kwietnia zdołała nawet doprowadzić do spotkania z funkcjonariuszami „Dwójki". Według

fbb6fb8ff4

członków kierowanego przez Kasperską Stowarzyszenia Producentów Oprogramowania „Otieczestwiennyj Soft" nie przyniosło ono jednak oczekiwanych rezultatów.

Spotkanie miało natomiast potwierdzić w oczach przedstawicieli branży dwie istotne sprawy. Po pierwsze, inicjatywa w zakresie blokowania internetu przeszła w ręce „Dwójki". Po drugie, podejmowane przez jej kierownictwo decyzje mają przede wszystkim podłoże polityczne, podczas gdy samym funkcjonariuszom Drugiej Służby ma brakować technicznego zaplecza niezbędnego do oceny ich konsekwencji.

Natalię Kasperską należy uznać za jedną z najbardziej wpływowych postaci rosyjskiego sektora IT, która przez lata cieszyła się osobistą przychylnością prezydenta Putina. W 2020 roku została odznaczona Medalem Orderu „Za zasługi dla Ojczyzny" II stopnia za wkład w rozwój rosyjskiego internetu. Jej pozycja nie miała przy tym wyłącznie charakteru symbolicznego. W przeszłości Putin kilkukrotnie przychylał się do postulatów Kasperskiej dotyczących sektora IT, między innymi w sprawie przedłużenia preferencyjnych stawek składek dla firm technologicznych w 2016 roku, a pod koniec 2025 roku przedsiębiorczyni odegrała istotną rolę w zabiegach o utrzymanie ulg podatkowych dla producentów oprogramowania.

Co szczególnie istotne, wraz z mężem przez lata popierała kurs władz na cyfrową odrębność państwa oraz zaostrzanie kontroli nad runetem. W jednym z wywiadów stwierdziła wprost, że w każdym użytkowniku internetu widzi potencjalnego przestępcę, a niedługo później podczas spotkania z prezydentem zwróciła się do niego z apelem o zaostrzenie filtrowania treści dostępnych w sieci.

Igor Aszmanow również należał do zwolenników zaostrzania kontroli nad runetem. Opowiadał się choćby za utworzeniem rosyjskich cyberwojsk i zablokowaniem YouTube'a, a pierwsze ograniczenia mobilnego internetu popierał, argumentując, że dostęp do sieci „nie jest podstawowym prawem obywatelskim".

Nastawienie małżonków do sytuacji panującej w runecie zmieniło się diametralnie na początku kwietnia, kiedy Natalia Kasperska wystąpiła z otwartą krytyką Roskomnadzoru. Zwróciła wówczas uwagę, że instytucja ta, w efekcie prowadzonej walki z VPN, sparaliżowała połowę usług dostępnych wcześniej w runecie. Dzień wcześniej przez Rosję przetoczyła się fala poważnych awarii, dotykając między innymi Sbier, VTB oraz system szybkich płatności. Kasperska przekonywała, że źródłem tych zakłóceń nie były ataki z zewnątrz, jak sugerowały władze, lecz działania rodzimych regulatorów. Niedługo później jej mąż napisał na swoim zamkniętym blogu, że wśród obywateli narasta poczucie nieufności, a nawet nienawiści wobec władzy, która według własnego uznania ogranicza ich swobody.

Za radykalną zmianą stanowiska stały przede wszystkim gospodarcze konsekwencje blokad. Kasperska podkreślała w liście do premiera Miszustina, że nie ma technicznej możliwości skutecznego odróżnienia VPN wykorzystywanych do obchodzenia

eprasa.pl

cenzury od zwykłego szyfrowanego ruchu czy korporacyjnych sieci VPN. W rezultacie działania regulatorów uderzają również w legalną infrastrukturę biznesową. Problem dotknął bezpośrednio pracowników firmy Kasperskiej, InfoWatch, którzy korzystają z VPN między innymi w celu uzyskania dostępu do zagranicznych narzędzi, aktualizacji i repozytoriów niedostępnych z rosyjskich adresów IP.

Ministerstwo Cyfryzacji i Roskomnadzor zaproponowały Kasperskiej wpisanie firmowych adresów IP na tzw. białą listę legalnych VPN. Przedsiębiorczyni odrzuciła jednak to rozwiązanie, argumentując, że jej firmy już znajdują się „jedną nogą pod sankcjami", a ujawnienie wykorzystywanych przez nie adresów IP mogłoby ułatwić zagranicznym dostawcom ich identyfikację i odcięcie od kluczowych zasobów. Obawy te nie są całkowicie abstrakcyjne, gdyż sama Kasperska została objęta sankcjami Kanady, natomiast jej mąż trafił na listę państw Unii Europejskiej. Zdaniem przedsiębiorczyni zmuszanie rosyjskich firm IT do korzystania z ograniczonego zestawu zatwierdzonych usług oznacza więc w praktyce „pomaganie w realizacji zagranicznych sankcji".

Przypadek Kasperskiej pokazuje, że polityka coraz szczelniejszej kontroli runetu zaczyna uderzać również w środowiska, które przez lata wspierały koncepcję rosyjskiej suwerenności cyfrowej. Źródłem sprzeciwu nie jest jednak zasadnicza zmiana poglądów na wolność internetu, lecz rosnące koszty gospodarcze blokad, utrudniających funkcjonowanie rosyjskich firm technologicznych i paradoksalnie zwiększających ich podatność na zachodnie sankcje. Spór pokazuje zarazem zmianę układu sił: argumenty biznesowe i techniczne coraz wyraźniej ustępują logice bezpieczeństwa forsowanej przez FSB.

Walka o rosyjskiego klienta

W cieniu batalii pomiędzy służbami, ministerstwem i przedstawicielami biznesu o docelowy kształt runetu toczy się także narastająca rywalizacja między największymi rosyjskimi bankami a internetowymi platformami handlowymi (marketplace'ami). Jej początki sięgają jesieni ubiegłego roku, kiedy banki podjęły próbę ograniczenia rosnącej ekspansji platform na rynek usług finansowych. Szybko okazało się jednak, że nie będzie to łatwe. Marketplace'y cieszą się w Rosji ogromną popularnością, a przy tym nie ograniczają się już do pośrednictwa w sprzedaży, lecz rozwijają własne usługi finansowe i linie kredytowe, premiując klientów korzystających z nich podczas dokonywania zakupów. W rezultacie rosyjskim bankom wyrósł poważny konkurent w walce o klienta.

Konflikt zaostrzył się na początku listopada ubiegłego roku, kiedy German Gref, prezes Sbierbanku, otwarcie oskarżył platformy handlowe o stosowanie praktyk nie-

fbb6fb8ff4

uczciwej konkurencji oraz generowanie strat dla budżetu państwa z tytułu niezapłaconych podatków, szacowanych na około 18 miliardów dolarów. W odpowiedzi przedstawiciele pięciu największych banków detalicznych w Rosji – Sbiera, VTB, T-Banku, Alfa-Banku oraz Sovkombanku – wystosowali oficjalne pismo do przewodniczącego Dumy Państwowej Wiaczesława Wołodina, proponując wprowadzenie zakazu udzielania przez platformy rabatów finansowanych z ich własnych środków oraz stosowania pośrednich form finansowania zakupów. Szczególny sprzeciw banków wzbudzała praktyka oferowania klientom dodatkowych rabatów w przypadku dokonywania płatności za pośrednictwem instytucji finansowych powiązanych z daną platformą.

W kwietniu tego roku szefowa rosyjskiego Banku Centralnego, Elwira Nabiullina, publicznie stwierdziła, że w niedalekiej przyszłości banki należące do platform cyfrowych mogą trafić na listę instytucji kredytowych o znaczeniu systemowym, wskazując przy tym na szybkie tempo ich rozwoju. Jej zdaniem objęcie ich takim statusem pozwoliłoby wyrównać warunki konkurencji, co nabiera szczególnego znaczenia w sytuacji, gdy granice między sektorem bankowym a handlem internetowym coraz bardziej się zacierają. Kwestia regulacji największych marketplace'ów została zatem niejako odłożona w czasie, co skłoniło niezadowolone banki do zmiany strategii.

Skoro nie udało się szybko ograniczyć ekspansji marketplace'ów za pomocą regulacji, banki zaczęły szukać możliwości wejścia do rozwijanych przez nie ekosystemów finansowych. Pod koniec maja VTB i grupa Wildberries&Russ (WB) poinformowały o strategicznym partnerstwie, w ramach którego bank ma objąć 5 procent udziałów w WB Banku z możliwością zwiększenia swojego zaangażowania w przyszłości. VTB ma ponadto uzyskać mniejszościowe udziały w innych aktywach fintechowych grupy. W zamian WB Bank otrzyma dostęp do infrastruktury VTB, obejmującej między innymi sieć oddziałów detalicznych i bankomatów, a także produkty inwestycyjne i kredytowe. Dla VTB szczególnie istotny jest natomiast dostęp do ogromnej bazy klientów platformy.

Niemal równocześnie pojawiły się informacje o możliwości kapitałowego zaangażowania Sbiera w Ozonie. Pod koniec maja „Kommiersant" podał, że struktury banku prowadziły rozmowy z holdingiem inwestycyjnym AFK Sistema w sprawie nabycia należącego do niego pakietu 31,8 procent akcji Ozonu. Rozważany mechanizm zakładał możliwość przejęcia udziałów w ramach rozliczenia istniejącego zadłużenia, co pozwoliłoby Sistemie ograniczyć obciążenie długiem, a Sbierowi uzyskać bezpośredni dostęp do bazy klientów jednej z największych platform handlowych w kraju.

Informacje te należy jednak traktować ostrożnie. Na początku czerwca założyciel AFK Sistema Władimir Jewtuszenkow potwierdził, że rozmowy ze Sbierem rzeczywiście się odbywały, ale nie doprowadziły do zawarcia porozumienia. Sam German

eprasa.pl

Gref stwierdził natomiast, że Sbier nie planuje obecnie wejścia kapitałowego ani w Ozon, ani w Wildberries. Tym samym przypadek Ozonu pozostaje przede wszystkim ilustracją zainteresowania sektora bankowego aktywami największych platform, a nie sfinalizowanym przejęciem.

Zmiana strategii największych rosyjskich banków może mieć daleko idące konsekwencje dla całego rynku. Wejście kapitałowe do finansowych struktur marketplace'ów zapewnia im nie tylko dostęp do ogromnej bazy klientów, lecz także możliwość uczestniczenia w rozwijanych przez platformy ekosystemach płatniczych i kredytowych. W dłuższej perspektywie stawką jest jednak coś więcej: ograniczenie samodzielności finansowej marketplace'ów i podporządkowanie ich usług finansowych największym bankom. Jeżeli powstające obecnie alianse okażą się trwałe, własne banki i inne finansowe spółki zależne platform mogą stopniowo tracić na znaczeniu. Oznaczałoby to, że tradycyjne banki, zamiast wypierać marketplace'y z rynku, zaczną przejmować wpływ na najbardziej konkurencyjną część rozwijanych przez nie ekosystemów.

Beneficjenci nowego runetu

Postępująca konsolidacja rosyjskiego rynku cyfrowego nie ogranicza się jednak do ekspansji największych banków. Równolegle coraz większa część najważniejszych aktywów internetowych trafia w orbitę biznesmenów należących do najbliższego otoczenia Kremla. Najbardziej wyrazistym przykładem tego procesu jest Jurij Kowalczuk. Od lat przewija się w rosyjskich mediach, gdyż od dawna należy on do grona najbliższych i najbardziej zaufanych oligarchów Władimira Putina. Początki tej znajomości sięgają lat dziewięćdziesiątych, gdy obaj należeli do grona udziałowców spółdzielni daczowej Ozero pod Petersburgiem.

Jej członkowie zaczęli zajmować eksponowane i wpływowe pozycje w państwie i biznesie po dojściu Putina do władzy. Amerykański Departament Skarbu już w 2014 roku zaliczył Kowalczuka do najbliższego otoczenia rosyjskiego prezydenta, określając go jako jednego z jego „kasjerów". Biznesowe imperium Kowalczuka powstało wokół Banku Rossija, z którym została powiązana rozległa grupa aktywów finansowych i medialnych. Ta szczególna pozycja sprawiła, że w kolejnych latach jego interesy biznesowe coraz silniej splatały się z politycznymi priorytetami Kremla, w tym z przejmowaniem kontroli nad rosyjskim rynkiem medialnym i cyfrowym.

Obecnie proces ten obejmuje także czołowe rosyjskie przedsiębiorstwa internetowe. Jak zauważa The Bell, VK, Yandex i Ozon mimo zupełnie różnych modeli biznesowych mają dziś jednego wspólnego akcjonariusza – Kowalczuka. Według portalu oligarcha kontroluje obecnie nie tylko znaczną część rosyjskiego rynku tele-

fbb6fb8ff4

wizyjnego i medialnego, lecz także „niemal cały biznes internetowy w kraju". Podobną tendencję dostrzega Ośrodek Studiów Wschodnich w opublikowanym w lutym 2026 roku raporcie *Wierni pretorianie Kremla*. Jego autorzy wskazują, że Kowalczuk aspiruje do „sprawowania kontroli nad rosyjskim rynkiem handlu internetowego i usług", zabiegając o aktywa Wildberries, Ozonu oraz kilku innych platform odpowiadających łącznie za około dwie trzecie rynku.

Przyglądając się wynikom finansowym VK, Yandexu i Ozonu za 2025 rok, które opublikowano w marcu br., można odczytać przynajmniej kilka interesujących trendów. Najbardziej oczywistym beneficjentem postępującej izolacji rosyjskiego internetu powinno być VK, które korzysta na blokowaniu zagranicznych konkurentów (głównie platformy YouTube). Efekty biznesowe pozostają jednak zaskakująco ograniczone: mimo wzrostu liczby użytkowników i czasu spędzonego na platformach grupy jej przychody wzrosły jedynie o 8 procent rok do roku, a wpływy z reklam internetowych o 2 procent. Poprawa sytuacji finansowej VK nie wynikała jednak wyłącznie z uzdrowienia podstawowej działalności. Kluczowe znaczenie miała emisja nowych akcji o wartości około 1,3 miliarda dolarów, wykupiona przez podmioty związane ze strukturami Jurija Kowalczuka oraz Gazprom-Media. Dzięki temu zadłużenie grupy spadło w ciągu roku z ponad dwóch miliardów dolarów do niespełna miliarda dolarów.

Konsolidacja rosyjskiego rynku cyfrowego nie ogranicza się do ekspansji największych banków. Coraz większa część najważniejszych aktywów internetowych trafia w orbitę biznesmenów należących do najbliższego otoczenia Kremla.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja Yandeksu. Po przejęciu rosyjskiej części spółki przez zatwierdzone przez Kreml konsorcjum inwestorów w 2024 roku firma po raz pierwszy zaczęła regularnie wypłacać dywidendy. Łącznie do jej akcjonariuszy trafiło już około 1,1 miliarda dolarów. Kondycję spółki wspiera przy tym szeroko zdywersyfikowany model biznesowy. Według danych opublikowanych przez Yandex sam segment usług przewozowych (RideTech), którego podstawę stanowi Yandex Taxi, wygenerował w 2025 roku równowartość około 3,3 miliarda dolarów przychodów. Jednocześnie spółka intensywnie rozwija rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji – według jej danych z Alice AI korzysta już 19 milionów użytkowników tygodniowo. Wśród udziałowców znajduje się również Paweł Prass, wieloletni menedżer struktur Kowalczuka, którego spółka UK Agana uczestniczyła zarazem w dokapitalizowaniu VK.

Jeszcze bardziej wymowny jest przypadek Ozonu. W 2025 roku pakiet około 27,7 procent akcji należący wcześniej do Baring Vostok trafił do Aleksandra Cza-

eprasa.pl

czawy. Według rozmówców The Bell nabywca działał przy tej transakcji w interesie Kowalczuka. Zaledwie kilka miesięcy po zmianie struktury właścicielskiej Ozon – po dwudziestu pięciu latach działalności przynoszącej straty – po raz pierwszy zdecydował się wypłacić akcjonariuszom dywidendę, przeznaczając na ten cel około 30 miliardów rubli. Decyzja zbiegła się przy tym z gwałtownym rozwojem finansowej części biznesu – liczba aktywnych klientów segmentu fintechowego Ozonu wzrosła w 2025 roku do niemal czterdziestu dwóch milionów.

Powyższe przykłady pokazują zatem, że rosnące wpływy Kowalczuka w rosyjskim sektorze cyfrowym nie opierają się na jednym modelu biznesowym. VK mimo uprzywilejowanej pozycji wynikającej z blokowania zagranicznej konkurencji nadal wymagało wielomiliardowego wsparcia swoich akcjonariuszy. Yandex pozostaje natomiast dochodowym aktywem, które po zmianach właścicielskich zaczęło regularnie wypłacać dywidendy, podczas gdy Ozon dopiero wchodzi w podobną fazę. Wspólnym mianownikiem pozostaje postępująca koncentracja najważniejszych rosyjskich aktywów cyfrowych wokół wąskiego grona inwestorów powiązanych z Kremlem, wśród których środowisko Jurija Kowalczuka zajmuje szczególnie istotne miejsce.

Nowy model władzy

Zachodzące w ostatnich miesiącach zmiany pokazują, że przebudowa runetu wchodzi w kolejną fazę. Nie chodzi już wyłącznie o ograniczanie dostępu do zagranicznych platform, blokowanie VPN czy zwiększanie możliwości inwigilacji użytkowników. Coraz wyraźniej zmienia się sam układ sił odpowiedzialnych za funkcjonowanie rosyjskiego internetu. Technokratyczne podejście, reprezentowane dotychczas przede wszystkim przez Ministerstwo Cyfryzacji, ustępuje miejsca logice bezpieczeństwa forsowanej przez FSB. W takim modelu sprawność infrastruktury, interes przedsiębiorstw czy koszty gospodarcze podejmowanych decyzji stają się kwestiami drugorzędnymi wobec możliwości sprawowania politycznej kontroli nad przestrzenią cyfrową.

Paradoksalnie jednak system ten zaczyna generować rosnący opór wewnątrz własnego zaplecza. Przykład Natalii Kasperskiej pokazuje, że nawet przedstawiciele biznesu, którzy przez lata wspierali koncepcję suwerennego runetu, zaczynają protestować, gdy mechanizmy stworzone do kontrolowania obywateli uderzają bezpośrednio w działalność ich biznesów. Jednocześnie konflikt banków z marketplace'ami oraz postępujące wpływy środowiska Jurija Kowalczuka pokazują drugi wymiar zachodzących zmian: ograniczanie konkurencji i zwiększanie kontroli państwa sprzyjają koncentracji najważniejszych aktywów cyfrowych wokół wąskiego grona podmiotów powiązanych z Kremlem.

fbb6fb8ff4

W rezultacie powstaje system, w którym granica między bezpieczeństwem państwa, regulacją gospodarki i interesem ekonomicznym jego beneficjentów staje się coraz mniej czytelna. Państwo może jednocześnie ograniczać swobodę funkcjonowania internetu, zwiększać kontrolę nad przepływami finansowymi i tworzyć nowe źródła dochodów, podczas gdy uprzywilejowane grupy biznesowe uzyskują dostęp do kolejnych segmentów rynku. Nowy runet staje się więc nie tylko narzędziem politycznej kontroli społeczeństwa, lecz również mechanizmem redystrybucji wpływów, kapitału i dostępu do rynku.

Rosnąca liczba awarii, problemy przedsiębiorstw z dostępem do zagranicznych narzędzi, uzależnienie biznesu od VPN oraz coraz bardziej widoczny konflikt między aparatem bezpieczeństwa a częścią rosyjskiego sektora technologicznego pokazują, że dalsze uszczelnianie runetu może prowadzić do jego postępującej izolacji od globalnego ekosystemu cyfrowego. W dłuższej perspektywie ograniczony dostęp do zagranicznego oprogramowania, repozytoriów, technologii i wiedzy może pogłębiać dystans technologiczny dzielący Rosję od najbardziej rozwiniętych gospodarek.

Paweł Jaskuła specjalizuje się w ekonomii politycznej. Absolwent międzynarodowych stosunków gospodarczych Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu oraz Europejskiej Akademii Dyplomacji (Art of Diplomacy) na ścieżce Instytucje Międzynarodowe, uczestnik studiów MBA realizowanych na University of Nanjing. Od 2017 roku specjalizuje się w zagadnieniach dotyczących polityki rozwojowej i innowacjach państw Azji Centralnej i Wschodniej oraz BRICs. W 2024 roku opublikował książkę *W cieniu smoków i tygrysów*.

eprasa.pl

Bratobójstwo, czyli koniec dwuwładzy w Kirgistanie

Miłosz Szymański

10 lutego 2026 roku doszło w Kirgistanie do politycznego trzęsienia ziemi. Po nim przez kolejne miesiące mogliśmy obserwować, jak system polityczny w tym demokratycznym niegdyś kraju wraca do regionalnych ustawień fabrycznych.

W ostatnich latach, gdy demokracja i wolność słowa zanikają, Kirgistan różnił się od sąsiadów tym, że u sterów władzy stały dwie osoby, reprezentujące dwie grupy interesów z dwóch regionów kraju. Jednak 10 lutego prezydent Sadyr Dżaparow pozbawił wszystkich stanowisk do niedawna pozornie wszechwładnego Kamczybeka Taszyjewa, otworzył tym samym nowy rozdział w historii kraju. Tak oto Kirgistan zamienia się powoli w personalistyczną autokrację na wzór pozostałych państw centralnoazjatyckiej piątki. To także opowieść o wieloletniej prywatnej i politycznej przyjaźni dwóch polityków, którzy ramię w ramię robili karierę, ratowali się i doszli do władzy. Kiedy obaj stanęli na szczycie, szybko okazało się, że jest tam miejsce tylko dla jednego. W tej historii słychać echo średniowiecznych opowieści o dwóch druhach, którzy przez pół życia walczą, by zdobyć królestwo tylko po to, by na końcu jeden zdradził drugiego i sztyletem wepchniętym w serce zapewnił sobie pełnię władzy.

Dwóch druhów i władca

Sadyr Dżaparow i Kamczybek Taszyjew są rówieśnikami – obaj urodzili się w 1968 roku. Taszyjew urodził się i wychował na przedmieściach Dżalalabadu w Kotlinie Fergańskiej. Dżaparow z kolei pochodzi z górskiej wioski położonej nieopodal jeziora Issyk-Kul na północno-wschodnim krańcu kraju. Miejsca ich pochodzenia określiły także ich dalszą drogę zawodową. Obaj odbyli służbę w armii radzieckiej, potem poszli na studia. Taszyjew wyjechał do Tomska, skąd wrócił z dyplomem inżyniera chemii w 1992 roku do już niepodległego Kirgistanu. Dżaparow uzyskał

fbb6fb8ff4

zawód trenera w Akademii Wychowania Fizycznego w Biszkeku. Następnie obaj studiowali prawo w Biszkeku.

Taszyjew po studiach zaczął pracować w przemyśle w Dżalalabadzie, korzystając ze znajomości, rozkręcił rodzinne interesy. Dżaparow z dyplomem wrócił do tego samego kołchozu, w którym pracował jeszcze jako nastolatek. Szybko został jego wicedyrektorem, a później – podobnie jak Taszyjew – pracował na dyrektorskich stanowiskach w różnych przedsiębiorstwach. Po trzydziestce obaj weszli do polityki. Miało to miejsce podczas trzeciej kadencji Askara Akajewa, który rządził Kirgistanem przez pierwszych piętnaście lat jego niepodległości.

Akajew był przywódcą autorytarnym i skorumpowanym, który podobnie jak sąsiedzi traktował kraj jak folwark, a władzę nad nim jako oczywistość. Nie był jednak władcą brutalnym, jak na przykład Islam Karimow w Uzbekistanie, czy groteskowym jak Saparmurat Nijazow w Turkmenistanie. Było mu znacznie bliżej do autorytarnego technokraty w stylu Nursułtana Nazarbajewa z Kazachstanu. Nie chciał setkami aresztować i mordować opozycjonistów ani przemianowywać dni tygodnia i nazw miesięcy. Zadowalał się uwłaszczaniem majątku państwowego i wzbogacaniem rodziny i znajomych państwowymi kontraktami. Dobrym przykładem jest umowa na budowę i eksploatację kopalni złota Kumtor, którą podpisał z Cameco Corporation. Umowa ta była bardzo niekorzystna dla Kirgistanu, gdyż gros zysków szło do Cameco, ale Akajew chwalił się, że stworzył setki miejsc pracy. Do dziś nie wiadomo, ile i w jakiej walucie Akajew otrzymał za podpisanie i wieloletnie egzekwowanie takiej umowy. Nie wiemy też, dlaczego biznesowy partner Akajewa Borys Bersztejn wiózł do Szwajcarii półtorej tony złota na pokładzie swojego prywatnego odrzutowca. Askar Akajew był jednak przywódcą, który w obliczu dziesiątek tysięcy protestujących pod Białym Domem w Biszkeku wolał uciec z rodziną do Moskwy, niż utopić protesty we krwi.

Taszyjew i Dżaparow dostali się do parlamentu w 2005 roku. Były to wybory, w trakcie których pojawiło się mnóstwo oskarżeń o fałszerstwa i nadużycia. Doprowadziły one do protestów nazwanych tulipanową rewolucją oraz do upadku Akajewa. Parlamentu jednak nie rozwiązano i funkcjonował on aż do 2007 roku, kiedy odbyły się przyspieszone wybory. Taszyjew był posłem akajewowskiej partii Alga, Kyrgyzystan! (Naprzód, Kirgistan!), a Dżaparow opozycyjnej Keleczek (Przyszłość). Obaj zrezygnowali ze startu w przyspieszonych wyborach, by podjąć pracę w administracji Kurmanbeka Bakijewa.

Taszyjew został ministrem do spraw sytuacji nadzwyczajnych, a Dżaparow – doradcą prezydenta, a potem dyrektorem Narodowej Agencji Zapobiegania Korupcji. Taszyjew inspirował się Rosjaninem Siergiejem Szojgu, który dwoił się i troił, by przy okazji każdej powodzi, pożaru czy innej katastrofy być widocznym w mediach, co

eprasa.pl

dało mu ogromną popularność. Dżaparow z kolei kreował wizerunek szeryfa, ale tak się składało, że walcząc z korupcją, nie znajdował żadnej w otoczeniu prezydenta. Był to tylko jeden z elementów systemu budowanego przez Bakijewa. Obsadzał on bliskich sobie ludzi na kluczowych stanowiskach, w tym przede wszystkim własnego brata Żanysza mianował szefem Państwowej Służby Bezpieczeństwa, a swojego syna Maksyma usadził na czele Centralnej Agencji Rozwoju, co dawało mu kontrolę nad ogromnymi środkami na inwestycje z państwowego budżetu. Taszyjew został mianowany według identycznego klucza, gdyż pochodził z tego samego przedmieścia Dżalalabadu co Bakijew.

Zima początku końca

Autorytaryzm Bakijewa nie podobał się tak samo jak autorytaryzm Akajewa. Iskrą, która wznieciła społeczne niezadowolenie, była ciężka zima na przełomie 2009 i 2010 roku, podczas której dochodziło do przerw w dostawach energii i ogrzewania w domach, co obnażyło nieudolność Bakijewa i mocno kontrastowało z korupcją jego otoczenia. Obalenie Bakijewa przez społeczne protesty mogło być końcem politycznych karier Taszyjewa i Dżaparowa, ale okazało się inaczej. Obaj zaprzyjaźnili się na tyle, że do wyborów w 2010 roku szli razem na czele partii Ata-Żurt (Ojczyzna), której głównym postulatem było przywrócenie obalonego Bakijewa. Partia ta zdobyła największe poparcie (15,9 procent), ale nie mogła utworzyć rządu i pozostała w opozycji. Wystawiła jednak swojego kandydata w wyborach prezydenckich w 2011 roku. Z racji tego, że przebywającemu w Mińsku Bakijewowi groził areszt w ojczyźnie, Ata-Żurt wystawiła Kamczybeka Taszyjewa, który zdobył niespełna 15 procent głosów i zajął trzecie miejsce. Wtedy też duet Taszyjew–Dżaparow przeżył najcięższą próbę wytrwałości i lojalności.

Sadyr Dżaparow został prezydentem, a kim właściwie został Kamczybek Taszyjew? Szarą eminencją, człowiekiem numer dwa, prawą ręką, współprezydentem? To miało się wyjaśnić przez najbliższe pięć lat.

W 2012 roku wróciła sprawa kopalni Kumtor, która szybko stała się najważniejszym przedsiębiorstwem w kraju. Wydobywane w niej złoto stanowiło jedną dziesiątą krajowego PKB i około połowy wartości eksportu, ale niewiele z tego bogactwa docierało do państwowego budżetu. Taszyjew i Dżaparow organizowali protesty i mitingi, podczas których domagali się nacjonalizacji kopalni. 3 października 2012 roku poprowadzili marsz pod Biały Dom (w którym mieści się siedziba parlamentu, rządu i prezydenta), a następnie na czele tłumu sforsowali ogrodzenie. Zo-

fbb6fb8ff4

stali aresztowani pod zarzutem próby siłowego przejęcia władzy, a kilka miesięcy później skazani na półtora roku pozbawienia wolności. Stracili wtedy mandaty poselskie i zdawało się po raz kolejny, że ich kariery polityczne dobiegły końca. Prezentowali się jako więźniowie polityczni, którzy z narażeniem życia walczą o interesy kraju. Zostali ostatecznie ułaskawieni po zaledwie trzech miesiącach odsiadki przez prezydenta Ałmazbeka Atambajewa. Dla Taszyjewa był to sygnał, że czas zadbać o rodzinne interesy i lokalne układy, w tym o niewielką rafinerię w Dżalalabadzie, a dla Dżaparowa, że żadna realna kara mu nie grozi i czas wrócić do aktywizmu. Kilka tygodni po wyjściu z więzienia Dżaparow zorganizował serię protestów pod kopalnią Kumtor. Podczas jednego z nich odcięto zasilanie w zakładzie, a w trakcie innego próbowano pojmać pełnomocnika rządu Emilbeka Kaptagajewa. Władze aresztowały wtedy organizatorów protestów, ale nie samego Dżaparowa, który zdążył wyjechać za granicę. Ukrywał się (w tym także w Polsce) przed wymiarem sprawiedliwości przez cztery lata.

Powroty, rewolucje

Sadyr Dżaparow zapowiedział jednak, że wraca i że na granicy witać go będą tysiące sojuszników. Było ich w rzeczywistości stu, a policjanci nie mieli problemu z tym, by go zatrzymać i zabrać do aresztu. Usłyszał wyrok jedenastu i pół roku pozbawienia wolności i wyglądało na to, że do końca 2028 roku nie wyjdzie z więzienia. Stary druh postarał się jednak, żeby było inaczej.

Taszyjew z Dżalalabadu, a Dżaparow zza krat reaktywowali swoją partię, którą przemianowali na Mekneczil (Patriota). Następnie Taszyjew zaczął organizować wiece, na których domagał się zwolnienia więźnia politycznego Dżaparowa, krytykował ustępującego prezydenta Atambajewa i wybranego po nim Sooronbaja Dżeenbekowa, a także prezentował siebie i Dżaparowa jako ostatnich uczciwych polityków w kraju. Przesłanie to najlepiej zawarli w haśle partii, które brzmiało „Władzę – ludziom, złodziei – do więzienia". Wiece te pomogły im uzyskać rozgłos, ale niewiele więcej. W Kirgistanie znów jednak wydarzyła się rewolucja, po której Dżaparow z Taszyjewem spadli na cztery łapy.

Po okresie demokratyzacji w trakcie prezydentury Rozy Otunbajewej (2010–2011) i Ałmazbeka Atambajewa (2011–2017) nastąpił nawrót autorytaryzmu za rządów Sooronbaja Dżeenbekowa (2017–2020). Dżeenbekow nie był zainteresowany mediami, które go krytykują, opozycją, która może wygrać wybory i służbami, które pozostając niezależne od niego, patrzą mu na ręce, za to bardzo mu zależało na tym, by członkowie jego rodziny zasiadali na jak największej liczbie stanowisk. Poza tym nie był w stanie sprawnie zarządzać krajem w trakcie pandemii, ale mimo to zde-

eprasa.pl

cydował się zorganizować wybory parlamentarne, w których popierające go partie zdobyły niespełna połowę głosów, co przełożyło się na trzy czwarte miejsc w parlamencie. To okazało się zapalnikiem trzeciej w historii Kirgistanu rewolucji, która obaliła kolejnego aspirującego autokratę.

Do powyborczych protestów dołączył Taszyjew, który na czele sporego tłumu stronników pomaszerował pod budynek więzienia, w którym znajdował się Dżaparow. Strażnicy więzienni uznali, że nie będą ryzykować życiem i zdrowiem dla reżimu, który właśnie upada, i wypuścili Dżaparowa. Taszyjew i Dżaparow, znowu razem po siedmiu latach, przeszli na centralny plac Biszkeku, Ala-Too, gdzie zorganizowali wielki wiec. Domagali się, by parlament mianował Dżaparowa premierem, gdyż tylko on ma mandat, by ratować kraj. Parlament nie mógł obradować w Białym Domu, gdyż ten został podpalony w trakcie protestów, zebrał się więc w Hotelu Dostuk. Nie wiadomo, ilu dokładnie parlamentarzystów było na sali i czy mieli w związku z tym kworum, ale przegłosowali mianowanie Dżaparowa na premiera. Tydzień później oburzony Dżeenbekow domagał się, by parlament jeszcze raz przegłosował ten wniosek, i tak też się stało. Po tym upokorzeniu ustąpił i wyjechał na Hadżdż do Mekki. Zgodnie z kirgiską konstytucją w razie rezygnacji prezydenta aż do wyboru nowego jego obowiązki sprawuje premier. W ten sposób Sadyr Dżaparow został prezydentem. A kim właściwie został Kamczybek Taszyjew? Szarą eminencją, człowiekiem numer dwa, prawą ręką, współprezydentem? To miało się wyjaśnić przez najbliższe pięć lat.

Dwuwładza w Kirgistanie

Po październikowym przewrocie sprawy nabrały tempa. 10 stycznia 2021 roku odbyły się wybory prezydenckie. Dżaparow otrzymał w nich 80 procent poparcia. Równocześnie zorganizowano referendum, w którym 84 procent Kirgizów opowiedziało się za prezydenckim systemem sprawowania rządów. Trzy miesiące później w kolejnym referendum 85 procent Kirgizów zagłosowało za nową konstytucją napisaną przez Dżaparowa i Taszyjewa, a w listopadzie zorganizowano według niej wybory parlamentarne. Dżaparow w ciągu roku przeszedł drogę od więziennej celi do prezydentury w niewielkim tylko stopniu ograniczonej wolą parlamentu. Kamczybek Taszyjew z kolei już 16 października, to jest pierwszego dnia pełnienia obowiązków prezydenta przez Dżaparowa, został mianowany dyrektorem Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego (GKNB), czyli dawnego KGB. Już od pierwszych dni postanowił uczynić ze swojej służby superministerstwo na wzór rosyjskiego FSB. Szybko więc poza czysto wywiadowczymi i kontrwywiadowczymi funkcjami dostała ona także pełnomocnictwa do walki z korupcją, ochrony granic, zwalczania

fbb6fb8ff4

nielegalnej działalności wewnątrz kraju i nieformalnie zyskała prawo do nadzorowania działalności policji i prokuratury w każdej sprawie, którą dyrektor był zainteresowany. Poza tym Taszyjew został *de facto* gubernatorem południa kraju, gdzie żadne większe inwestycje i interesy nie mogły się rozwijać bez jego zgody i poparcia.

Tak rozpoczął się pięcioletni okres dwuwładzy w Kirgistanie, w którym prezydent w porozumieniu z dyrektorem, mając pod kontrolą kilka przyjaznych sobie partii, monopolizowali władzę i sukcesywnie odbudowywali autorytaryzm w kraju. W związku z tym, że „dowozili wyniki", wspierała ich znaczna część społeczeństwa. Niemal od razu po zaprzysiężeniu Dżaparow znacjonalizował kopalnię Kumtor, czym wzbudził podziw i wdzięczność rodaków. Następnie po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę i objęciu Rosji sankcjami Kirgistan stał się śluzą, przez którą szeroką strugą zaczęły płynąć towary. Obrót handlowy Niemiec, Niderlandów czy Polski z Kirgistanem wzrósł w 2022 roku kilkudziesięciokrotnie. We wrześniu 2022 roku po ogłoszeniu mobilizacji przez Putina do Kirgistanu uciekły tysiące młodych Rosjan, głównie bogatych i pracujących zdalnie. W związku z tym PKB Kirgistanu według wyliczeń Banku Światowego rosło w latach 2022–2025 średnio w tempie 10 procent rocznie. Czegoś takiego jeszcze w Kirgistanie nie było.

Sankcje nałożone na Rosję w związku z agresją na Ukrainę oraz ucieczka przed rosyjskim poborem do wojska sprawiły, że PKB Kirgistanu według wyliczeń Banku Światowego rosło w latach 2022–2025 średnio w tempie 10 procent rocznie.

Jeszcze sprawniej Dżaparowowi i Taszyjewowi szło zarabianie pieniędzy. Jaskrawym przykładem może być budowa pierwszej w historii Kirgistanu autostrady. Chodzi mianowicie o liczącą 13 kilometrów obwodnicę miasta Uzgen w obwodzie oszyńskim. Cała inwestycja była warta około 30 milionów dolarów, a realizowały ją firmy, w których udziały miał niejaki Taj-Muras Taszyjew, syn Kamczybeka. Jego wspólnikami byli Nurlan Sulejmanow, były minister transportu z czasów Bakijewa, oraz poseł Szaribek Taszyjew, brat Kamczybeka. Sam dumny ojciec jako dyrektor GKNB doglądał budowy ze śmigłowca. Nie wiadomo, ile rodzina zarobiła na tej i innych inwestycjach, ale według poselskiego oświadczenia majątek Szaribeka Taszyjewa wzrósł w samym tylko 2024 roku o 12,6 miliarda somów, czyli 500 milionów złotych.

Innym przykładem jest handel mazutem. Szaribek Taszyjew zarządzał rodzinną rafinerią Regen Oil w Dżalalabadzie, która w czerwcu 2021 roku zaopatrywała państwowe spółki w mazut wykorzystywany do zasilania elektrowni. Regen Oil zarobiła wtedy 37 milionów somów (1,5 miliona złotych) w zaledwie dwa dni, czyli jedną czwartą rocznych zysków państwowej spółki naftowej. Aferę ujawnił dziennikarz

eprasa.pl

śledczy Bolot Temirow 20 stycznia 2022 roku na swoim kanale w serwisie YouTube. Dwa dni później w jego domu pojawiła się policja, która „przypadkiem" znalazła w jego kieszeni kilka gramów heroiny. Z jakiegoś powodu jednak pozwolono mu opuścić kraj, a następnie prezydent podpisał dekret o pozbawieniu go obywatelstwa. Miało to wywołać efekt mrożący wśród innych, zbyt ciekawskich dziennikarzy, którzy dobrowolnie zaczęli wyjeżdżać za granicę albo zmieniać profil działalności. Niektórych trzeba było najpierw aresztować, ale kampania okazała się skuteczna i głosy krytyki wewnątrz kraju przycichły.

Równocześnie zaczęła nabrzmiewać kwestia kolejnych kadencji Sadyra Dżaparowa. W 2021 roku został on wybrany na sześcioletnią kadencję bez możliwości ubiegania się o reelekcję, podobnie jak Dżeenbekow i Atambajew. Jednak w Azji Centralnej nagminnie zmienia się konstytucję państwa, by rządzący mogli ubiegać się o kolejne kadencje, dlatego zapis ten nie miał szans długo się utrzymać. Usunięto go nowelizacją z kwietnia 2021 roku i jedną sześcioletnią kadencję zastąpiono pięcioletnią z możliwością jednokrotnej reelekcji. Zaczęto zadawać pytanie, ile właściwie ma rządzić Dżaparow – sześć lat z możliwością reelekcji na pięć lat czy przez dwie pięcioletnie kadencje? W pierwszym przypadku miałby on mandat do początku 2027 roku, a w drugim tylko do stycznia 2026 roku. Taszyjew nigdy nie krył swoich ambicji, a pierwszy raz o prezydenturę ubiegał się już w 2011 roku, możliwe więc, że partnerzy umówili się pierwotnie, że po kadencji Dżaparowa przyjdzie kolej na Taszyjewa (ewentualnie po dwóch kadencjach). Na przełomie 2025 i 2026 roku zaczęły jednak w kirgiskich mediach i portalach społecznościowych krążyć sugestie, że w związku z nowelizacją konstytucji kadencja Dżaparowa powinna być skrócona do pięciu lat. Nie wiadomo, kto rozsiewał te plotki, ale wiadomo, że Taszyjew dysponował dużą ilością pieniędzy, służbami i własnymi kanałami na YouTubie i Telegramie, które podawały te narracje dalej. Dało się wtedy wyczuć, że jakiś konflikt wisi nad Biszkekiem jak burzowa chmura. Nie było jednak wiadomo, czy mocniejszy okaże się wszechwładca służb czy prezydent. Wreszcie światło dzienne ujrzał list otwarty podpisany przez siedemdziesięciu pięciu byłych polityków, artystów i naukowców, którzy apelowali do prezydenta o rozpisanie przyspieszonych wyborów prezydenckich i parlamentarnych, by rozwiązać kryzys konstytucyjny.

10 lutego 2026 roku Kamczybek Taszyjew przebywał na leczeniu w Niemczech. Tego dnia okazało się, że prezydent postanowił o zdjęciu go ze wszystkich stanowisk bez jasnego podania przyczyn, ale i bez żadnych oskarżeń. Taszyjew został wzięty z zaskoczenia, bo zdawał się zupełnie pozbawiony chęci do kontrataku, a nawet obrony. W ciągu kilku kolejnych dni posypały się doniesienia o dobrowolnych rezygnacjach z przyczyn osobistych całego zastępu jego najbliższych współpracowników. Z funkcji zrezygnował przewodniczący parlamentu, burmistrzowie Oszu

fbb6fb8ff4

i Dżalalabadu (obecnie Manas), siedmiu posłów, w tym Szaribeka, przewodniczącego Banku Narodowego Kirgistanu, dyrektorów i wicedyrektorów służb, kilku ministrów i innych ważnych urzędników.

Najdziwniejsze było to, że Taszyjew dobrowolnie wrócił do kraju i na początku pozwolono mu wieść zwyczajne cywilne życie. Dżaparow zapewniał, że z Taszyjewem nadal łączy go przyjaźń, a jego dymisja nie ma żadnego związku z jakimkolwiek konfliktem. Później jednak rozpoczęły się śledztwa wokół Taj-Murasa i Szaribeka Taszyjewów. Wreszcie w kwietniu śledztwo dosięgnęło i Kamczybeka. Ostatecznie 2 lipca został skazany na cztery lata pozbawienia wolności za planowanie zamachu stanu, ale nie trafił do więzienia, gdyż sąd od razu orzekł o zawieszeniu wykonania wyroku. Taszyjew następnie ogłosił dwie rzeczy. Po pierwsze, że złoży apelację od wyroku, a po drugie, że nie będzie się ubiegać o prezydenturę w wyborach w styczniu 2027 roku. Wreszcie 13 sierpnia Dżaparow udzielił wywiadu AKIpress, w którym powiedział, że nie chciał się ubiegać o prezydenturę w 2027 roku i zamiast tego zamierzał poprzeć Taszyjewa. Uznał jednak, że musi kandydować, bo Taszyjew nie jest gotów. Ostrożne usuwanie stronników Taszyjewa i koncyliacyjna retoryka wskazują na to, że były dyrektor GKNB może mieć jakieś haki na prezydenta i nie warto go zanadto upokarzać. Poza tym jest to zaproszenie Taszyjewa do tego, żeby robił swoje interesy, cieszył się zgromadzonym przez lata majątkiem i nie wychylał, bo to co wziął od państwa, to samo państwo może mu zabrać. Wygląda więc na to, że między politykami panuje zawieszenie broni, aczkolwiek trudno sobie wyobrazić, że to koniec walki – raczej koniec rundy.

Co czeka Kirgistan?

Można zakładać zdecydowane zwycięstwo Dżaparowa w styczniowych wyborach. Następnie, gdy już poczuje się pewniej, najprawdopodobniej będzie starał się przeforsować taką nowelę konstytucji, która pozwoli mu zostać u władzy po 2032 roku. Zasadniczym pytaniem jest jednak, co na ten temat sądzą sami Kirgizi. Czy będą gotowi na czwartą rewolucję, która obali kolejnego autokratę? To zależy w dużej mierze od wskaźników gospodarczych. Jeśli gospodarka będzie się rozwijać, a płace rosnąć, to Dżaparowowi może się udać scementować władzę. Sytuacja gospodarcza Kirgistanu jest jednak zależna od rosyjskiej. Rosja pozostaje krajem, w którym pracuje około jedna czwarta aktywnych zawodowo Kirgizów, jest głównym – obok Chin – partnerem handlowym i źródłem niemal całego importu paliw i zbóż. Jeśli sytuacja gospodarcza w Rosji pogorszy się wskutek prowadzonej przez nią wojny, to efekt dotrze także do Kirgistanu, a wtedy może nie być mowy nie tylko o trzeciej i kolejnych kadencjach, ale nawet o dokończeniu drugiej.

eprasa.pl

Patrząc natomiast na biografię Kamczybeka Taszyjewa, założenie, że przed sześćdziesiątką zostanie ostatecznie pokonany i wycofa się z walki o władzę, wydaje się raczej naiwne. W historii Republiki Kirgistanu był tylko jeden prezydent, który został demokratycznie wybrany, a następnie odbył pełną kadencję i pokojowo oddał władzę wybranemu demokratycznie następcy. Był nim Ałmazbek Atambajew, jednak jego przykład nie nastraja optymistycznie, gdyż został on później aresztowany przez swojego następcę, którego publicznie krytykował. Dżaparow siedział w więzieniu w tym samym czasie co Atambajew i tego samego dnia obaj zostali z niego uwolnieni. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś, kto przed zdobyciem władzy dwukrotnie trafiał za kratki, będzie gotów oddać władzę i ryzykować kolejną odsiadkę tylko dlatego, że tak jest napisane w konstytucji, którą już raz zmienił. Tym bardziej, że zdradził swojego wieloletniego druha, z którym szli po władzę i który wyciągnął go z więzienia, żeby mógł tę władzę zdobyć. To, że obszedł się z nim stosunkowo łagodnie, nie może być gwarancją, że nie czeka go zemsta. Jednak jak uczy nas kirgiskie przysłowie: „ten, kto żyje, ma zmartwienia".

Miłosz Szymański z wykształcenia jest prawnikiem i inżynierem, z zawodu mechanikiem okrętowym i reporterem. Obecnie tworzy podcast „Za Rubieżą. Historia i Polityka".

fbb6fb8ff4

Gorąca rosyjska patriotka

Ireneusz Dańko

W putinowskiej Rosji można rozwijać medialny biznes i pławić się w luksusie mimo obyczajowych skandali, głoszenia liberalnych poglądów i krytyki (umiarkowanej) władz, a nawet wojny w Ukrainie. Warunek jest jeden: trzeba nazywać się Ksenia Sobczak.

Latem bieżącego roku w rosyjskich mediach wybuchła sensacja. Grupa hakerów pod nazwą Black Mirror ogłosiła na komunikatorze Telegram, że przechwyciła elektroniczną pocztę Kseni Sobczak, po czym opublikowała jej fragmenty. Wcześniej przedstawiciele grupy włamywali się na konta internetowe innych ważnych osób i firm w Rosji. Tym razem ich łupem miało paść ponad 350 gigabajtów prywatnych wiadomości i nagrań rozmów Sobczak z lat 2015–2026. Wstrzymanie kolejnych publikacji na kanale WCzK-OGPU uzależnili od wpłaty okupu. Kwoty nie podali, ale z pewnością była niemała. Ofiara ich ataku od lat zajmuje wysokie pozycje na liście najbogatszych gwiazd rosyjskiego show-biznesu. Nie wiadomo, czy zapłaciła hakerom, ale przecieki ustały. Niechętnie komentowała zdarzenie. Przyznała, że niektóre jej konta internetowe zostały na krótko przejęte przez nieznane osoby. Zaprzeczyła jednak, aby ujawnione treści były prawdziwe. „To podłe kłamstwo ze strony tych sił, które od dawna próbują mnie wyeliminować z Rosji. Szkoda tylko, że moi zachodni koledzy z rosyjskojęzycznych mediów tak chętnie odgrywają rolę »pożytecznych idiotów« w tej kampanii oszczerstw, mimo że zawsze mieliśmy te same standardy dziennikarskie – nie publikować żadnych przecieków bez możliwości ich weryfikacji" – powiedziała rosyjskiej sekcji BBC, która opisała sprawę i poprosiła o komentarz.

Krwawa dama

Czterdziestopięcioletnia Ksenia Sobczak to dziennikarka, blogerka i celebrytka. W Rosji zna ją prawie każdy. Po ukończeniu politologii w elitarnym Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO) zrobiła karierę w telewizji. Prowadziła między innymi niezwykle popularne *reality show* „Dom-2".

eprasa.pl

Okrzyknięta rosyjską Paris Hilton, zasłynęła z epatowania luksusem, licznych skandali i bogatych kochanków. Parę lat później nieoczekiwanie przyłączyła się do demokratycznej opozycji. Została aktywistką i dziennikarką krytycznych wobec Kremla mediów. Prywatnie związała się z Ilią Jaszynem, jednym z przywódców masowych protestów w latach 2011–2012 przeciw fałszowaniu wyborów i autorytarnej władzy. Rozstali się po niespełna roku. Przedstawiała się jako ofiara politycznych represji. Po wsparciu opozycji straciła kontrakty w państwowych telewizjach i zaproszenia na sowicie opłacane imprezy korporacyjne. W 2017 roku znów zaskoczyła: tym razem, wbrew większości opozycyjnych liderów, zgłosiła swój start w wyborach prezydenckich. Kandydowała pod hasłem „Przeciw wszystkim". Jej oponenci twierdzili, że zrobiła to w porozumieniu z Kremlem, by zepsuć obraz demokratycznej opozycji w oczach zwykłych Rosjan i zająć miejsce głównego przeciwnika Putina – Aleksieja Nawalnego, którego władze wykluczyły z wyborów. Ostatecznie zdobyła zaledwie około 1,5 procent głosów. Wkrótce wróciła do łask rządzących i oligarchów powiązanych z Kremlem. Równolegle zaczęła rozwijać własny medialny biznes, którego główną częścią stały się popularne internetowe kanały i konta, takie jak *Ostrożnie: Sobczak* na YouTubie czy *Krwawa dama* i *Ostrożnie, wiadomości* na Telegramie. Publikuje tam wywiady ze znanymi ludźmi, reportaże, opinie i przeglądy wydarzeń. Reklamuje wszystko – od pierogów po luksusowe marki odzieżowe. Jej programy mają milionowe audytoria. Profil na Instagramie obserwuje ponad 10 milionów osób. Pozuje na niezależną dziennikarkę, która zachowuje obiektywizm i nie schlebia władzy. Bywa, że podejmuje tematy, które przemilczają państwowi nadawcy. Bez problemu podróżuje po całym świecie. Spotyka się i robi wywiady między innymi ze znajomymi gwiazdami rosyjskiego show-biznesu, które po wybuchu wojny wyemigrowały z Rosji. Mimo publicznych oskarżeń o promowanie przeciwników Kremla czy osób LGBT nie wszczęto przeciw niej żadnych postępowań karnych, a Ministerstwo Sprawiedliwości nie wpisało na listę „zagranicznych agentów", która uniemożliwia działalność zarobkową w kraju.

W 2017 roku Sobczak zgłosiła swój udział w wyborach prezydenckich. Jej oponenci twierdzili, że zrobiła to w porozumieniu z Kremlem, by zająć miejsce Aleksieja Nawalnego.

W Rosji nikt nie ma wątpliwości, że bezkarność i stosunkowo dużą swobodę zapewnia Sobczak parasol ochronny samego Putina. Prezydent Rosji zaczynał polityczną karierę na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku u boku jej ojca – pierwszego i ostatniego demokratycznie wybranego mera Sankt Petersburga. To Anatolij Sobczak ściągnął do urzędu nieznanego oficera KGB i zrobił swoim zastępcą. Rodziny zaprzyjaźniły się, kiedy Ksenia była jeszcze dzieckiem. Putin uczestniczył między

fbb6fb8ff4

innymi w jej chrzcie, co później zrodziło plotki, że jest „ojcem chrzestnym" Ksiuszy, jak zwraca się do niej familiarnie. W 1997 roku pomógł Anatolijowi Sobczakowi w wyjeździe do Francji, kiedy ten przegrał wybory i groziły mu zarzuty korupcji. Dwa lata później – już jako nowo powołany premier szykowany na następcę Jelcyna – sprawił, że umorzono toczące się przeciwko Sobczakowi śledztwo, co pozwoliło mu na powrót do Rosji. Ojciec Kseni zmarł nagle na początku 2000 roku, kilka miesięcy przed elekcją Putina na prezydenta. Ten zawsze z szacunkiem mówił o dawnym protektorze. Wystąpił nawet w hagiograficznych dokumentach, które nakręciła najpierw żona, a potem córka zmarłego. W ubiegłym roku wziął udział w uroczystościach z okazji dwudziestopięciolecia śmierci mera Sankt Petersburga. Z Ksenią i jej matką Ludmiłą Narusową (senator Federacji Rosyjskiej) złożył kwiaty pod jego pomnikiem, a na uroczystej gali ciepło wspominał. Żegnając się, objął i ucałował dziennikarkę w policzek, co skrzętnie odnotowały media. Trudno się dziwić, że szeroko opisywały też przeciek z elektronicznej poczty „chrześnicy Putina". Hakerski atak umożliwił spojrzenie za kulisy jej działalności. Większość komentujących – mimo zastrzeżeń dotyczących nielegalnego źródła informacji – skłaniała się, by uznać za wiarygodne opublikowane materiały. Z przecieku wynika, że Sobczak na bieżąco kontaktuje się z ludźmi prezydenta Rosji i mera Moskwy. Omawia niektóre przedsięwzięcia i publikacje, czasem kłóci się, a czasem tłumaczy i składa samokrytykę. „Jesteśmy gotowi zrobić wszystko w ramach umów, które możemy wypełnić, ale nie możemy po prostu zasypać kanału fałszywymi wiadomościami. Spotkajmy się ponownie, aby to omówić" – miała przekonywać Aleksieja Niemieriuka, wiceszefa administracji mera Moskwy. „Podpisaliśmy dokumenty, robimy wszystko, co w naszej mocy, ale w zamian nie dostajemy żadnych wyłączności, żadnych obiecanych historii, które spisaliśmy, i czekamy trzy dni na odpowiedź" – narzekała.

Reklamuje wszystko – od pierogów po luksusowe marki odzieżowe. Jej programy mają milionowe audytoria.

„Siergieju, dobry wieczór. Czy mogłabym do ciebie zadzwonić na chwilę w sprawie inicjatywy kulturalnej?" – to z kolei fragment korespondencji z Siergiejem Nowikowem, dyrektorem departamentu projektów publicznych administracji prezydenta Rosji.

Nowikow: „Kseniu, dobry wieczór! Lepiej tu napisać – nie mogę teraz rozmawiać".

Sobczak: „Znalazłam pieniądze na sponsoring festiwalu muzycznego w Onedze. Jest lista artystów, z którymi rozmawialiśmy wcześniej. Chodzi o wsparcie rosyjskich prowincji. Nakręciliśmy film o tych rejonach, stąd wybór lokalizacji. Czy mogę przesłać ci moją wizję, abyś pomógł w zatwierdzeniu i doradził, czy wszyscy artyści i program są odpowiedni?"

eprasa.pl

Nowikow: „Kseniu, ponieważ w przeszłości oskarżano mnie o rzekome koordynowanie niektórych twoich działań, odpowiem po prostu: nie".

Sobczak: „Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o jakich oskarżeniach mówisz. Nigdy nie odnosiłam się do żadnej z twoich decyzji. Wręcz przeciwnie, obawiałam się jakiegoś braku porozumienia i bardzo chciałabym to przywrócić… Wymyśliłam projekt, który moim zdaniem byłby korzystny dla naszego kraju i staram się zademonstrować swoje zaangażowanie. Czy mógłbyś mi doradzić, co powinnam wtedy zrobić? Uważam, że ważne jest utrzymywanie kontaktu z kimś, aby móc podjąć właściwe kroki. Co powinnam zrobić?"

Porządni ludzie

Sobczak karciła nieraz redaktora naczelnego swoich informacyjnych kanałów Siergieja Titowa. Zarzucała mu, że niektórymi publikacjami psuje jej kontakty z władzą i szkodzi interesom holdingu. Krytykowała na przykład szerokie relacjonowanie skutków ukraińskich ataków na Moskwę i rafinerie w całej Rosji. Żądała, by zaprzestał negatywnych publikacji o nowym komunikatorze Max, który państwo wprowadza, aby bardziej kontrolować internet (od zeszłego roku Max jest obowiązkowo instalowany w nowych telefonach w Rosji, dostęp do jego wiadomości ma Federalna Służba Bezpieczeństwa). Zagroziła nawet grzywną 50 tysięcy rubli za „nieskoordynowane" posty o Maxie. „Mam już dość tłumaczenia, że to oni są naszymi głównymi reklamodawcami!!!!" – zaznaczyła. Titow bronił redakcyjnej linii, tzn. pokazywania negatywnych skutków polityki Kremla, w tym wojny przeciw Ukrainie, nie krytykując wprost „dobrego cara" Putina.

Titow: „Cały kraj płonie, nie mogę się powstrzymać od pisania prawdy. I nie będę kłamał".

Sobczak: „Z jakiego, kurwa, powodu? Czemu ciągle wrabiasz tych, którzy cię kryją? (…)"

Titow: „Już mam ochotę się powiesić, bo nie piszemy nic o benzynie (poza oficjalnymi materiałami) ani o porwaniach ludzi z ulic w Penzie. I nikt mi nie kazał, sam tego nie publikuję, żeby nikogo nie wkurzać".

Sobczak: „Nikt cię nie prosi o kłamstwo".

Titow: „Pisanie, że benzyna jest wszędzie i wszystko jest super, to kłamstwo (…). Nadawanie temu pozytywnego wydźwięku to samobójstwo, a ja tego nie zrobię. Przeszliśmy do oficjalnej linii w tej sprawie, ale pisanie, że wszystko jest super, kiedy wszystko jest do dupy, to sowieckie media".

Sobczak miała przestrzegać Titowa, że może trafić do więzienia za pokazywanie prawdziwego obrazu kraju. Nie były to czcze groźby. Wcześniej za kratami wylądowało

fbb6fb8ff4

trzech jej współpracowników, których sąd na początku 2025 roku skazał na kary od siedmiu lat do siedmiu i pół roku kolonii karnej. Mieli rzekomo żądać 11 milionów rubli od Siergieja Czemiezowa, dyrektora generalnego państwowego koncernu Rostiech za wstrzymanie kompromitujących publikacji. Sprawa wyszła na jaw jesienią 2022 roku. Cała trójka została wtedy zatrzymana i usłyszała zarzuty. Prawnik głównego podejrzanego Kiryła Suchanowa twierdził, że działali na polecenie Sobczak. Ta zaprzeczyła. Pośpiesznie wyjechała na Litwę przez Białoruś, posługując się izraelskim paszportem, do którego posiadania wcześniej się nie przyznawała. Wróciła kilkanaście dni później, gdy dowiedziała się (prawdopodobnie od matki senatorki), że nic jej nie grozi. Ujawniona korespondencja wskazuje, że starała się o złagodzenie kar. Uzgadniała nawet treść swoich przeprosin z ludźmi szefa Rostiechu. „Wszystko sprowadzało się do Cz. Wczoraj spotkałam się z dziewczyną, którą podał mi jako kontakt" – informowała prawnika Suchanowa. „Dałam list, który powinien go poruszyć i pokazać, że jestem gotowa zrobić wszystko, aby znaleźć rozwiązanie (…). Mam nadzieję, że odpowie. Ale w tym momencie jest jasne, że bez jego telefonu… nic się nie uda (…). Trzeba zrozumieć, że ten system jest tak skonstruowany, że nikt nie może po prostu wszystkich wypuścić i przeprosić, bo wtedy ci, którzy rozpętali ten chaos, zaczną mieć problemy. Zmiana środka tymczasowego aresztowania w apelacji z 14 listopada 2022 roku nie przyniesie rezultatu; sędziowie nie zaryzykują swoich tog".

Ostatecznie sąd apelacyjny zmniejszył wszystkie kary o dwa lata odsiadki (jeden ze skazanych niedawno wyszedł na wolność przed terminem). W sprawie – co przyznała publicznie Sobczak – pomogła jej jedna z głównych propagandzistek Kremla: Margarita Simonian, szefowa telewizji RT, grupy medialnej Rossija Siegodnia i agencji informacyjnej Sputnik. Na prośbę Sobczak miała ona rozmawiać z Aleksandrem Bastrykinem, przewodniczącym Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej. „Chcę powiedzieć o człowieku, którego tyle razy krytykowałam (…). I kiedy przychodzi trudny moment, dokładnie ten człowiek okazuje się w porządku. Margarita Simonian. Margarita. Wybacz za złe. I dziękuję ci za twoje wielkie serce" – napisała wdzięczna Sobczak na Telegramie.

Putinowski immunitet

Dla przebywających na emigracji działaczy Fundacji Walki z Korupcją, założonej przez Aleksieja Nawalnego, zhakowana korespondencja potwierdza to, co od dawna mówili: Sobczak jest częścią propagandy Kremla, tylko w złagodzonej wersji. Nie zmieniła tego ani śmierć Nawalnego w kolonii karnej, ani zbrodnicza wojna przeciw Ukrainie. Sama Sobczak nigdy zresztą nie kryła sympatii do Putina („jako człowieka, nie polityka"). Z wdzięcznością wspominała, jak w trudnych chwilach pomógł

eprasa.pl



Ksenia Sobczak z matką i synem na spotkaniu z Putinem.

jej ojcu, i apelowała, żeby „nie demonizować jego postaci". Wiosną bieżącego roku wychwalała włodarza Kremla w wywiadzie, którego udzieliła Zinaidzie Pronczenko, popularnej krytyczce filmowej i dziennikarce. Znają się od lat, obie urodziły się w Sankt Petersburgu (wtedy Leningradzie) w 1981 roku. Pronczenko, podobnie jak wielu rosyjskich przeciwników wojny, wyemigrowała i została wpisana na listę zagranicznych agentów. Na koniec wywiadu usłyszała nagle takie wyznanie: „Dzięki Władimirowi Władimirowiczowi Putinowi mogę żyć w tym kraju, mogę pracować i nie siedzieć w więzieniu. Jestem wdzięczna za możliwość czynienia małych dobrych uczynków". Sobczak nie szczędziła też ciepłych słów pod adresem Dmitrija Pieskowa, rzecznika Putina („niezwykle porządny człowiek") i Siergieja Kirijenki, wiceszefa prezydenckiej administracji („sprawny menadżer"). Mera Moskwy Siergieja Sobianina chwaliła za dobre zarządzanie miastem, w którym funkcję dyrektora artystycznego jednego z teatrów pełni jej obecny mąż, niegdysiejszy zwolennik opozycji – reżyser Konstantin Bogomołow. „Porządnych ludzi" dostrzegła nawet wśród szefów służb specjalnych. „Nie możemy upraszczać sprawy i mówić: »Oto reżim«. Władimir Putin, prezydent Federacji Rosyjskiej, niezwykle skutecznie równoważy te bardzo różne, czasem skonfliktowane, grupy" – zauważyła.

fbb6fb8ff4

Siebie samą określiła jako gorącą rosyjską patriotkę, która nie chce opuścić ukochanego kraju. Dlatego, choć nie wszystko jej się podoba, stara się działać w ramach obowiązującego systemu, który nazwała „autorytaryzmem w warunkach wojny". Poza tym – jak nadmieniła – wszędzie na świecie, także na Zachodzie, media podlegają ograniczeniom. Główna różnica – przyznała – polega na tym, że w Rosji za słowa „mogą rzeczywiście posadzić, a tam po prostu odebrać finansowanie".

„Nie rozumiem, jak można tak nisko upaść" – podsumowała jej stanowisko Maria Piewczych, była bliska współpracowniczka Nawalnego. Z drugiej strony też posypały się gromy na Sobczak. Poszło o zhakowane materiały, z których wynika, że w marcu 2022 roku – krótko po inwazji Rosji na Ukrainę – korespondowała i rozmawiała telefonicznie z Andrijem Jermakiem, ówczesnym szefem kancelarii prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Oboje – co podkreślał jej rozmówca – mają wspólnych znajomych. Sobczak żaliła się na trudną sytuację po wybuchu wojny, opowiadała o planowanej przeprowadzce swojej redakcji za granicę, choć publicznie zaprzeczała, by chciała opuścić Rosję. „Na razie piszemy sprawdzone informacje i staramy się uczciwie wypełniać nasze obowiązki zawodowe. Ale, szczerze mówiąc, nasza sytuacja jest niezwykle poważna. I warunki również" – wyznała. Nie uszło to uwadze czołowego kremlowskiego propagandzisty Władimira Sołowiowa, który zaatakował Sobczak i jej matkę w telewizyjnym programie. Nie wymieniając żadnej z nich z nazwiska, zarzucił im zdradę i organizację antypaństwowego spisku. „(…) okazało się, że jedna izraelska dziennikarka ma bliskie powiązania z członkami bliskiego otoczenia Zełenskiego? Czy rozmawiając przez telefon, przekazują sobie informacje?" – komentował wzburzony. „I jak powinniśmy zareagować na to, kiedy w otwartej korespondencji nagle okazuje się, że w interesie agentów zagranicznych, zdrajców naszej ojczyzny, nawalistów i osobiście Nawalnego, działała obecna senator Federacji Rosyjskiej i jej córka, dostarczając informacje, weryfikując i służąc tym, którzy żyli z pieniędzy zagranicznych służb wywiadowczych. Czy to normalne? Czy to normalne? Czy to nie jest zdrada naszej ojczyzny?" – miotał oskarżenia, dodając z wyrzutem: „(…) zrobiono dla tej rodziny tak wiele, że powinni być za to wdzięczni aż do grobu". Jednocześnie zastrzegł, że wysuwa oskarżenia, o ile opublikowana korespondencja jest autentyczna.

Pozuje na niezależną dziennikarkę. Bywa, że podejmuje tematy, które przemilczają państwowi nadawcy. Bez problemu podróżuje po całym świecie.

„To nacisk na moją niezależną spółkę holdingową i próba przedstawienia mnie przez federalne kanały telewizyjne jako osoby, która dopuściła się zdrady" – oceniła Sobczak w BBC. „Nie komentuję Sołowiowa; nie uważam go za dziennikarza" –

eprasa.pl

odparła Ludmiła Narusowa. Wkrótce potem pojawiły się doniesienia, że senatorka nie zostanie wystawiona w jesiennych wyborach do Rady Federacji. Oficjalne media przypominały, że jako jedyna z rady nie poparła zbrojnej aneksji samozwańczych republik ze wschodniej Ukrainy. Sprzeciwiała się też na przykład wprowadzeniu do kodeksu karnego przestępstwa „dyskredytacji armii". Sytuacja z jej reelekcją wyjaśniła się dopiero na początku sierpnia. Wtedy to gubernator republiki Tuwy, którą reprezentuje Narusowa, wpisał ją na listę kandydatów do Rady Federacji. Okazało się, że „putinowski immunitet" ciągle działa – oceniają niezależni komentatorzy.

Kilka wież Kremla

Matka Sobczak ma nie byle jakie zasługi, bo to ona namówiła przed laty męża, by wziął Putina do polityki. „Grzechy" własne i córki prawdopodobnie odkupiła, głosując za ustawami, które między innymi pozbawiają praw wyborczych emigrantów politycznych. Sama Ksenia Sobczak zapewne też musiała się pokajać i podlizać władzy, jak to już nieraz robiła. Tak było na przykład w grudniu 2023 roku, gdy stała się jedną z bohaterek skandalu w moskiewskim klubie Mutabor. Gwiazdy muzyki i popularni blogerzy bawili się tam w roznegliżowanych strojach. Publikacja zdjęć rozbawionego, półnagiego towarzystwa w czasie „specjalnej wojskowej operacji" oburzyła rosyjskich ultrapatriotów, a nawet podobno samego Putina. Uczestnicy zostali napiętnowani i ukarani zakazem intratnych występów, niektórym grożono wysłaniem na front. To podziałało jak zimny prysznic. Kolejne osoby zaczęły zamieszczać w sieci przeprosiny, a parę miesięcy później demonstracyjnie zagłosowały w wyborach prezydenckich. Zrobiła tak również Sobczak: „Mimo całego mojego zamiłowania do prowokacji i szokowania doskonale wiem: po pierwsze, trzeba wybrać odpowiedni moment (…)" – stwierdziła skruszona w nagraniu wideo. „Z pewnością nie miałam zamiaru nikogo urazić ani obrazić. Jeśli ktoś poczuł się urażony moim wyglądem, przepraszam. Kocham swój kraj, jestem dziennikarką pracującą w Rosji i chcę, żeby wszyscy wiedzieli: nie chcę wzbudzać w sobie nienawiści i gniewu wobec mnie ani innych artystów z powodu tak głupiego incydentu".

Mimo oskarżeń o promowanie przeciwników Kremla czy osób LGBT nie wszczęto przeciw niej postępowań karnych i nie wpisano na listę „zagranicznych agentów", która uniemożliwia działalność zarobkową w kraju.

Tym razem zapewne musiała tłumaczyć się i przepraszać Aleksandra Bastrykina, szefa Komitetu Śledczego, oraz Igora Sieczyna, szefa państwowego koncernu Ro-

fbb6fb8ff4

snieft, uważanego za „prawą rękę Putina". Pierwszego nazwała „dupkiem" w jednej z ujawnionych rozmów, a drugiego pomagała podobno rozpracować w 2016 roku w śledztwie fundacji Nawalnego (chodziło o identyfikację żony oligarchy).

Oficjalnie nie wygląda na to, aby Sobczak przejęła się hakerskim włamaniem. Na Instagramie jak zwykle zamieszcza zdjęcia z zagranicznych wojaży i imprez, obok reklamy odzieży i luksusowych gadżetów najdroższych zachodnich projektantów, w tym torebki z limitowanej serii Chanel w kształcie żołędzia inkrustowanego kryształami za ponad 4 miliony rubli. Jest mistrzynią zakulisowych rozgrywek i wie doskonale, jak lawirować między kremlowskimi klanami i koteriami, by zadbać o własne interesy. Razem z matką i prezydencką administracją szykuje już huczne obchody rocznicy dziewięćdziesiątych urodzin swojego ojca w 2027 roku. Sytuację w Rosji porównuje do pełnego intryg serialu *Gra o tron*. Stwierdziła tak podczas wywiadu z gwiazdą rosyjskiego rapu Morgenshternem, który po wybuchu wojny wyjechał z kraju. W Rosji – jak zauważyła z uśmiechem – walczy dziś „kilka wież Kremla".

– A ty za kim? – zapytał raper.
– Za nikim – odparła.
– Jak to?
– Znaczy?
– Ty wyrzutek? Bastard?
– Tak, bastard. Mnie wszyscy nie lubią.
– To jak ty jeszcze żyjesz? Ty nie pod wieżą?
– Nie. Między nimi (…), próbuję schować się przed wszystkimi, żeby kamienie na mnie nie spadały.

Ireneusz Dańko jest historykiem, publicystą, muzykiem. Specjalizuje się m.in. w tematyce Europy Wschodniej. Stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią"

eprasa.pl

Prometeizm, pragmatyzm, możliwości
Zwrot w Armenii a polska polityka zagraniczna

Bartłomiej Krzysztan

Armenia kontynuuje swój aspiracyjny marsz ku zrzuceniu oków zależności od porządku politycznego, ustanowionego na Kaukazie wraz z upadkiem Związku Sowieckiego. Przemiana, która warunkuje nie tylko przyszłość państwa, ale również formę funkcjonowania regionu, redefiniuje też polską i europejską politykę wschodnią.

Utarło się twierdzenie, że na początku czerwca 2026 roku Armenia dokonała historycznego i cywilizacyjnego wyboru. W tych wielkich i ważnych przymiotnikach ma się kryć dokonany rzekomo przez Ormian wybór Zachodu – Europy, rzymskiego prawa, greckiej filozofii i otwartego chrześcijaństwa oraz odrzucenie Wschodu – zamordystycznej i opresyjnej Moskowii, klientelistycznego Wielkiego Stepu i hierarchicznego bizantynizmu. Sprawa fundamentalnej zmiany myślenia o geopolitycznym usytuowaniu Armenii nie jest ani nagła, ani zaskakująca, ani oparta na spolaryzowanej wizji świata. Niechęć do formalnego sprzymierzeńca z północy i oferowanej przez niego idei asymetrycznego sojuszu uwidaczniała się stopniowo od 2020 roku, intensyfikując się wyraźnie na przełomie 2022 i 2023 roku, kiedy to tenże aliant miał się nie wywiązać z postanowień traktatowych Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym.

Zmiana paradygmatu?

Decyzja, która zapadła przy armeńskich urnach, okazała się więc kolejnym krokiem na ścieżce logicznych konsekwencji, wywołanych gwałtownością przemian po drugiej wojnie karabachskiej, utracie kontroli nad separatystyczną republiką oraz niemalże całkowitym exodusem ormiańskich mieszkańców enklawy. Zdecydowano, co ważne – w transparentny i egalitarny sposób, aby władzę pozostawić w rękach obozu

fbb6fb8ff4

(choć właściwie utrzymać panowanie w rękach jedynowładcy), odżegnującego się od tradycyjnego poradzieckiego porządku oraz postulującego przewrót w geostrategicznym myśleniu o bezpieczeństwie i polityce zagranicznej państwa. Zwiodło to z pewnością niemałą grupę obserwatorów i komentujących, chcących upraszczać obraz, że oto i w Armenii zwyciężyła prozachodnia opcja demokratyczna. W istocie sytuacja jest znacznie bardziej wieloznaczna zarówno w wymiarze struktury i praktyki władzy, jak i w rzeczywistym demontażu dawnego porządku oraz w zwrocie politycznym w relacjach zagranicznych. Implikuje to także wyzwanie dla polskiej polityki wschodniej, jak widać, nawet już w kwestii rozpoznania terenu oraz zdefiniowania celów i kierunków działania. Konieczność zaś odpowiedniej diagnozy i wprowadzenia adekwatnych rozwiązań niesie ze sobą odpowiedzialność. Polska bowiem jako państwo wiodące, przynajmniej deklaratywnie, w Europie Środkowej, powinna determinować w stopniu co najmniej znacznym politykę Unii Europejskiej wobec nie tylko Armenii, ale całego tzw. Kaukazu Południowego.

Kierunek wschodni a Armenia

Polska powinna, choćby przez pozostałości po inicjatywach takich jak Partnerstwo Wschodnie, ale również przez historyczny kontekst (dziedzictwo prometeizmu oraz obecność Ormian na ziemiach polskich od średniowiecza), odgrywać przewodnią rolę w europejskiej polityce wobec Armenii. Jednak pytanie brzmi: czy ta powinność albo aspirująca odpowiedzialność w istocie przekłada się na rzeczywistość? „Polska pozostanie także otwarta na bliższe kontakty z krajami i społeczeństwami Kaukazu Południowego, promując ich zbliżenie z Unią Europejską" – to jedyne zdanie poświęcone regionowi w „Strategii polskiej polityki zagranicznej na lata 2026–2030". Żadne z państw nie zostało w dokumencie wymienione z nazwy.

Nie ulega wątpliwości, że marcowy przyjazd premiera Nikola Paszinjana do Polski – pierwsza wizyta armeńskiego urzędnika tak wysokiego szczebla w historii – wskazuje, przynajmniej na poziomie symbolicznym, na zmianę trajektorii armeńskiej polityki zagranicznej oraz rzeczywistą gotowość Rzeczypospolitej do partycypowania w procesie geostrategicznego zwrotu. Trudno jednak wyzbyć się wrażenia, że pozycja wobec atlantyckich i europejskich aspiracji Armenii (paradoksalnie w powyższym akapicie ze „Strategii" ujętych wspólnie z Azerbejdżanem i Gruzją) jest, najdelikatniej mówiąc, ostrożna. Wynika to z co najmniej kilku współzależnych czynników.

Taki stan rzeczy polskiej polityki wschodniej uwarunkowany jest zrozumiałą dominacją kwestii ukraińskiej oraz zagrożeniami dla bezpieczeństwa państwa wynikającymi z działań białoruskiego i rosyjskiego reżimu. Głębokie zaangażowanie w sprawę Ukrainy i własnego bezpieczeństwa absorbują uwagę na tyle, że tradycyj-

eprasa.pl



© Aneta Strzelczyk

Mural upamiętniający poległego żołnierza na ścianie budynku mieszkalnego w Sewanie, ozdobiony ormiańską flagą i kwiatami, świadectwo tego, jak głęboko wojna i pamięć o jej ofiarach wpisały się w codzienną przestrzeń miast Armenii.

ne obszary zainteresowania polskiej polityki zagranicznej, takie jak Kaukaz, stają się niejako z natury rzeczy marginalne (miejmy nadzieję, że czasowo). Nie wynika to wyłącznie z sytuacji bieżącej, uwarunkowanej wojną oraz bezpośrednim zagrożeniem, ale też z kluczowej roli Ukrainy i Białorusi w niezmiennie odwołującej się do idei Giedroycia i Mieroszewskiego podstawie intelektualnej polskiej polityki zagranicznej. Zdaje się jednak, że najbardziej znaczącym, choć nie jedynym, aspektem determinującym tę dominację może być kwestia sąsiedztwa.

Powściągliwość, choć moglibyśmy też powiedzieć – zarzucenie kwestii kaukaskiej, w tym Armenii, wynika z pewnością z tzw. fiaska gruzińskiego. Od rewolucji róż z przełomu 2003 i 2004 roku Polska zainwestowała znaczące środki w demokratyzację, westernizację oraz desowietyzację i derusyfikację (w rozumieniu wyciągania państwa z konkretnej deterministycznie pojmowanej przez Federację Rosyjską przestrzeni). Nie chodzi jedynie o bezpośrednie inwestycje, dofinasowania czy programy pomocowe, ale także o obecność symboliczną i kapitał kulturowy.

Gruzja z czasów Saakaszwilego i wczesnych lat rządów Gruzińskiego Marzenia proponowała bezprecedensową obietnicę wyjścia z „sowiecko-rosyjskiego" klinczu, a więc z polskiej perspektywy – realizację projektu politycznego polskiej po-

fbb6fb8ff4



Aneta Strzemżalska

Kolorowe, artystyczne dekoracje w centrum Erywania, w pobliżu monumentalnych schodów Kaskady, jednego z najbardziej rozpoznawalnych punktów miasta łączących architekturę z instalacjami sztuki współczesnej.

lityki zagranicznej od czasów prometeistów. To w nią wpisywały się działania: od oddolnych – jak Polska Pomoc – po wielce symboliczne, jak przemówienie Lecha Kaczyńskiego pod parlamentem na Alei Rustawelego w trakcie rosyjskiej agresji w 2008 roku. Inwestycje w Gruzję to nie były działania wyłącznie władz polskich, ponieważ analogiczne zaangażowanie w latarnię demokracji w mrokach postsowieckiego bezhołowia wykazały Unia Europejska jako wspólnota, jej poszczególni członkowie oraz Stany Zjednoczone. Gruzja stoczyła się w rankingach demokracji na niskie pozycje, na których znajdowała się w okresie upadku państwa za prezydentury Eduarda Szewardnadzego, a przyjęty kurs polityki zagranicznej coraz wyraźniej spycha Tbilisi w objęcia sąsiada z północy, pomimo deklaracji, że w istocie chodzi o pragmatyzm i spojrzenie wielokierunkowe. Z porażki tego wieloletniego zaangażowania przychodzi więc lekcja *per analogiam* – nie popełniajmy w przypadku Armenii błędów, które popełniliśmy w Gruzji, lokując zbyt wiele siły w projekty, które od początku były spisane na straty!

Konsekwencją niejako jest kolejny aspekt, a więc realistyczna nieufność wobec pełnego zwrotu w Armenii. Wydaje się, że decydenci, zarówno rozgrywający w polityce polskiej, jak i unijnej, zdają sobie sprawę z faktu, że Armenia jako państwo

eprasa.pl

bardzo długo pozostawała w strukturach zależności (zarówno militarnych, jak i gospodarczych) od Rosji, co sprawia, że nowe otwarcie nie jest możliwe natychmiast. Paszinjan i jego partia Umowa Społeczna jednoznacznie zapowiadają, że ich celem jest wielowektorowość i dywersyfikacja, a nie jednowymiarowe odwrócenie kursu. Wraz z tym komunikatem pojawiają się w przestrzeni publicznej i oficjalnej nomenklaturze powtarzane deklaracje o tym, że zwrot ma charakter pragmatyczny i realistyczny. Nie jest on ani w tym wymiarze dyskursywnym, ani też – jeśli weźmie się pod uwagę działania – całkowitą zmianą paradygmatu polityki zagranicznej z orientacji rosyjskiej na pełny zwrot ku prozachodniemu – europejskiemu i atlantyckiemu.

Ten pragmatyzm władz armeńskich sugeruje analogiczne rozwiązania ze strony Polski i Unii Europejskiej, oparte na realnej ocenie sytuacji. Łączyłyby się w niej doraźne działania, takie jak unijne wsparcie Armenii przed wyborami w obliczu rosyjskiego zakazu importu armeńskich produktów, z taktyką krótkoterminową, obejmującą choćby poparcie dla organizacji szczytu Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Erywaniu czy wsparcie w walce z rosyjską dezinformacją oraz taktyką średnio- i długoterminową, taką jak zaangażowanie w proces pokojowy z Azerbejdżanem. To wszystko, rzecz jasna, w ramach większej strategii, jaką jest odłożone w czasie, ale racjonalnie wyważone przekonanie o możliwości pełnej integracji Armenii ze strukturami unijnymi i natowskimi. Ten pragmatyzm ma jeszcze jeden wymiar.

Uzupełniając po latach myśl Zbigniewa Brzezińskiego z *Wielkiej szachownicy*, należy orzec, że Armenia wraz z Azerbejdżanem i Gruzją – zmieniający się Kaukaz Południowy – stanowią niewątpliwy geopolityczny sworzeń. Co więcej, znaczenie regionu nie jest uwarunkowane wyłącznie geografią, ale również ambicjami, przede wszystkim chęcią funkcjonowania jako kluczowy hub komunikacyjny Eurazji. Stała obecność w regionie jest więc uwarunkowana potencjałem uzyskiwania konkretnych korzyści. Kaukaz jako hub może być niezwykle istotnym elementem architektury bezpieczeństwa energetycznego, ale również handlowego Europy Środkowej i Wschodniej. W obliczu zamknięcia północnego szlaku rosyjskiego oraz niepewności związanej z drożnością szlaku wiodącego przez cieśninę Ormuz teoretycznie ogromne możliwości daje rozbudowa tzw. Środkowego Korytarza, wiodącego z Azji Środkowej, przez Kaukaz, Morze Czarne (alternatywnie Turcję) do Europy. Istnieją oczywiście projekty alternatywne, jak choćby reaktywowane ropociągi przebiegające przez Syrię i Irak czy przecinające Półwysep Arabski. Niemniej każda dodatkowa alternatywa, nawet tak odległa i widmowa jak Środkowy Korytarz (splecio-

Należy orzec, że Armenia wraz z Azerbejdżanem i Gruzją – zmieniający się Kaukaz Południowy – stanowią niewątpliwy geopolityczny sworzeń.

fbb6fb8ff4

ny z ambitnym projektem administracji Paszinjana pod nazwą „Skrzyżowanie dla pokoju"), jednoznacznie powinna znajdować się w orbicie zainteresowania Polski. Ma to kluczowe znaczenie dla dominującego zagadnienia w polskiej debacie (czego wspomniana „Strategia" jest doskonałą egzemplifikacją), mianowicie bezpieczeństwa.

Co robić, by dobrze zrobić

Podstawą działania w wyżej zarysowanych okolicznościach powinna zatem być przede wszystkim rozsądna kalkulacja. Nie ulega wątpliwości, że patrząc w szerokiej perspektywie na kwestię armeńskiego zwrotu, wyjście kolejnego państwa z neokolonialnego, zależnościowego stosunku z Moskwą leży w interesie Polski. Jednocześnie, o czym najdobitniej świadczy przykład Gruzji, wyjście owo nie łączy się z zatrzaśnięciem za sobą drzwi. To przeświadczenie o konieczności stałej dbałości o pretendenta w jego trudnej drodze powinno determinować decyzje i formatowanie konkretnych działań. Tym samym, oprócz politycznego wsparcia dla ruchu reform, jest mozolne, mało spektakularne i rygorystyczne inwestowanie w przekształcenie kultury politycznej oraz budowanie instytucji i rozwijanie ich odporności na próby zagarnięcia państwa. Wiąże się z tym konieczność własnego uznania i uświadomienia strony armeńskiej, że Polska i Europa, wspierając inicjatywy Paszinjana i jego rządu, nie wspierają samego Paszinjana, ale państwo, a w nim społeczeństwo Armenii. Dbałość o zmianę kultury politycznej oraz inwestycja w instytucje są niedoskonałymi, niemniej najlepszymi gwarantami zabezpieczenia armeńskiego procesu demokratyzacji i integracji, uniemożliwiającymi erozję demokracji i potencjalny powrót do struktur całkowitej zależności od asymetrycznego sojuszu z Rosją.

Nie popełniajmy w przypadku Armenii błędów, które popełniliśmy w Gruzji, lokując zbyt wiele siły w projekty, które od początku były spisane na straty.

Republika Armenii nie będzie nigdy łatwym partnerem, co wynika nie tyle z konkretnych decyzji politycznych co do kursu geostrategicznego państwa, ile raczej z determinizmu sytuacji geopolitycznej. Brak bezpośredniej granicy z państwem członkowskim Unii, newralgiczna, przede wszystkim z perspektywy amerykańskiej, granica z Iranem, trudne sąsiedztwo z Turcją i Azerbejdżanem oraz ambiwalentne relacje z Gruzją. Do tego wielopoziomowa mapa zależności od Federacji Rosyjskiej – obronnych, gospodarczych, energetycznych, handlowych i politycznych. Wymaga to od Erywania wyważonej pozycji, stopniowych zmian zamiast jednoznacznego, rewolucyjnego zwrotu. Stąd też deklaracje wielowektorowości polityki zagranicznej

eprasa.pl

i dywersyfikacji w handlu i energetyce. Armenia nie zamknie się bowiem od razu na Rosję czy Iran, ponieważ po prostu nie ma ku temu potencjału i środków.

Z przymusu musimy zapomnieć o wartościach europejskich i polskich moralnych zwycięstwach, bo Armenia da nam mnóstwo okazji, by się przekonać, co oznacza pragmatyzm, realizm i manewrowanie w zależności od okoliczności. To jest specyfika postkolonialnej sytuacji politycznej z jej kunktatorskimi mechanizmami politycznej praktyki. Mapa Kaukazu przez dwie dekady była paradoksalnie stabilna – prozachodnia Gruzja, prorosyjska Armenia, niejednoznaczny Azerbejdżan wzmacniający rolę asertywnego lokalnego hegemona. Znajdujemy się teraz w sytuacji wymagającej pozbycia się kalek poznawczych i kategoryzacji, które nie przystają do zmienionej dynamiki uwarunkowań lokalnych. Na niepewne czasy, miast paradygmatu, stałych i niezmiennych założeń, polska i europejska polityka wschodnia wobec Kaukazu w ogóle i Armenii w szczególności potrzebuje dynamicznych rozwiązań taktycznych w ramach wielkiej strategii – osłabiania Rosji przy jednoczesnym wzmacnianiu własnej pozycji.

Dr Bartłomiej Krzysztan jest adiunktem w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Absolwent nauk politycznych na Université Libre de Bruxelles oraz nauk politycznych i kulturoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 2014–2016 stypendysta na Państwowym Uniwersytecie im. Ilii Czawczawadzego w Tbilisi. Laureat stypendium im. Rafała Lemkina w Muzeum-Instytucie Ludobójstwa Ormian w Erywaniu.

fbb6fb8ff4

Z-pisarz przeciwko wojnie

Maciej Pieczyński

Twórczość Daniiła Tulenkowa to najciekawsze i najbardziej paradoksalne zjawisko propagandowej kultury rosyjskiej po inwazji na Ukrainę. Z-pisarz stał się gwiazdą prowojennej Z-literatury, choć jego teksty bezlitośnie demaskują największe patologie armii Putina.

„Specjalna operacja wojskowa" doczekała się swoich „trubadurów". W ukraińskich okopach ukształtował się nowy nurt współczesnej kultury rosyjskiej, nazwany Z-literaturą. Prezentuje szerokie spektrum twórczości: od prozy, przez dramaturgię, po poezję. Jest to autobiograficzna literatura dokumentalna, pisana przez uczestników i świadków konfliktu: żołnierzy oraz „wojenkorów", czyli korespondentów wojennych, prezentujących obraz wojny z perspektywy Rosji, publikujących relacje z frontu na łamach mediów tradycyjnych lub na Telegramie. Z-pisarze są często jednocześnie Z-blogerami. Tę samą treść w krótszej formie zamieszczają w internetowych wpisach, w dłuższej zaś – na kartach swoich książek.

Sołżenicyn na odwrót

Kreml dotuje i promuje Z-literaturę. Wydawane są powieści, tomy wierszy, w ramach państwowych projektów teatry wystawiają prowojenne sztuki. Jednak poza środowiskiem prowojennych propagandystów tego rodzaju twórczość nie cieszy się ani popularnością, ani dobrą opinią. W większości jest to pełna antyukraińskich i antyzachodnich emocji (w tym wulgaryzmów, które akurat w tym wypadku cenzura wybacza) grafomania, pisana siermiężnym, patetycznym stylem, naładowana ciężkostrawną terminologią wojskową. Badacz kremlowskiej propagandy Iwan Filippow ocenia, że problemem Z-prozy nie jest nawet jej propagandowa wymowa, tylko brak talentu pisarzy. Co znamienne, nurt ten nie porwał żadnego z wybitnych, uznanych twórców. Wyjątkami są pisarz *science fiction* Siergiej Łukjanienko oraz twórca nowego realizmu Zachar Prilepin. Ten ostatni od dawna angażuje się w politykę i propagandę wojny. Przy czym „specoperacji" poświęcił jedynie zbiór esejów pt. *Koordynata Z*. Nawet naczelny „trubadur" inwazji na Ukrainę, ceniony przecież

eprasa.pl

prozaik, nie napisał opowiadania czy powieści o pełnoskalowej wojnie, w której z bronią w ręku uczestniczył. W pewnym sensie był jednak trendsetterem Z-literatury. W takim stylu, w jakim obecnie tworzą Z-prozaicy, napisał swego czasu powieść autobiograficzną *Niektórzy nie trafią do piekła*, opisując swoje doświadczenia jako zastępcy dowódcy batalionu donieckich separatystów i doradcy szefa Donieckiej Republiki Ludowej Aleksandra Zacharczenki.

Inwazję na Ukrainę opiewają więc z reguły pozbawieni talentu amatorzy, dla których propaganda wojny jest ważniejsza niż estetyka literatury. Na tym tle wyjątkiem jest Daniił Tulenkow, rocznik 1979. Z wykształcenia historyk, z wykonywanego zawodu – przedsiębiorca. W kwietniu 2022 roku skazany na siedem lat kolonii karnej za oszustwo. Jak twierdzi, jest niewinny. W lipcu 2023 roku skorzystał z możliwości wyjścia na wolność poprzez front. Zaciągnął się do Sztormu Z – jednostki Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, rekrutującej więźniów. W szeregach tego swego rodzaju batalionu karnego walczył pod Robotynem i Nowopokrowskiem na Zaporożu. Zanim został Z-pisarzem, spróbował swoich sił jako Z-bloger. Doświadczenia frontowe opisywał na Telegramie, zyskując w krótkim czasie sporą popularność. Na żądanie Ministerstwa Obrony musiał usunąć kanał, jednak publikowane tam historie (po wyjściu do cywila) zaprezentował czytelnikom w formie książki. Autobiograficzna powieść dokumentalna *Sztorm Z. Nie macie innych nas* (w oryginale *Sztorm Z. U was niet drugich nas*) ukazała się w 2024 roku nakładem prokremlowskiego, „patriotycznego" wydawnictwa Jauza. Książka Tulenkowa zyskała ogromną popularność w środowiskach prowojennych. Była usilnie promowana zarówno przez kremlowskie media, jak i przez Z-blogerów. Autor błyskawicznie stał się żywym klasykiem Z-literatury. Tymczasem, jak celnie ironizuje Konstantin Pachaluk w recenzji dla „Nowej Gaziety Jewropa", najwyraźniej wielbiciele Tulenkowa nie przeczytali jego książki. Gdyby bowiem zadali sobie ten trud, niechybnie znaleźliby w *Sztormie Z* materiał dowodowy, w zupełności wystarczający, aby Z-prozaika postawić przed sądem za „dyskredytację" armii, względnie: za rozpowszechnianie „fejków" o działaniach Sił Zbrojnych Rosji.

W ukraińskich okopach ukształtował się nowy nurt współczesnej kultury rosyjskiej, nazwany Z-literaturą. Prezentuje szerokie spektrum twórczości: od prozy, przez dramaturgię, po poezję.

Tytułowa jednostka jest w powieści przedstawiona jako rezerwuar taniego mięsa armatniego. Tulenkow przyznaje, że władzom nie zależało na tym, aby byli więźniowie wrócili z frontu żywi. Dodaje jednak, że świadomie zaakceptował reguły gry. Jegor Chołmogorow, zachwycając się na łamach prokremlowskiego portalu Tsar-

fbb6fb8ff4

grad kunsztem nowej gwiazdy rosyjskiej prozy, nazwał autora „Sołżenicynem na odwrót". Autor *Archipelagu GUŁag* trafił z frontu do łagru, Tulenkow – z łagru na front. Z-prozaik porównuje doświadczenia tych dwóch światów. Szare, monotonne życie w więzieniu wypada blado w zestawieniu z wojną, która jawi się jako „fontanna emocji i barw". Emocji raczej negatywnych i barw raczej ciemnych.

„Mówią o nas jak o superwojownikach, zdolnych czynić cuda. Ale jacy z nas superwojownicy?! Jesteśmy zwykłymi przestępcami kryminalnymi z dwutygodniowym przygotowaniem do walki" – przyznaje pisarz, dekonstruując mit bohaterskiej armii rosyjskiej. Oczywiście, ma na myśli konkretny jej oddział, niemniej trudno nie rozszerzyć diagnozy Sztormu Z na całe siły zbrojne agresora. Szczególnie, że pisarz, obok negatywnych, nie pokazuje pozytywnych przykładów żołnierzy, którzy wpisywaliby się w propagandowe wyobrażenie rodem z kremlowskiej telewizji. Tulenkow w swoich własnych oczach jest „chudym okularnikiem", inteligentem pośród brutalnych kryminalistów, kimś w rodzaju Kiriłła Lutowa – narratora opowiadań *Armia Konna* Izaaka Babla, który jako korespondent wojenny żydowskiego pochodzenia służył ramię w ramię z prymitywnymi Kozakami Budionnego w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Żołnierze Sztormu Z, sportretowani przez swojego towarzysza broni, to zbieranina degeneratów – alkoholików, narkomanów, złodziei, tchórzy, dezerterów, zbrodniarzy wojennych i agresywnych prymitywów, stosujących przemoc nie tylko wobec wroga, ale również wobec swoich. W najlepszym razie można ich zbiorczo podsumować eufemistycznym określeniem „postaci niejednoznaczne". Mister Grozny przed wojną służył w Rosgwardii. Z jednej strony znęcał się nad podkomendnymi, brutalnie bił ich bez wyraźnego powodu, dając upust swojej „mentowskiej naturze". Z drugiej strony na froncie wykazywał się osobistą odwagą. Mister Basmacz miał usta pełne propagandowych frazesów. Kazał kolegom zabijać Ukraińców bez litości. Sam jednak ze strachu unikał udziału w walce, a poza tym kradł karty bankomatowe poległym żołnierzom. Z kolei budzący sympatię alkoholik Wania po pijanemu zgubił karabin maszynowy. Sam Tulenkow przyznaje w książce, że wraz z towarzyszami broni, ze strachu o własne życie, celowo uchylił się od wykonania jednego z zadań bojowych. Jak czytamy, zastanawiał się, czy ten wstydliwy epizod powinien trafić do druku. Ostatecznie stwierdził, że ewentualna autocenzura zabiłaby zasadę prawdy. Oczywiście nie sposób zweryfikować, ile Tulenkow przemilczał, ile zmanipulował, ile przekłamał. Patrzeć z dystansem na deklarowaną szczerość pisarza każe nie tylko fakt, iż mamy do czynienia mimo wszystko z tekstem

Kreml dotuje i promuje Z-literaturę. Wydawane są powieści, tomy wierszy, w ramach państwowych projektów teatry wystawiają prowojenne sztuki.

eprasa.pl

wpisującym się w rosyjską propagandę, ale również świadomość, że *Sztorm Z* to nie reportaż, tylko utwór literacki. Tak czy inaczej, pisarz rozwija swoją demaskatorską narrację, przekonując: „Można patetycznie powiedzieć, że wojna pachnie trupami i prochem. Zapach trupów oddaje tragizm i dramatyzm, zapach prochu – wysoką romantykę. Ale to nie będzie prawda o wojnie. Dlatego, że trzeci najważniejszy zapach wojny to zapach gówna, którego pełno jest w lasach, okopach i ziemiankach, w spodniach rannych i zabitych, w foliowych workach, wyrzucanych poza umocnienia". Nawiązująca do ekskrementów metaforyka pojawia się też w opisie sytuacji na froncie. Najtrudniejszy odcinek pierwszej linii pod Robotynem żołnierze rosyjscy nazywają „oczkiem Zełenskiego". Ta „dupa" pochłania życia ludzkie, zaś „gorzki cynizm wojskowej terminologii czyni ich śmierć apoteozą bezsensu". „Zginął w oczku Zełenskiego – to absolutnie nie brzmi jak fragment eposu heroicznego, nieprawdaż?" – ironizuje Z-pisarz. Zamiast patriotycznego patosu i gloryfikacji armii rosyjskiej – u Tulenkowa mamy do czynienia z deheroizacją, a nawet wulgaryzacją obrazu żołnierzy Putina.

Wiedźmy i kikimory

Autor *Sztormu Z* opisuje też zbrodnie wojenne, dokonywane – według jego relacji – przez obie strony frontu. Zabicie jeńca określane jest technicznym terminem „obnulenie" („wyzerowanie"). Tulenkow nie wychodziłby poza ramy kremlowskiej propagandy, gdyby usprawiedliwiał zbrodnie rosyjskie, zaś ukraińskie – potępiał. Jednak Z-pisarz stawia między nimi moralno-etyczny znak równości. Deklaruje zrozumienie dla Ukraińców ostrzeliwujących własnych żołnierzy, którzy nie zdążyli się wycofać. W końcu i tak czeka ich śmierć – jak nie z rąk swoich, to z rąk nadciągających Rosjan. Tulenkow opisuje dwie warte uwagi historie związane z zabijaniem jeńców. Bohaterem pierwszej jest ukraiński żołnierz wzięty do rosyjskiej niewoli. Z FSB przyszedł rozkaz *„żywotnoje nie obnulat"*, czyli „zwierzęcia nie zabijać". Znamienny jest sam fakt, że taki rozkaz w ogóle był konieczny. Czekiści potrzebowali zeznań jeńca. W tym celu trzeba było go przetransportować z frontu do sztabu. To z kolei oznaczało, że zajmie miejsce, którym na tyły mógł zostać przewieziony jeden z rannych. Dlatego żołnierze Sztormu Z planowali go jednak zabić i zameldować, że zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku. To zaś wywołało sprzeciw jednego z pracowników sztabu. Przy czym nie kierował nim żaden rodzaj humanizmu. To właśnie on

Inwazję na Ukrainę opiewają z reguły pozbawieni talentu amatorzy, dla których propaganda wojny jest ważniejsza niż estetyka literatury.

fbb6fb8ff4

miał konwojować jeńca, co pozwoliłoby mu choćby na chwilę wyrwać się z frontu i odpocząć od działań wojennych. Najważniejszą motywacją żołnierzy po obu stronach nie jest ani wola zabijania wroga, ani pragnienie spełnienia patriotycznego obowiązku, tylko chęć przeżycia. Ten imperatyw wiernie ilustruje druga historia, dotycząca zbrodni wojennych. Trwa bitwa. Rosjanie się wycofują. Jeden z nich, ciężko ranny, został na polu walki. Chce się poddać, ale ukraińscy żołnierze go dobijają. Tulenkow, opisując tę sytuację, nie skupia się na moralnym osądzeniu zbrodni wojennej, rzekomo dokonanej przez wroga na jego towarzyszu broni. Koncentruje się na siostrze zabitego, która nie mogła uwierzyć w taki bieg zdarzeń. Uznała bowiem, że skoro chciał się poddać Ukraińcom, to znaczy, że okazał się zdrajcą. To zaś było dla niej nie do pomyślenia, dlatego oskarżyła Tulenkowa o oczernianie jej brata. Pisarz, komentując tę sytuację, zapewnia, że żaden z towarzyszy broni zabitego nie uważał go za zdrajcę. Wszyscy rozumieli, że wolał przeżyć i dostać się do niewoli, niż bohatersko zginąć. Co więcej, Tulenkow daje do zrozumienia, że na jego miejscu zachowałby się tak samo. Chęć przetrwania znów okazuje się wartością wyższą niż „patriotyzm". Autor krytykuje nie kolegę, który chciał się poddać, ale jego siostrę, która mieszka w wielkim mieście, ma dużo pieniędzy, najnowszego iPhone'a i żadnego pojęcia na temat prawdziwych realiów wojny. Tulenkow usprawiedliwia nawet rosyjskiego żołnierza, który po trafieniu do niewoli publicznie, za pośrednictwem ukraińskich mediów, miesza z błotem Putina. A to dlatego, że musiał zostać do tego zmuszony torturami.

Zdaniem Tulenkowa jedynymi naprawdę niewinnymi ofiarami wojny są zwierzęta. Pisarz wyśmiewa Ericha-Marię Remarque'a, choć jednocześnie zdaje się naśladować niemieckiego pacyfistę. *Sztorm Z* bardziej przypomina *Na Zachodzie bez zmian* niż typowe teksty rosyjskiej propagandy. Tulenkow opisuje bezsens wojny pozycyjnej. Krajobraz frontowy przypomina mu pole bitwy pod Verdun. Z tej perspektywy „specoperacja" może kojarzyć się bardziej z I wojną światową niż ze zmitologizowaną przez Kreml zwycięską wielką wojną ojczyźnianą. To wszystko jednak nie oznacza, że niepozbawiony talentu literackiego Z-prozaik zaszyfrował w swojej powieści antywojenny, antyrosyjski i proukraiński przekaz. Ukraińców docenia za odwagę (podobnie zresztą jak chociażby swego czasu Jewgienij Prigożyn), ale zarazem pogardliwie nazywa „chochłami", którzy mają wszystko z „gówna i patyków: kraj, naród, kulturę, historię i oczywiście domy". Fabuła powieści ma niejednoznaczną

Żołnierze Sztormu Z to zbieranina degeneratów – alkoholików, narkomanów, złodziei, dezerterów, zbrodniarzy wojennych, stosujących przemoc nie tylko wobec wroga, ale również wobec swoich.

eprasa.pl

wymowę, jednak już w epilogu Tulenkow wprost artykułuje swoje, zbieżne z linią kremlowskiej propagandy, poglądy. Zgodnie z moskiewską perspektywą imperialną, nakazującą traktować Bałkany jako rosyjską strefę wpływów, pisarz stwierdza, że jego antyzachodnie przekonania ukształtowały się wskutek nalotów NATO na Jugosławię w 1999 roku. „Specoperację" postrzega jako odłożoną w czasie odpowiedź Moskwy na tę „zniewagę". Sarkastycznie zauważa, że Rosjanie w latach dziewięćdziesiątych (czyli w okresie wyjątkowo dobrych relacji z Europą i USA) masowo marzyli o pracy w McDonalds. Tym samym daje do zrozumienia, że Zachód ma do zaoferowania jedynie dobra materialne, nie zaś duchowe. Chce Rosjanom sprzedać dobrobyt w zamian za ich dusze. Z największą pogardą Z-prozaik pisze o Ukrainie. Nazywa ją „burdelem" (dosłownie *bladskij dom*), zasiedlonym przez wiedźmy i kikimory (szkodliwe duchy), w którym na łóżku leży „pijany Taras bez spodni". W tej niewyszukanej metaforze jest on personifikacją Ukrainy, jakoby ogłupionej i oszukanej przez Zachód. Rosyjscy żołnierze „wyważyli drzwi do tego burdelu jednym kopniakiem". Pijany Taras rzucił się do walki, myśląc, że broni swojego domu, choć dom ten wiedźmy i kikimory sprzedały Amerykanom. „Nie przyszliśmy do ciebie (…), tylko do gospodarzy tego burdelu" – pisze lekceważąco Tulenkow. W końcu Rosja za prawdziwego wroga w obecnej wojnie uważa właśnie Zachód.

Tulenkow apeluje, by „nigdy nie zwątpić w armię i flotę", choć sama treść jego powieści to jedna wielka krytyka Sił Zbrojnych Rosji. To typowy dla wielu twórców literatury rosyjskiej paradoks, rozdźwięk między poglądami pisarza a treścią jego utworu. Nikołaj Gogol był gorącym zwolennikiem prawosławia i samodzierżawia, choć w swoich dziełach wyśmiewał patologie imperialnej biurokracji. Fiodor Dostojewski z lubością opisywał zbrodnie i chętnie oddawał głos nihilistom, moralizatorskie pouczenia wynosząc poza ramy właściwej fabuły i umieszczając w epilogu bądź w tekstach publicystycznych. Najbardziej zbliżonym do Tulenkowa przykładem jest Michaił Szołochow. Gorąco popierał komunizm i stalinizm, a jednak w jego *Cichym Donie* na froncie wojny domowej biali i czerwoni są jednakowo okrutni, a żadna ze stron nie ma moralnej racji. Podobnie jak Rosjanie i Ukraińcy w *Sztormie Z*. W epoce Szołochowa cenzura była bez porównania ostrzejsza niż obecnie. A jednak obaj pisarze się przez nią przebili, kreśląc kontrowersyjny z punktu widzenia dyktatorskiej władzy obraz wojny. Paradoksalnie powieść Tulenkowa może przysłużyć się propagandzie Kremla bardziej niż jednoznaczne ideowo laurki na cześć „armii i floty". Po pierwsze, brzmi bardziej wiarygodnie. Po drugie, pisarz portretuje rosyjskie, ale też ukraińskie zbrodnie wojenne, zaznaczając, że na froncie to nic niezwykłego. Tym samym normalizuje i usprawiedliwia przemoc, na czym dyktatorska władza może jedynie skorzystać. Podobnie część badaczy objaśnia fenomen poparcia Stalina dla *Cichego Donu*. Poza tym kluczem do zrozumienia zamysłu *Sztormu Z* jest podtytuł:

fbb6fb8ff4

„nie macie innych nas”. Rosyjscy żołnierze są degeneratami, ale walczą w „słusznej” sprawie. Lepszych nie ma i nie będzie.

Na przełomie 2024 i 2025 roku Jauza wydała kolejną książkę Tulenkowa o wojnie pt. *Żona szturmowca* (*Żena szturmowika*). Tytuł celnie oddaje dość oryginalny zamysł. Powieść jest monologiem żony Tulenkowa, napisanym jednak przez niego i przeplatanym fragmentami jego „dziennika więziennego”. Jak twierdzi Z-prozaik, chciał w ten sposób oddać hołd kobietom blisko związanym z żołnierzami walczącymi na froncie. To również istotny motyw kremlowskiej propagandy prowojennej, prezentującej wierne matki, żony i córki „bohaterów”. Książka pełna jest autobiograficznych szczegółów z życia rodziny Tulenkowów. Daniił, zakładając literacką maskę własnej żony, nieskromnie pisze o sobie jako „nieprostym człowieku”, o którego kobieta musiała zabiegać i któremu cierpliwie wszystko wybaczała. Narratorka drobiazgowo opisuje skomplikowane interesy swojego męża. W ten sposób Tulenkow chce najpewniej wyjaśnić czytelnikowi, że nie jest winny oszustw, za które poszedł siedzieć. Wątek ten jednak jest dość męczący i przydługi. Potrzebny autorowi między innymi po to, aby włożyć w usta swojej żony komplement pod swoim adresem: „On powinien książki pisać. To mu dobrze wychodziło. A nie nudna i nieciekawa praca w biurze”. Najbardziej „niepoprawny politycznie” fragment daje się streścić skargą „żony szturmowca”: „W moim rozumieniu Wojna i Kobieta to zaciekli wrogowie”. Jest to manifest żeńskiego pacyfizmu. Wojna zabiera kobietom ich bliskich. Ponadto „żona szturmowca” wprost stwierdza, że „nie wszyscy Ukraińcy to faszyści”, a tak w ogóle to Rosjan traktuje się w Ukrainie jako okupantów, a nie wyzwolicieli. Mimo takiej treści powieść wyszła drukiem. Trzecia książka Tulenkowa, w tym czy innym stopniu dotycząca „specoperacji”, póki co została opublikowana w częściach na Telegramie. Sam pisarz przyznaje, że zapewne trudno będzie znaleźć wydawcę. *Krwawe łzy Uralu. Kroniki rosyjskiego négritude'a 1989–2022* (*Krowawyje slezy Urała. Chroniki russkogo negrutiuda*) to dość chaotyczna opowieść o współczesnych Rosjanach, oparta na wspomnieniach Tulenkowa o jego znajomych. Wyłania się z niej patologiczny obraz relacji międzyludzkich, w ogromnym stopniu nasączonych przemocą, okrucieństwem i perwersją. Tulenkow znów zdaje się mówić „nie macie innych nas”, tym razem mając na myśli nie tylko żołnierzy walczących w Ukrainie, ale generalnie większość Rosjan.

Robiłem z nich Rosjan

Portret najzdolniejszego Z-pisarza byłby niepełny, gdyby pominąć aspekt jego etnicznej i religijnej tożsamości. Urodzony na Uralu Tulenkow ma częściowo tatarskie korzenie i jest muzułmaninem. Co znamienne, to właśnie ten fakt w środowi-

eprasa.pl

sku Z-blogerów wzbudził większe kontrowersje niż niejednoznaczny obraz wojny. Szczególnie że przedstawiciele tego środowiska niejednokrotnie pozwalali sobie na krytykę konkretnych aspektów prowadzenia wojny, nie negując przy tym sensu „specoperacji" jako takiej. Tulenkow stał się podejrzany, gdy odkryto dawniej wyznawane przez niego poglądy. W 2014 roku przyszły Z-pisarz popierał ukraiński nacjonalizm i wzywał do stworzenia „osi Kijów–Kazań", czyli sojuszu Ukrainy z rosyjskim Tatarstanem. Wcześniej deklarował się jako tatarski nacjonalista. Współpracował z portalem wahabitów „Kawkaz-centr". Wzywał do zjednoczenia sunnitów i szyitów, do eksterminacji Żydów, zaś kulturę rosyjską określał mianem „żałosnej" (*nicztożnoj*). Kontrowersyjna przeszłość Tulenkowa podzieliła Z-blogerów. Z jednej strony uznawali jego zasługi na polu „uczłowieczenia" żołnierzy Sztormu Z (w końcu pokazał ich jako ludzi z krwi i kości, a nie zwykłych bandytów), z drugiej strony krytykowali go za poglądy. „Tulenkow w osobistym kontakcie okazał się człowiekiem-gównem i nazistą" – tak kolegę po piórze podsumował Z-pisarz Gierman Sadułajew, po czym post na ten temat usunął. Sam autor *Sztormu Z* nie odciął się w stu procentach od swojej muzułmańskiej tożsamości. W maju 2024 roku prokremlowski, prowojenny portal Readovka zerwał współpracę z Tulenkowem. Powodem był wpis na Telegramie, w którym pisarz krytykował pomysł zakazu noszenia nikabu. Redakcja Readovki uznała to stanowisko za dowód radykalnie islamistycznych poglądów Tulenkowa.

Tulenkow portretuje rosyjskie, ale też ukraińskie zbrodnie wojenne. Tym samym normalizuje i usprawiedliwia przemoc, na czym dyktatorska władza może jedynie skorzystać.

Niejednoznaczność wymowy ideowej książek przełożyła się w końcu na niejednoznaczność poglądów politycznych, głoszonych w wywiadach czy na Telegramie. Tulenkow coraz bardziej otwarcie zaczął krytykować sposób prowadzenia specoperacji, by w końcu zanegować jej sens, przekonując, że kontynuowanie wojny grozi utratą armii, a może nawet państwowości. W jednym z wpisów na Telegramie na początku lata 2026 roku stwierdził, że Rosja straciła szansę na zamrożenie konfliktu wzdłuż aktualnej linii frontu, w związku z czym stawką potencjalnych rozmów pokojowych nie będą już zdobycze terytorialne Moskwy, tylko granica z 1991 roku, a w dalszej kolejności być może nawet „linia Archangielsk–Astrachań". Innym razem zaapelował do władz rosyjskich: „Zabijcie tę gnidę, tak jak zabiliście Nawalnego", mając na myśli odsiadującego wyrok w kolonii karnej Igora Girkina „Striełkowa". Zdaniem Tulenkowa Girkin zasługuje na śmierć jako ideolog „tej jebanej wojny". Przez to jest „sto razy groźniejszy (dla Rosji) niż Nawalny w 2024 roku". Przypomnijmy, że Girkin poszedł siedzieć za to, że zbyt ostro krytykował nieudolność Putina w pro-

fbb6fb8ff4

wadzeniu specoperacji. Później Tulenkow tłumaczył, że chodziło mu nie tyle o fizyczną likwidację, ile o metaforyczne „zabicie" prowojennej narracji, nadal prowadzonej zza krat przez dawnego dowódcę donbaskich separatystów.

Ze swoich przekonań pisarz obszernie tłumaczył się w wywiadzie przeprowadzonym przez Olega Kaszyna – youtubera o poglądach nacjonalistycznych, ale zarazem antyputinowskich. Kaszyn dopytywał, jak to możliwe, że Tulenkow wciąż cieszy się nie tylko wolnością osobistą, ale też wolnością słowa. W podtekście wisiała sugestia, że autor *Sztormu Z* ma „kryszę" jakiejś części elity rządzącej. Tulenkow porównywał swoją sytuację do „murzyna, który ma prawo krytykować murzynów".

Zamiast patriotycznego patosu i gloryfikacji armii rosyjskiej, u Tulenkowa mamy do czynienia z deheroizacją, a nawet wulgaryzacją obrazu żołnierzy Putina.

Podobnie weteran wojny może narzekać na sposób jej prowadzenia. Zapytany z kolei, czy zabijanie Ukraińców jest odpowiednią ceną za wyjście na wolność, Tulenkow odpowiedział: „Na wojnie, jak to się mówi, nie zabija się ludzi, tylko likwiduje się siłę żywą przeciwnika. Aspekt moralno-etyczny polega na tym, że jestem obywatelem Rosji, biorę udział w działaniach zbrojnych, które prowadzi mój kraj (…). Odpowiedzialność za moje działania, właśnie za udział w działaniach zbrojnych, ponosi całkowicie państwo. Ja osobistą odpowiedzialność ponoszę jedynie za ewentualnie popełnione zbrodnie wojenne". W ten sposób Z-prozaik, być może, uspokaja swoje sumienie.

Tulenkow zapewnia, że sam zbrodni wojennych nie popełniał. Chętnie jednak opowiada o tych, którzy takich czynów się dopuszczali. 2 lipca 2026 roku na swoim Telegramie opisał jedną z takich historii. „Leks, mój pierwszy dowódca kompanii, był zwolennikiem specyficznej faszystowskiej nietzscheańskiej ideologii. Dzielił ludzi na bioodpady i pełnowartościowych" – pisze Tulenkow. W marcu 2024 roku inny jego były dowódca, Lis, pokazał mu na telefonie film nagrany przez podkomendnych Leksa w okupowanym Berdiańsku. Widać na nim, jak rosyjscy żołnierze włamali się do czyjegoś domu i torturowali mieszkającą tam rodzinę: „Dwóch podkomendnych Leksa siedziało na kanapie ze spuszczonymi spodniami, a mąż i żona robili im loda. Sam Leks obserwował ten obrazek, siedząc na fotelu w pozie Dona Corleone i paląc papierosa. Obok trzymali krzyczące i płaczące dzieci, zmuszając je, by patrzyły, jak poniżani są ich rodzice" – opisuje Tulenkow. Według jego relacji, gdy Leks został aresztowany, nawet funkcjonariusze FSB byli oburzeni jego okrucieństwem. Gdy jeden z nich z wściekłością pokazywał nagranie sprawcy, pytając, „na chuj to zrobiłeś, chory bydlaku?!", miał usłyszeć w odpowiedzi: „Tępiłem w tych dzieciach chochłów. Robiłem z nich Rosjan". Ponoć w „kazamatach OGPU" (czyli FSB) Leks się załamał:

eprasa.pl

„ryczał całymi dniami, drżąc w konwulsjach, wył jak wilk w zimowym stepie". Był tam torturowany – rażony prądem i gwałcony butelką. Tak przynajmniej twierdzi Tulenkow. Przyznaje, że rozważał włączenie tej historii do książki *Sztorm Z. Nie macie innych nas*. Ostatecznie jednak się na to nie odważył. Ograniczył się jedynie do ogólnego stwierdzenia, że jego dowódca wyczyniał jakieś ekscesy.

Leks dostał dożywocie. Co istotne, nie tylko za gwałt. Wpadł za handel bronią. Ponadto jego żołnierze, „ogłupieni krwią i bezkarnością", napadli na kadyrowca, uwięzili go i torturowali. Jak zaznacza Tulenkow, to właśnie te dwie sprawy stały się początkiem końca Leksa. Zbrodniarz trafił za kraty nie dlatego, że sterroryzował ukraińskich cywilów, ale dlatego, że „naruszył zasady Systemu". „To też jest część rosyjskiego świata, który przynieśliśmy tam, gdzie nikt na nas nie czekał" – zauważa Tulenkow, mając na myśli zbrodnię Leksa. To jednak nie zmienia faktu, że również autor *Sztormu Z* wciąż do tego świata należy. I choć coraz ostrzej krytykuje wojnę, choć coraz chętniej opowiada o rosyjskich zbrodniach, pozostaje po rosyjskiej stronie frontu. Również informacyjnego.

Maciej Pieczyński jest rusycystą, literaturoznawcą, wykładowcą Uniwersytetu Szczecińskiego. Publicysta, autor książek o tematyce wschodniej.

fbb6fb8ff4

Szybka i długa droga Mychajła Drapatego

Zoriana Varenia

Wojskowa biografia Drapatego rozwijała się wraz z niepodległą Ukrainą, a jej rozdziały wyznaczały kolejne etapy wojny z Rosją od 2014 roku. Dziś jest jednym z przedstawicieli nowej generacji ukraińskich generałów, stoi na czele armii, która musi nie tylko walczyć, ale także zmieniać samą siebie.

Żartujemy, że w Ukrainie pojawiła się nowa tradycja – raz w roku, latem, wychodzimy na ulice z kartonami. W ubiegłym roku pierwsi protestujący pod koniec lipca pojawili się na ulicach z hasłami wypisanymi na tekturze, sprzeciwiali się próbom ograniczenia uprawnień i niezależności organów antykorupcyjnych, czyli Narodowego Biura Antykorupcyjnego i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej.

Protesty w Kijowie odbywały się przy Teatrze im. Iwana Franki, który znajduje się tuż przy Biurze Prezydenta przy ulicy Bankowej. Tamta akcja została później ochrzczona mianem „kartonowego majdanu". Ostatecznie protestujący odnieśli zwycięstwo: władze państwowe zostały zmuszone do wycofania się z decyzji ograniczającej niezależność obu instytucji.

Lato 2026 roku rozpoczęło się na fali pewnego społecznego uniesienia, mimo kolejnych, brutalnych rosyjskich ostrzałów. Nastroje podsycały informacje o niemal codziennych uderzeniach ukraińskich wojsk w głąb Rosji, a nawet na terenie samej Moskwy – w rafinerie ropy naftowej i obiekty infrastruktury krytycznej. Optymizmu dodawała również operacja „Moloczka" (МоЛоЧка), której nazwę rozwijano jako „Moskwa legnie przez Krym" (Москва ляже через Крим). Jej celem były obiekty związane z rosyjską „flotą cieni", a także infrastruktura krytyczna na okupowanym Krymie.

Uwielbiany przez tłum

Co rano dowódca Sił Systemów Bezzałogowych, Madiar (Robert Browdi), publikował w serwisach społecznościowych informacje o liczbie ukraińskich dronów, które w ciągu nocy zaatakowały rosyjskie cele. Obraz dopełniały zdjęcia i nagrania publikowane przez samych Rosjan, pokazujące wielogodzinne kolejki po paliwo

eprasa.pl

w różnych częściach Rosji i na Krymie. Dla Ukraińców były one niemal namacalnym potwierdzeniem skuteczności tych uderzeń.

W tym kontekście ukazały się dwa duże wywiady ministra obrony: jeden telewizyjny, drugi opublikowany na YouTubie. To były pierwsze rozmowy z Mychajłem Fedorowem od czasu jego powołania na stanowisko. Fedorow pełnił wówczas funkcję zaledwie od pięciu miesięcy. Obie rozmowy trwały blisko półtorej godziny: minister opowiadał w nich o tym, jak Ukraina, wykorzystując nowe technologie i analizę danych, zamierza osiągnąć zwycięstwo w wojnie. Była również mowa o planach przeniesienia zakupów Ministerstwa Obrony, resortu dysponującego obecnie największym budżetem w Ukrainie, do systemu przejrzystych przetargów i o miliardach hrywien zaoszczędzonych dzięki zmianom w systemie zamówień publicznych. Wydawało się, że naprawdę znajdujemy się w przełomowym momencie.

I oto, w samym szczycie tego społecznego uniesienia, sprawdziło się ukraińskie przysłowie: „Leciał, leciał, aż skrzydła opuścił" (Летів летів, да й крила звішав). Na początku lipca w ukraińskiej przestrzeni informacyjnej zaczęły pojawiać się doniesienia o możliwej dymisji rządu. Dlaczego miałoby do niej dojść i jak dokładnie miałaby wyglądać? Odpowiedzi pozostawały niejasne. W mediach wymieniano kilka nazwisk potencjalnych kandydatów na premiera, który miałby zastąpić na stanowisku Julię Swyrydenko. Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: co stanie się z uwielbianym przez Ukraińców ministrem obrony Mychajłem Fedorowem? Sondaże wyraźnie wskazywały, że cieszy się on wyjątkowo wysokim poparciem społecznym.

Wzięcie na siebie odpowiedzialności za tragedię na poligonie wzmocniło reputację Mychajła Drapatego i wyróżniło go na tle tradycyjnej praktyki szukania winnych wśród podwładnych.

Na tle wielu innych ministrów, których nazwisk Ukraińcy nawet nie pamiętają albo których po prostu nie znają, Fedorow jest postacią niezwykle wyrazistą. To były minister transformacji cyfrowej, jeden z nielicznych członków zespołu, którzy pozostają u boku Wołodymyra Zełenskiego jeszcze od 2019 roku; niezamieszany w żaden skandal korupcyjny, mający reputację reformatora i wizjonera.

Pierwsze doniesienia o możliwej dymisji Mychajła Fedorowa pojawiły się już 12 lipca po oświadczeniu prezydenta o planowanej rekonstrukcji gabinetu ministrów. Wkrótce zaczęły napływać informacje, że na stanowisko ministra obrony miałby zostać powołany Ihor Kłymenko, ówczesny minister spraw wewnętrznych. To wywołało burzę, nie tylko z powodu odwołania samego Fedorowa, lecz przede wszystkim ze względu na postać jego przewidzianego następcy, co szczególnie oburzyło środowisko wojskowe, obawiające się „policyjnych" metod zarządzania.

fbb6fb8ff4

Zmiana w Ministerstwie Obrony stała się faktem 15 lipca. Według krążących w ukraińskiej przestrzeni informacyjnej doniesień jedną z przyczyn tej decyzji miał być konflikt między Fedorowem a naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Ukrainy Ołeksandrem Syrskim. Wieczorem tego samego dnia Fedorow opublikował pożegnalny wpis, w którym podsumował swoją pracę i oficjalnie potwierdził zakończenie kadencji.

Kolejny obrońca?

Niemal natychmiast w serwisach społecznościowych zaczęły pojawiać się apele o jego wsparcie. Dmytro Koziatynski, weteran wojny rosyjsko-ukraińskiej, zapowiedział akcję wsparcia Fedorowa. Następnego dnia w pobliżu Teatru im. Iwana Franki w Kijowie, podobnie jak rok wcześniej, pojawiły się kartonowe transparenty, a głównym hasłem protestujących było żądanie powrotu Fedorowa na stanowisko ministra obrony.

Uczestnicy demonstracji podkreślali, że uważają go za jednego z najskuteczniejszych szefów resortu obrony, i apelowali do prezydenta o ponowne rozpatrzenie decyzji kadrowej. Akcje poparcia odbyły się nie tylko w stolicy. Demonstracje zorganizowano również we Lwowie, Charkowie, Dnieprze, Odessie, Krzywym Rogu, Czerkasach, Równem, Łucku, Mikołajowie, Czernihowie i Iwano-Frankiwsku.

Zełenski ogłosił, że pełniącym obowiązki ministra obrony zostanie dotychczasowy p.o. szefa SBU, generał major Jewhen Chmara. Prezydent powierzył mu kontynuowanie reform w resorcie obrony i zapowiedział skierowanie jego kandydatury do zatwierdzenia przez parlament.

Nominacja Chmary nieco uspokoiła protestujących, którzy byli bardzo sceptycznie nastawieni do wcześniejszej kandydatury Kłymenki. Chmara cieszył się dobrą reputacją w społeczeństwie jako dowódca elitarnej jednostki CSO „A" SBU. Jednocześnie jego nominacja była odbierana jako kolejne rozwiązanie tymczasowe, mające „załatać dziurę kadrową" podobnie jak było już wcześniej z Chmarą, po dymisji poprzedniego szefa SBU Wasyla Maliuka. Tamta decyzja również spotkała się ze społecznym niezrozumieniem i była odbierana niejednoznacznie.

Sam Fedorow nie zamierzał milczeć. Odbył się briefing, podczas którego były minister obrony przedstawił swoją wersję wydarzeń związanych z dymisją. Mówił wprost o konflikcie z naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Ukrainy Ołeksandrem Syrskim, a także o głębokich problemach w armii, które, jak twierdził, doprowadziły do ich konfrontacji.

Fedorow potwierdził, że już na początku swojej kadencji proponował prezydentowi odwołanie Syrskiego ze stanowiska naczelnego dowódcy SZU oraz Andrija Hnatowa z funkcji szefa Sztabu Generalnego. Zełenski nie zgodził się jednak wów-

eprasa.pl

czas na te zmiany. Zamiast tego, według relacji Fedorowa, to właśnie Syrski postawił później „ultimatum", które w praktyce doprowadziło do dymisji ministra. Zresztą nieco później, odpowiadając na pytania dziennikarzy, Zełenski potwierdził konflikt między mężczyznami i przyznał, że być może należało odwołać zarówno Fedorowa, jak i Syrskiego.

Główne zarzuty, jakie Fedorow stawiał Syrskiemu, dotyczyły oporu wobec zmian technologicznych i biurokratyzacji procesów, a także nadmiernej centralizacji oraz konserwatywnego stylu zarządzania.

Jako jeden z przykładów problemów we współpracy między kierownictwem armii Fedorow przywołał również sytuację wokół dowódcy Sił Połączonych SZU Mychajła Drapatego. Mówił w tym kontekście o „izolowaniu i zatruwaniu" osób, które próbują rozwijać się w wojsku. Według Fedorowa Drapaty miał już na koncie trzy nagany, a po jego wystąpieniu groziła mu kolejna.

Po tych słowach charakter protestów zaczął się zmieniać. O ile pierwszego dnia ich głównym postulatem był powrót Fedorowa na stanowisko ministra obrony, o tyle już drugiego dnia jednym z najgłośniejszych żądań stało się odwołanie naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych Ukrainy Ołeksandra Syrskiego.

Szczególny głos

Mychajło Drapaty stanął po stronie Fedorowa. Napisał: „Wraz z przyjściem nowego zespołu do Ministerstwa Obrony pojawiła się realna próba zmiany zasad, według których system wojskowy funkcjonował przez lata. Nie chodziło o nowe nazwy ani kolejną przebudowę na papierze, lecz o rozwiązanie problemów, których konsekwencje żołnierze i dowódcy odczuwają każdego dnia. Jestem wdzięczny zespołowi Ministerstwa Obrony za to, że podjął się tej pracy i nie bał się dotknąć kwestii, które system przyzwyczaił się przemilczać".

Jego głos miał szczególne znaczenie, ponieważ w przestrzeni publicznej pojawiał się informacje, że wojskowi, którzy otwarcie wyrażali poparcie dla Fedorowa, mieli być za to karani. Donoszono również, że niektórych wojskowych zmuszano do publicznego popierania Syrskiego.

Protesty trwały codziennie w dużych miastach Ukrainy. Reakcją Zełenskiego było publiczne relacjonowanie w serwisach społecznościowych jego codziennych spotkań z najwyższym kierownictwem wojskowym kraju. Ostatecznie, pod presją protestów, 21 lipca Zełenski ogłosił odwołanie Ołeksandra Syrskiego ze stanowiska naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych Ukrainy. Jego następcą został właśnie Mychajło Drapaty.

Protestujący odebrali tę decyzję jako krok w dobrym kierunku, ale to nie zakończyło jednak ruchu protestacyjnego. Już w ostatnim dniu lipca w Kijowie i wielu in-

fbb6fb8ff4

nych miastach Ukrainy odbył się liczny marsz protestacyjny na rzecz dialogu i reform. Głównym postulatem demonstrantów pozostawało przywrócenie Fedorowa na stanowisko ministra obrony. Na kartonowych transparentach pojawiło się hasło: „Jeden Mychajło dobrze, a dwóch jeszcze lepiej". W czasie pisania tego artykułu walka protestujących o powrót Fedorowa na stanowisko ministra obrony nadal trwa.

Symbol oporu

Mychajło Drapaty to czterdziestotrzyletni generał bojowy i jeden z symboli ukraińskiego oporu, w środowisku wojskowym uważany za prawdziwą legendę. Z Rosjanami walczy nieprzerwanie od 2014 roku, a jego kariera jest związana z najbardziej krytycznymi momentami wojny. Ukraińskie media i żołnierze powtarzają: „Gdy było ciężko, tam był on", nazywając go „strażnikiem frontu" i prawdziwym dowódcą bojowym, który osobiście brał udział w walkach.

Sam Drapaty tak mówi o swojej służbie: „Służę w Siłach Zbrojnych Ukrainy od dwudziestu sześciu lat. Przez ten czas armia dawno przestała być dla mnie stanowiskiem, stopniem czy odrębnym etapem życia. To sprawa, której oddałem wszystko i za którą czuję osobistą odpowiedzialność".

Szeroka publiczność w Ukrainie zobaczyła go na kilka sekund w sierpniu 2014 roku na antenie jednej stacji telewizyjnej, od razu po wyjściu z „kotła izwaryńskiego". Później pojawił się również w reportażu stacji STB. Na ekranie zobaczyliśmy powściągliwego, szczupłego i wyraźnie zmęczonego mężczyznę w białych spodniach i koszulce, trzymającego na rękach cztero- lub pięcioletniego syna. W klasycznym reportażu informacyjnym pokazano również kilka ujęć z jego żoną. W wywiadzie Mychajło Drapaty mówił o wydostaniu się z rosyjskiego okrążenia podczas wojny na wschodzie Ukrainy.

„Kocioł izwaryński" był pierwszym na dużą skalę okrążeniem ukraińskich wojsk podczas wojny na wschodzie kraju w 2014 roku. Wszystko zaczęło się w połowie czerwca, gdy Mychajło Drapaty jako dowódca drugiego batalionu 72. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej wyruszył wraz ze swoimi żołnierzami w rajd wzdłuż granicy z Federacją Rosyjską. Zadaniem ukraińskich żołnierzy było przejęcie kontroli nad pasem przygranicznym i odcięcie prorosyjskich bojowników od dostaw logistycznych z Rosji.

W odpowiedzi Rosjanie rozpoczęli zmasowany ostrzał ukraińskich pozycji bezpośrednio ze swojego terytorium, podczas gdy z drugiej strony atakowali ich prorosyjscy bojownicy, wykorzystujący ludność cywilną jako żywe tarcze. Żołnierze trzech ukraińskich brygad oraz strażnicy graniczni znaleźli się w śmiertelnym pierścieniu ognia. Jak wspominał później Drapaty, zdarzały się dni, gdy ich pozycje były nie-

eprasa.pl

przerwanie poddawane siedmiogodzinnemu ostrzałowi artyleryjskiemu. Przewaga przeciwnika była miażdżąca, wsparcie nie nadchodziło, kończyła się amunicja, a większość sprzętu została zniszczona.

Gdy stało się jasne, że sytuacja jest bez wyjścia, Drapaty kategorycznie odmówił poddania się lub przejścia na stronę rosyjską. Wziął na siebie pełną odpowiedzialność za wyprowadzenie żołnierzy z rejonu Izwaryna i Czerwonopartyzanska.

Przełamanie nastąpiło w skrajnie trudnych warunkach: przez gęste pola minowe, pod nieustannym ostrzałem rosyjskiej artylerii i przy jednoczesnym odpieraniu zasadzek przeciwnika. Pokonując ponad 160 kilometrów w ciągłych walkach, Drapaty wyprowadził z okrążenia około dwustu sześćdziesięciu wyczerpanych żołnierzy oraz ponad trzydzieści jednostek ciężkiego sprzętu bojowego.

Zanim jednak doszło do dramatycznych wydarzeń w „kotle izwaryńskim", nazwisko Mychajła Drapatego już było zapisane w pamięci Ukraińców za sprawą słynnego nagrania z „latającym BWP" z 9 maja 2014 roku.

Tego dnia grupa prorosyjskich bojowników przeprowadziła szturm na komendę miejską milicji w Mariupolu. Kierownictwo zwróciło się o pilną pomoc do wojska. W pobliżu miasta stacjonował wówczas drugi batalion 72. Brygady. Żołnierze w kilkunastu pojazdach opancerzonych natychmiast ruszyli na pomoc.

Gdy wojskowi dotarli pod budynek komendy, bojownicy zdążyli już zająć pierwsze piętro i szturmowali wyższe kondygnacje. Batalion Drapatego pomógł oblężonym funkcjonariuszom i żołnierzom utorować drogę, wydostać się z otoczonego obiektu i wycofać w kierunku lotniska w Mariupolu.

Fedorow stawiał Syrskiemu zarzuty dotyczące oporu wobec zmian technologicznych i biurokratyzacji procesów, a także nadmiernej centralizacji oraz konserwatywnego stylu zarządzania.

W drodze powrotnej przed kolumną pojawiła się ponadmetrowa barykada wzniesiona przez prorosyjskich separatystów. Gdy kierowca BWP zgłosił przeszkodę, Drapaty wydał krótki rozkaz: „Gazu!".

Pojazd z pełną prędkością staranował zaporę, a wóz dosłownie wzbił się w powietrze z rozwijającą się flagą Ukrainy i przeskoczył nad barykadą. Nagranie tego manewru błyskawicznie obiegło media i stało się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli pierwszych miesięcy wojny w Donbasie.

Kim jest Drapaty?

Informacji na temat życia Drapatego w przestrzeni publicznej nie ma zbyt wielu. Urodził się w 1982 roku w Kamieńcu Podolskim, w rodzinie nauczycielskiej. Po

fbb6fb8ff4

latach wspominał, że marzenie o założeniu munduru i zostaniu wojskowym pojawiło się u niego bardzo wcześnie: już w siódmej lub ósmej klasie, gdy miał zaledwie czternaście–piętnaście lat.

Po ukończeniu szkoły rozpoczął naukę na Wydziale Dowódczym Charkowskiego Instytutu Wojsk Pancernych. W 2004 roku ukończył uczelnię w stopniu porucznika i rozpoczął służbę w szeregach 72. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej z Białej Cerkwi.

Do 2014 roku jego służba przebiegała według typowego schematu kariery oficerskiej. Tuż przed aneksją Krymu Drapaty objął dowództwo drugiego batalionu tej brygady. Gdy wiosną 2014 roku rozpoczęła się rosyjska agresja, jego jednostka już w połowie kwietnia znalazła się na wschodzie Ukrainy, gotowa do wykonywania zadań bojowych.

Rosyjscy „wojenkorzy" i propagandyści przedstawiali Drapatego jako znacznie groźniejszego i silniejszego przeciwnika niż jego poprzednik Ołeksandr Syrski.

W latach konfliktu na wschodzie Ukrainy nieprzerwanie uczestniczył w najcięższych starciach. Mimo intensywnej służby na pierwszej linii dbał również o rozwój swoich kompetencji dowódczych. W 2021 roku z wyróżnieniem ukończył kurs strategiczny na Narodowym Uniwersytecie Obrony Ukrainy, otwierający drogę do najwyższych stanowisk dowódczych oraz awansów generalskich. Jako najlepszy absolwent rocznika otrzymał wówczas z rąk ambasadorki Wielkiej Brytanii Melindy Simmons wyjątkowe wyróżnienie: pamiątkowy miecz Królowej Elżbiety II.

Prywatnie Mychajło Drapaty jest żonaty; wspólnie z żoną Julią wychowują syna Iwana i córkę Annę.

Wojna pełnoskalowa

Logikę służby Mychajła Drapatego po 2022 roku precyzyjnie opisuje jedna zasada: trafiał tam, gdzie sytuacja była najbardziej krytyczna. Reputację dowódcy gaszącego pożary na froncie budował na najtrudniejszych jego odcinkach.

Wybuch pełnoskalowej inwazji 24 lutego 2022 roku zastał generała brygady na wschodzie, gdzie jako zastępca dowódcy Sił Połączonych Sił Zbrojnych Ukrainy ds. szkolenia wojsk kierował jednym z punktów dowodzenia. Już w marcu, wobec zagrożenia na południu, stanął na czele ugrupowania operacyjnego „Południe" i zatrzymał natarcie Rosjan na Krzywy Róg. Latem i jesienią był jednym z kluczowych architektów ofensywy chersońskiej, zakończonej wyzwoleniem prawobrzeżnej części obwodu wraz z Chersoniem.

eprasa.pl

Po objęciu stanowiska naczelnego dowódcy przez Ołeksandra Syrskiego w lutym 2024 roku Drapaty został zastępcą szefa Sztabu Generalnego ds. szkolenia, równolegle dowodząc kierunkiem „Odessa". A w maju – po nowej rosyjskiej ofensywie w obwodzie charkowskim – pilnie objął dowództwo ugrupowania operacyjno-taktycznego „Charków", szybko organizując obronę i powstrzymując marsz wroga.

Kilka miesięcy później, w obliczu eskalacji w Donbasie, przejął dowództwo nad kierunkiem „Ługańsk". Obok działań bojowych wdrażał tam systemową walkę z fałszowaniem raportów z pierwszej linii i ukrócił karanie za uczciwą analizę utraty pozycji.

W listopadzie Mychajło Drapaty został mianowany na dowódcę Wojsk Lądowych Sił Zbrojnych Ukrainy, przejmując kierownictwo nad najliczniejszą częścią armii ukraińskiej. Bardzo szybko przystąpił do reform, zapowiadając szeroko zakrojoną transformację. Miała ona objąć rekrutację i szkolenie wojskowe, wdrażanie najnowszych technologii i nowoczesnych metod zarządzania walką, cyfryzację procesów w armii, a także reformę systemu dowodzenia, logistyki i wsparcia społecznego żołnierzy. Mimo to Drapaty kontynuował misje bojowe, w tym na kierunku „Chortycia".

Prezydent Wołodymyr Zełenski przyjął rezygnację Drapatego z funkcji dowódcy Wojsk Lądowych, ale ze względu na jego autorytet i doświadczenie mianował go dowódcą Sił Połączonych SZU.

Jednak szeroko zakrojone reformy przerwała tragedia. 1 czerwca 2025 roku rosyjska rakieta uderzyła w 239. poligon, zabijając dwunastu młodych żołnierzy i raniąc ponad sześćdziesiąt osób. Ponieważ był to już drugi tego rodzaju incydent w ciągu zaledwie trzech miesięcy, Drapaty tego samego dnia podał się do dymisji. W publicznym oświadczeniu wziął na siebie pełną odpowiedzialność za tragedię, podkreślając, że dowódca nie może ukrywać się za systemem, a bez uznania błędów i wzięcia za nie odpowiedzialności nie ma ani rozwoju, ani zwycięstwa.

Prezydent Wołodymyr Zełenski przyjął rezygnację Drapatego z funkcji dowódcy Wojsk Lądowych, ale ze względu na jego autorytet i doświadczenie mianował go dowódcą Sił Połączonych SZU. Wzięcie na siebie odpowiedzialności za tragedię na poligonie jednak wzmocniło jego reputację i wyróżniło go na tle tradycyjnej praktyki szukania winnych wśród podwładnych. Drapaty również nigdy nie był bohaterem żadnego skandalu korupcyjnego ani wizerunkowego, a w środowisku wojskowym cieszy się opinią empatycznego dowódcy, pamiętającego imiona żołnierzy.

W przestrzeni publicznej Drapaty unika rozbudowanych analiz i częstych wystąpień. Swoją wizję zwycięstwa Ukrainy sprowadza do pełnej deokupacji, ustanowienia sprawiedliwego pokoju i zagwarantowania bezpieczeństwa. Wśród priorytetów wymienia wysoką jakość szkolenia wojskowych, uzyskanie przewagi technologicznej

fbb6fb8ff4

dzięki masowemu wykorzystaniu dronów i systemów opartych na sztucznej inteligencji, a także wykorzenienie korupcji, bezkarności i „zmowy milczenia" w armii.

Jego najnowsza nominacja na dowódcę Sił Zbrojnych wywołała gwałtowną reakcję w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej. Rosyjscy „wojenkorzy" i propagandyści przedstawiali Drapatego jako znacznie groźniejszego i silniejszego przeciwnika niż jego poprzednik, Ołeksandr Syrski.

Lata bezpośrednich walk na froncie przyniosły mu również wyjątkowe uznanie w Ukrainie. Został on odznaczony Orderem Bohdana Chmielnickiego, stając się jednym z nielicznych oficerów, którzy otrzymali wszystkie trzy klasy tego odznaczenia. Do jego wyróżnień dołączył także społeczny Order Narodowego Bohatera Ukrainy. Decyzją prezydenta Drapaty otrzymał Krzyż Zasługi Bojowej za wybitne osiągnięcia w dowodzeniu wojskami. Nadano mu także tytuł honorowego obywatela Chersonia oraz Krzywego Rogu.

Zoriana Varenia jest politolożką i dziennikarką z Ukrainy. Obecnie pracuje w redakcji portalu „Nowa Polszcza", współpracuje także z innymi redakcjami, m.in. z Radiem 357.

eprasa.pl

Zaawrócić wojnę do Rosji

Agnieszka Żądło

Ukraińskie drony palą rafinerie, lotniska i magazyny największych sklepów internetowych na terytorium agresora. Kijów chce, by Rosjanie poczuli koszty wojny. Ale im bardziej cywilny jest cel, tym trudniejsze staje się pytanie o granice tej strategii.

Pierwsze ukraińskie uderzenia na terytorium Rosji miały miejsce już w 2022 roku, przede wszystkim w przygranicznych obwodach: biełgorodzkim, kurskim i briańskim. Atakowane były składy paliw, infrastruktura kolejowa, lotniska i inne obiekty związane z rosyjskim zapleczem wojskowym. Jednocześnie ostrzał i drony trafiały również w zabudowę cywilną. Z czasem wraz ze zwiększaniem zasięgu ukraińskich bezzałogowców takie przypadki zaczęły zdarzać się setki kilometrów od granicy.

Symbolicznym przełomem był 30 maja 2023 roku, kiedy drony po raz pierwszy na dużą skalę dotarły do Moskwy. Uszkodzone zostały budynki mieszkalne, dwie osoby odniosły lekkie obrażenia. Ukraina nie przyznała się wówczas do przeprowadzenia operacji i nie ma dowodów, że bloki były jej zamierzonym celem.

Znacznie tragiczniejsza była akcja w Biełgorodzie: 30 grudnia 2023 roku w centrum miasta zginęło dwadzieścia pięć osób, w tym czworo dzieci, a ponad sto zostało rannych. Rosja oskarżyła Ukrainę o celowy atak na ludność cywilną. Strona ukraińska utrzymywała, że celem były obiekty wojskowe, a część ofiar mogła być skutkiem działania rosyjskiej obrony przeciwlotniczej. Okoliczności zdarzenia nie zostały niezależnie rozstrzygnięte.

10 września 2024 roku, podczas nalotu 144 dronów, uszkodzone zostały bloki w podmoskiewskim Ramienskoje; zginęła czterdziestosześcioletnia kobieta, trzy osoby zostały ranne, czterdzieści trzy ewakuowano. Podobnie było podczas wielkiego ataku na Moskwę 11 marca 2025 roku. Rosyjskie Ministerstwo Obrony Narodowej twierdziło, że w całym kraju przechwycono 337 dronów, w tym 91 nad obwodem moskiewskim. Zginęły trzy osoby, a kilkanaście zostało rannych. Ukraina uderzała jednocześnie w obiekty związane z sektorem paliwowym.

Do 2025 roku zasadniczy model ukraińskich uderzeń pozostawał dość czytelny: bazy, rafinerie, lotniska, zakłady przemysłowe, magazyny paliwa i infrastruktura

fbb6fb8ff4

transportowa. Ludność cywilna coraz częściej ponosiła ich konsekwencje, ale nie widać było jeszcze deklarowanej strategii niszczenia dużych przedsiębiorstw konsumenckich.

Jagódki

Wyraźna granica została przekroczona 18 lipca 2026 roku. Tego dnia Ukraina świadomie uderzyła w dwa wielkie centra logistyczne Wildberries – w Elektrostali pod Moskwą oraz Kotowsku w obwodzie tambowskim. Zginęło łącznie osiem osób: w pierwszym miejscu jedna, w drugim – siedem. Kolejne dziesiątki ucierpiały podczas tej samej fali ataków w obwodzie moskiewskim.

Celem nie była rafineria, fabryka broni ani wojskowy magazyn, ale obiekty największego rosyjskiego sprzedawcy internetowego – odpowiednika Amazona czy Allegro. Wildberries (nazywane przez Rosjan „jagódkami") jest jednym z filarów rosyjskiego handlu internetowego: w 2025 roku przez jego platformę przeszły towary warte około 75 miliardów dolarów, równowartość mniej więcej 3 procent rosyjskiego PKB. W ogromnych centrach logistycznych firmy przechowywane, sortowane i wysyłane są produkty tysięcy sprzedawców – od ubrań, kosmetyków i elektroniki po sprzęt.

Putin podpisał dekret umożliwiający państwu czasowe przejmowanie kontroli nad infrastrukturą krytyczną, jeśli właściciele nie potrafią jej zabezpieczyć albo zbyt wolno usuwają skutki ataków.

Tym razem Kijów nie ukrywał, że magazyny były zamierzonym celem. Zełenski twierdził, że Rosja wykorzystywała je do dostarczania objętych sankcjami komponentów potrzebnych do produkcji dronów i urządzeń nawigacyjnych. Ukraina wskazuje też, że na platformie Wildberries dostępne są między innymi noktowizory, ładownice na amunicję i hełmy. Sama firma i Kreml zaprzeczają jednak, by Wildberries zaopatrywało rosyjską armię. Prezydent Ukrainy umieścił operację w kontekście odwetu: „W odpowiedzi na rosyjskie ataki na naszą infrastrukturę cywilną oraz nasze miasta i społeczności uderzono w dwa duże obiekty logistyczne" – mówił.

W ciągu następnych trzech tygodni Ukraina wielokrotnie uderzała w centra logistyczne Wildberries. Analiza zdjęć satelitarnych przeprowadzona przez Reutersa wykazała, że do 7 sierpnia uszkodzono lub zniszczono co najmniej 1,18 miliona metrów kwadratowych powierzchni magazynowej – ponad jedną piątą możliwości firmy. W kolejnych dniach skala zniszczeń zbliżyła się do 30 procent, a straty ekonomiczne szacowano na 2–4 miliardy dolarów.

eprasa.pl

Skutki rozlały się daleko poza Wildberries: problemy z dostawami dotknęły dziesiątki tysięcy małych przedsiębiorców sprzedających przez platformę. Jeden z ich właścicieli mówił Reutersowi, że liczba dostarczanych paczek spadła u niego z około 400 do 150 dziennie, a sprzedaż – o połowę.

I tutaj zmieniło się również uzasadnienie. Ukraina nadal twierdziła, że Wildberries uczestniczy w wojskowej logistyce, ale ukraińscy dowódcy zaczęli otwarcie wskazywać na drugi cel: uderzenie w gospodarkę i morale. Dowódca 413. pułku dronów Jewhen Karas mówił Associated Press, że chodzi o zwiększenie ekonomicznej i psychologicznej presji na Rosję i pokazanie jej mieszkańcom konsekwencji prowadzonej wojny.

Puszka Pandory

Skala zniszczeń zmusiła w końcu Kreml do reakcji. 19 sierpnia, po miesiącu uderzeń w magazyny Wildberries, Putin polecił rządowi przygotowanie programu odbudowy zniszczonych centrów logistycznych przy udziale państwa. Zapewniał, że ataki nie wywołały „krytycznych konsekwencji" dla rosyjskiej gospodarki, ale przyznawał: „Wyrządzają szkody; to oczywiste, w pełni to rozumiemy i przyznajemy". Centra logistyczne stały się problemem wymagającym reakcji państwa.

Trzy dni później kampania objęła drugiego giganta rosyjskiego e-commerce: 22 sierpnia zaatakowane zostało centrum logistyczne Ozonu w Czapajewsku w obwodzie samarskim. Po uderzeniu wybuchł pożar, ponad pięciuset pracowników ewakuowano, a kilkoro zostało rannych. Nie było ofiar śmiertelnych.

Tego samego dnia Putin oskarżył Ukrainę o otwarcie puszki Pandory. „Reżim kijowski postanowił zaszkodzić naszej gospodarce. Co zrobił? Sam otworzył tę puszkę Pandory" – mówił. Zagroził uderzeniami w „najbardziej wrażliwe sektory" ukraińskiej gospodarki.

Zachodni sojusznicy uznają prawo Ukrainy do samoobrony, także poprzez uderzenia w cele wojskowe na terytorium agresora. Nie oznacza to jednak akceptacji dowolnego celu ani sposobu prowadzenia ataku.

Ataki na Ozon trwały. 23 sierpnia ponad trzysta osób ewakuowano z centrum w obwodzie orenburskim po tym, jak – według rosyjskich władz – spadły na nie szczątki przechwyconego drona. Dzień później firma poinformowała o czterech kolejnych zaatakowanych obiektach. W Machaczkale i Enemie wybuchły pożary, centra w Adygejsku i Niewinnomysku ewakuowano. W ciągu trzech dni atakami objętych zostało sześć obiektów Ozonu, choć nie wszystkie bezpośrednio trafiono.

fbb6fb8ff4

24 sierpnia Kreml odpowiedział już nie tylko słowami. Putin podpisał dekret umożliwiający państwu czasowe przejmowanie kontroli nad infrastrukturą krytyczną, jeśli właściciele nie potrafią jej zabezpieczyć albo zbyt wolno usuwają skutki ataków. Regulacja obejmuje między innymi sektory: paliwowy, energetyczny, przemysłowy, telekomunikacyjny, transportowy i logistyczny. Pierwszy wicepremier Denis Manturow zapewniał, że nie jest to krok w stronę nacjonalizacji.

Ukraińskich uderzeń to nie zatrzymało. 26 sierpnia dron ponownie trafił w centrum Wildberries w obwodzie tambowskim. Pożar objął około 100 tysięcy metrów kwadratowych hali. Pracowników ewakuowano, nie było informacji o ofiarach. Według najnowszego bilansu Reutersa od połowy lipca atakami dotkniętych zostało ponad 20 centrów logistycznych Wildberries i Ozonu, a pożary zniszczyły około 1,9 miliona metrów kwadratowych powierzchni magazynowej.

Wildberries i Ozon stały się celami regularnej kampanii przeciwko zapleczu dwóch największych rosyjskich platform e-commerce. Skutki były widoczne również na giełdzie: 24 sierpnia akcje Ozonu traciły w Moskwie nawet 12 procent, a jego głównego akcjonariusza, AFK Sistema – niemal 13 procent. Uderzenia dotykały jednak także tysięcy niezależnych przedsiębiorców, pracowników magazynów i zwykłych konsumentów.

Jednocześnie coraz ważniejsze stawało się pytanie: kiedy obiekt cywilny może zgodnie z prawem stać się celem wojskowym?

Kiedy magazyn to cel

Profesor Michael N. Schmitt, ekspert prawa konfliktów zbrojnych i były profesor US Naval War College oraz University of Exeter, 23 lipca w Just Security opublikował analizę sprowokowaną ukraińskimi atakami na dwa magazyny Wildberries, w których zginęło ośmiu pracowników. Naukowiec stawia sprawę ostro: gdyby Ukraina atakowała zwykłe centra logistyczne po to, by wywrzeć presję na rosyjskie społeczeństwo, uderzenia byłyby nielegalne, a osoby za nie odpowiedzialne mogłyby odpowiadać za zbrodnię wojenną.

Sytuację zmienia jednak deklaracja Zełenskiego, że magazyny były wykorzystywane do dostarczania objętych sankcjami komponentów do produkcji dronów i urządzeń nawigacyjnych. Jeżeli ukraińskie informacje wywiadowcze rzeczywiście to potwierdzały, magazyn mógł stać się legalnym celem wojskowym. Schmitt podkreśla, że obiekt cywilny może być jednocześnie wykorzystywany militarnie.

Ale jest tu bardzo istotne „jeżeli". Nie wystarczy, że Wildberries sprzedaje rzeczy, które mogą być używane przez wojsko. Schmitt daje wręcz przykład odnoszący się do tej sprawy: jeżeli magazyn zawiera dostępne komercyjnie komponenty elektro-

eprasa.pl

niczne nadające się do budowy dronów, ale nie zostały one kupione przez wojsko ani przeznaczone do produkcji wojskowej, zarówno towary, jak i magazyn zachowują cywilny charakter. Sama możliwość, że kiedyś trafią do armii, jest za bardzo spekulatywna. Inaczej byłoby, gdyby magazyn rzeczywiście stanowił element łańcucha zaopatrzenia armii i regularnie przesyłał komponenty wojskowym odbiorcom. Wtedy – zdaniem Schmitta – istnieje realny związek z rosyjskimi działaniami wojennymi.

Reuters używa określenia „przynieść wojnę do domu" zwykłych Rosjan i pokazuje, jak uderzenia rozchodzą się po cywilnej gospodarce Rosji.

Jeszcze ostrożniej ocenia sytuację niezależna rosyjska Meduza. Redakcja przeanalizowała dowody na związki Wildberries z rosyjską armią i skonsultowała sprawę z prawnikiem specjalizującym się w prawie wojennym, który wypowiadał się anonimowo. Jego ocena jest bardziej sceptyczna niż Schmitta. Uznał, że dostępne publicznie informacje prawdopodobnie nie wystarczają do stwierdzenia, iż magazyny Wildberries spełniają kryteria celu wojskowego. Sama obecność towarów podwójnego zastosowania nie wystarcza, jeśli nie wiadomo, czy są one faktycznie przeznaczone dla wojska. Meduza nie znalazła przy tym publicznych dowodów na systemowe włączenie Wildberries w łańcuch dostaw rosyjskiego Ministerstwa Obrony. Wiadomo, że wolontariusze i organizacje wspierające armię kupują na platformie wyposażenie dla żołnierzy, ale czym innym jest możliwość zamówienia na Wildberries hełmu czy części do drona, a czym innym regularne wykorzystywanie konkretnego centrum logistycznego do zaopatrywania wojska. Znaczenie ma też skala: kilka palet wojskowego wyposażenia w magazynie obsługującym miliony cywilnych przesyłek tworzyłoby inną sytuację prawną niż obiekt będący istotnym węzłem zaopatrzenia armii.

Bring the war home

Reakcja międzynarodowa jest na razie zaskakująco powściągliwa. Nie znalazłam potępienia tej kampanii przez UE, NATO, USA ani ONZ jako takiej. Zachodni sojusznicy konsekwentnie uznają prawo Ukrainy do samoobrony, także poprzez uderzenia w legalne cele wojskowe na terytorium agresora. Nie oznacza to jednak akceptacji dowolnego celu ani sposobu prowadzenia ataku.

Najbardziej wyraźna granica pojawia się w stanowisku ONZ. 21 lipca, już po rozpoczęciu ukraińskiej kampanii przeciwko rosyjskim obiektom, rzecznik OHCHR mówił o ofiarach ataków „zarówno w Ukrainie, jak i w Rosji" i przypomniał, że cywile oraz infrastruktura cywilna są chronieni przez międzynarodowe prawo humanitarne, a umyślny atak na nie jest zbrodnią wojenną. ONZ nie stwierdziła jednak,

fbb6fb8ff4

że ukraińskie ataki na Wildberries są zbrodniami wojennymi – do takiego wniosku potrzebna byłaby ocena konkretnego celu i informacji, którymi Ukraina dysponowała przed uderzeniem.

Ciekawi też to, czego nie widać w reakcji Zachodu. Nie nastąpiła polityczna reakcja porównywalna choćby z wcześniejszymi obawami Waszyngtonu dotyczącymi ukraińskich uderzeń w rosyjskie rafinerie. Wiosną 2024 roku administracja Joe Bidena wielokrotnie naciskała na Kijów, by ograniczył takie ataki, obawiając się wzrostu światowych cen ropy i rosyjskiego odwetu na infrastrukturze energetycznej ważnej również dla państw zachodnich. Ataki na rosyjski e-commerce nie niosą porównywalnego ryzyka dla światowych rynków energii.

Kampania przeciw Wildberries i Ozonowi jest szeroko opisywana przez światowe media: Associated Press, Reuters, Financial Times czy media europejskie, ale przede wszystkim jako nowy etap ukraińskiej strategii przenoszenia kosztów wojny w głąb Rosji, a nie jako przekroczenie przez Kijów jakiejś jednoznacznej czerwonej linii. Reuters używa określenia „przynieść wojnę do domu" (*bring the war home*) w odniesieniu do zwykłych Rosjan i pokazuje, jak uderzenia rozchodzą się po cywilnej gospodarce: jeden z właścicieli punktu odbioru Wildberries mówił agencji, że jego sprzedaż spadła o połowę, a anonimowy rozmówca zbliżony do Kremla przewidywał „falę bankructw" wśród przedsiębiorców, z których wielu nie ma „absolutnie nic wspólnego z wojną".

Jednocześnie właśnie ten ekonomiczny i psychologiczny cel budzi największe zastrzeżenia prawników. To ważne rozróżnienie: państwo w samoobronie może atakować cele wojskowe na terytorium agresora, ale nie może niszczyć dowolnej rosyjskiej firmy tylko dlatego, że chce zaszkodzić rosyjskiej gospodarce albo sprawić, by Rosjanie „poczuli wojnę".

„Atak terrorystyczny" na Rosję

A poczuli. W lipcowym badaniu niezależnego Centrum Lewady ataki na Wildberries znalazły się wśród najczęściej spontanicznie wymienianych wydarzeń ostatnich tygodni – wskazało je 10 procent respondentów. Jednocześnie 62 procent Rosjan opowiadało się już za negocjacjami pokojowymi. Nie oznacza to jednak zwrotu przeciw Kremlowi: działania armii nadal popierało 66 procent, Putina – 74 procent (spadek w stosunku do zeszłego roku), a zaledwie 10 procent respondentów wskazywało Rosję jako stronę odpowiedzialną za konflikt.

Rosyjska propaganda nadal działa. Wildberries i Ozon są dla niej znacznie wygodniejszym materiałem niż trafienie w bazę bombowców czy rafinerię. Pozwalają przesunąć opowieść z „Ukraina niszczy zaplecze rosyjskiej armii" na „Ukraina

eprasa.pl

atakuje zwykłych Rosjan i ich codzienne życie". I robi to na kilku poziomach. Po pierwsze, chodzi o odwrócenie ról. Putin mówi o Ukrainie jako stronie dokonującej „ataków terrorystycznych", na które „Rosja jest zmuszona" odpowiedzieć. „Zapomina", że Rosja nieustająco atakowała ukraińską infrastrukturę gospodarczą i cywilną na ogromną skalę na długo przed kampanią przeciw Wildberries i Ozonowi, podczas gdy ukraińskie uderzenia są elementem obrony państwa przed tą agresją.

Ataki na Wildberries i Ozon pozwalają przesunąć opowieść z „Ukraina niszczy zaplecze rosyjskiej armii" na „Ukraina atakuje zwykłych Rosjan i ich codzienne życie".

Po drugie, magazyny internetowych sklepów są idealnymi symbolami „cywilnej Rosji". Baza lotnicza Engels, skład amunicji czy zakład produkujący broń słabo nadają się do budowania obrazu niewinnej Rosji zaatakowanej przez Ukrainę. Ozon i Wildberries – odpowiedniki Amazona, z których korzystają miliony zwykłych Rosjan – znakomicie się do tego nadają. Szczególnie gdy giną pracownicy. Dla kremlowskiej telewizji martwy magazynier jest znacznie użyteczniejszym symbolem niż spalony bombowiec Tu-95.

Po trzecie, Kreml wykorzystuje ataki do uzasadniania własnych uderzeń w ukraińską gospodarkę. To obecnie chyba najważniejsza funkcja tej narracji. Po uderzeniach w Ozon rzecznik Putina Dmitrij Pieskow powiedział 24 sierpnia, że rosyjska odpowiedź jest odczuwalna w Kijowie „każdego dnia, każdej nocy". Putin z kolei wprost powiązał ukraińską kampanię z rosyjskimi atakami na ukraińskie cele gospodarcze, w tym infrastrukturę związaną z eksportem zboża przez Morze Czarne.

Po czwarte, ofiary cywilne pomagają Rosji podważać moralną przewagę Ukrainy. Właśnie na tym polu decyzja Kijowa o atakowaniu magazynów jest propagandowo ryzykowna. Jeżeli Ukraina niszczy bombowiec Tu-95, który służy do ostrzeliwania ukraińskich miast, Kremlowi trudno przekonać zagraniczną opinię publiczną, że jest to akt terroryzmu. Gdy dron niszczy magazyn internetowego sklepu, a giną jego pracownicy, rosyjski przekaz staje się dużo prostszy: Ukraina twierdzi, że walczy z rosyjską armią, ale zabija magazynierów.

Jest też piąty, wewnętrzny cel: Kreml próbuje przekierować gniew Rosjan. Im częściej drony docierają setki kilometrów w głąb kraju, tym trudniej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego państwo, które od lat zwiększa wydatki wojskowe i zapewnia obywateli o swojej sile, nie potrafi ochronić rafinerii, lotnisk czy ogromnych magazynów. Odpowiedzialność przesuwana jest z niewydolności rosyjskiej obrony na „ukraiński terroryzm", a jednocześnie na sam biznes.

Tu pojawia się paradoks tej strategii. Z jednej strony Kijów osiąga to, czego chce: wojna przestaje być dla Rosjan odległym konfliktem rozgrywającym się wyłącznie na

fbb6fb8ff4

terytorium sąsiada, a jej gospodarcze i psychologiczne koszty coraz trudniej przed nimi ukryć. Z drugiej – im częściej skutki ataków odczuwają zwykli Rosjanie, tym więcej argumentów dostaje Kreml, by przekonywać ich, że zagrożeniem nie jest wojna rozpoczęta przez Putina, lecz sama Ukraina. Pytanie o skuteczność tych uderzeń nie sprowadza się więc do tego, ile magazynów udało się spalić. Trzeba zapytać, czy ich wojskowe, ekonomiczne i psychologiczne korzyści przewyższają prawne, polityczne i propagandowe koszty.

Czy to się Ukrainie opłaca?

Bezpośredni efekt militarny jest na razie trudny do zmierzenia. Nie ma publicznych danych pokazujących na przykład, że po zniszczeniu magazynów spadła liczba rosyjskich dronów na froncie albo armia zaczęła mieć problemy z zaopatrzeniem w produkty, które czerpała od prywatnych dostawców, choćby w najmniejszym stopniu.

Im częściej skutki ataków odczuwają zwykli Rosjanie, tym więcej argumentów dostaje Kreml, by przekonywać ich, że zagrożeniem nie jest wojna rozpoczęta przez Putina, lecz sama Ukraina.

Być może nie należy jednak mierzyć wyłącznie liczbą części do dronów spalonych w magazynach. Rosja musi chronić coraz więcej obiektów znajdujących się setki kilometrów od frontu – rafinerie, lotniska, zakłady przemysłowe, a teraz także centra logistyczne. To oznacza rozpraszanie systemów obrony przeciwlotniczej i walki elektronicznej, ludzi oraz pieniędzy.

Pod względem ekonomicznym ataki mogą być skuteczne, bo „podkopują" największe rosyjskie przedsiębiorstwa – ale właśnie to rodzi problem prawny. Prawo konfliktów zbrojnych nie pozwala atakować prywatnej firmy wyłącznie dlatego, że jej zniszczenie osłabi gospodarkę przeciwnika.

Psychologicznie strategia działa, ale nie wiadomo, czy w pożądanym przez Ukrainę kierunku. Nie ma jednak mocnych dowodów na to, że cierpienie rosyjskich cywilów zwiększa ich gotowość do wywierania presji na Putina. Może wręcz wystąpić efekt odwrotny: człowiek, któremu ukraiński dron zniszczył miejsce pracy albo zabił kogoś bliskiego, nie musi obwinić Kremla za rozpoczęcie wojny – może obwinić Ukrainę.

Największe ryzyko dla Ukrainy jest więc polityczne i wizerunkowe. Dotychczas zachodni sojusznicy nie potraktowali ataków na Wildberries i Ozon jako powodu do publicznego zerwania z ukraińską strategią uderzeń w Rosji. Nie oznacza to jednak, że zaakceptowaliby dowolne rozszerzenie listy celów. Zamierzone atakowanie rosyjskich cywilów byłoby zakazane niezależnie od tego, że Ukraina jest ofiarą agre-

eprasa.pl

sji. Podobnie prywatny magazyn pozostaje chronionym obiektem cywilnym, dopóki nie zostaną spełnione warunki pozwalające uznać go za cel wojskowy.

Z punktu widzenia Ukrainy rachunek jest niekorzystny szczególnie wtedy, gdy korzyść wojskowa jest niewielka lub niejasna, a skutkiem są zabici rosyjscy cywile. Ukraina ponosi wtedy koszt prawny, moralny i propagandowy, a jednocześnie daje Kremlowi możliwość rozmywania podstawowej asymetrii tej wojny: Rosja jest państwem, które ją rozpoczęło, Ukraina – państwem, które się przed nią broni.

Agnieszka Żądło jest publicystką. Zajmuje się tematyką międzynarodową i społeczną.

fbb6fb8ff4

REKLAMA



Nominacja do Nagrody im. Marcina Króla.

Książka dostępna na: przegladpolityczny.pl

eprasa.pl

Najwyższa cena

Piotr Andrusieczko

Mijają lata, historie się zacierają. Liczby po pewnym czasie przestają robić wrażenie, są suchą statystyką. Pamiętajmy, że za każdą śmiercią w broniącej się przed Rosją Ukrainie kryją się historie konkretnych ludzi. Tragedie i bohaterstwo.

Od 24 lutego 2022 roku do połowy roku 2026 w wyniku rosyjskiej agresji zginęło 16,5 tysiąca ukraińskich cywili. Nie ma dokładnych danych, ilu poległo ukraińskich żołnierzy. W lipcu 2026 roku prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski powiedział, że ukraińskie straty wojskowe stanowią około 50 tysięcy zabitych. Jednak większość wojskowych i ekspertów uważa, że są one wyższe.

Na każdym ukraińskim cmentarzu powiewają ukraińskie flagi – znaczą groby tych, którzy zginęli, broniąc ojczyzny. Na placach miast i wsi widnieją ich fotografie. W 2026 roku 114 tysięcy Ukraińców zostało uznanych za zaginionych (wskutek konfliktu zbrojnego). Większość z nich to żołnierze i większość raczej się nie odnajdzie. Do tych danych należy jeszcze dodać liczbę ludzi, którzy stracili życie od początku rosyjskiej agresji w 2014 roku.

Chewbacca pod donieckim lotniskiem

W styczniu 2015 roku rozgrywał się ostatni etap walk o donieckie lotnisko, bronili go ukraińscy żołnierze, nazywani – ze względu na przypisywaną im nadludzką wytrzymałość – „kiborgami" (cyborgami).

Razem z ukraińską dziennikarką Inną trafiliśmy wówczas do Aerorozwidki, oddziału, który zajmował się zwiadem powietrznym z wykorzystaniem dronów (multicopterów). Oddział jako jeden z pierwszych wykorzystywał wojskowe systemy dronowe.

Założycielem Aerorozwidki był Wołodymyr Koczetkow-Sukacz ps. Chewbacca. Pseudonim miał trafny. Gęsta broda, nieco dłuższe włosy. Przypominał postać z *Gwiezdnych wojen*.

Budził zaufanie, co pozwalało mu zgromadzić wokół siebie oddanych mu ludzi. Życiorys miał bardzo barwny. Czym tylko się nie zajmował? Po skończeniu studiów na Politechnice Kijowskiej był jednym z założycieli wydawnictwa publikującego książki pedagogiczne, a także jednej z kijowskich szkół waldorfskich. Przez wiele lat pracował

fbb6fb8ff4

jako biznesmen, piastując kierownicze stanowiska. Wszedł do Biura Koordynacyjnego ds. przygotowań do Euro 2012. Pełnił funkcję doradcy wicepremiera Ukrainy.

W 2013 roku dołączył do Majdanu i do końca brał udział w rewolucji godności, a po rosyjskiej agresji na Donbas poszedł jako ochotnik bronić kraju.

Wtedy, w styczniu 2015 roku, mieszkałem wraz z nim i jego oddziałem przez kilka dni. Dziś aż trudno sobie to wyobrazić, ale wówczas jeździliśmy z nimi na zadania bojowe. Jego oddział operował dronami, dzięki uzyskanemu rozpoznaniu koordynował ogień ukraińskiej artylerii. To były szalone dni, temperatura spadała poniżej minus dwudziestu stopni Celsjusza. Znajdowaliśmy się pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim. Spokój Chewbacci promieniował na innych.

Dwa miesiące później – podczas wykonywania zadania – poszedł, jak często wcześniej, do szarej strefy. Zobaczył minę przeciwpiechotną na swojej drodze. Jak mówią świadkowie, próbował ją obejść, ale ta okazała się śmiertelną pułapką.

Krym: 300 metrów zabrakło do domu

W 2014 roku Rosja anektowała Krym. Na celowniku putinowskiego reżimu znaleźli się ukraińscy i krymskotatarscy aktywiści. Od marca 2014 roku na półwyspie porwano kilkadziesiąt osób, a kolejne zaginęły.

Pierwszym był trzydziestodziewięcioletni Reszat Ametow z Symferopola. Mężczyzna w marcu 2014 roku powiedział rodzinie, że idzie zaciągnąć się na ochotnika do ukraińskiej armii. Na Krymie były już „zielone ludziki", trwała operacja zajęcia półwyspu.

Tego dnia kamery znajdujące się w centrum miasta nagrały Reszata przed budynkiem rządu Krymu na Placu Lenina. Prowadził pojedynczą pikietę przeciwko aneksji. Na filmie widać, jak podchodzi do niego kilku umundurowanych mężczyzn z „Krymskiej Samoobrony", wykręcają mu ręce i wsadzają siłą do samochodu.

Na każdym ukraińskim cmentarzu powiewają ukraińskie flagi, znaczą groby tych, którzy zginęli, broniąc ojczyzny.

Dwa tygodnie później ciało Ametowa – z licznymi śladami po torturach – zostało odnalezione nieopodal wsi Zemljaniczna w rejonie biełogorskim.

W czerwcu 2016 roku kolejny raz przyjechałem na zajęty przez Rosjan Krym. Chciałem dokumentować opór Tatarów krymskich. Trafiłem do Bachczysaraju, gdzie na jednym z osiedli przed wysokim blokiem od czterech tygodni każdego wieczora zbierali się Tatarzy. Przychodzili wesprzeć rodzinę Erwina Ibragimowa, który został porwany 24 maja 2016 roku.

eprasa.pl

– Zadzwonił do mnie około 22.15 i poprosił, żebym zobaczył, czy przypadkowo nie zostawił dokumentów na stole. Nie było ich. Pięć minut później to ja dzwoniłem do niego, ale telefon był już wyłączony – opowiadał mi wówczas Umer Ibragimow, ojciec uprowadzonego.

Na drugi dzień Umer po drodze do pracy zobaczył stojący na poboczu samochód syna. Drzwi były otwarte, kluczyk wewnątrz. Niedaleko znajduje się sklep z monitoringiem. Znajomi Erwina, którzy natychmiast zaczęli szukać go na własną rękę, uzyskali dostęp do nagrania. Widać na nim, jak samochód Erwina zostaje zatrzymany. Mężczyzna próbuje uciec, ale zostaje pojmany i zaprowadzony do stojącego na poboczu auta, które po chwili odjeżdża.

– Porwali go ludzie noszący policyjne mundury – dodawał Umer.

Trzydziestojednoletni Erwin Ibragimow był aktywistą krymskotatarskim, członkiem Medżlisu, osobą powszechnie lubianą. Jego koledzy (a nawet obcy ludzie) szukali go na własną rękę. Sprawdzali każdy sygnał płynący z różnych miejsc na półwyspie.

– Gdyby w tej rozmowie telefonicznej dodał, że został zatrzymany, dobiegłbym do niego w dwie minuty. Zabrakło mu 300 metrów do domu – mówił przez łzy ojciec Erwina.

W maju 2019 roku ostatni raz przyjechałem na Krym. Spotkałem się z rodzicami Erwina. Mężczyzna się nie odnalazł, ale rodzice wierzyli, że żyje. Zwracali się do wróżbitów z prośbą o pomoc, ci mówili, że widzą ich syna, miał przebywać gdzieś w niewoli. Niestety Erwina spotkał taki sam los jak innych porwanych Tatarów. Nikt nie wie, gdzie spoczywają.

Dmytro

Na przełomie stycznia i lutego 2022 roku objeżdżałem linię frontu w Donbasie. Pod koniec podróży trafiłem do Mariupola, sytuacja była napięta. Od dawna wiadomo było, że rosyjskie wojska koncentrują się wzdłuż ukraińskich granic. Na wschodzie kraju wszyscy czuli, że coś się wydarzy, mało kto zdawał sobie jednak sprawę ze skali ataku, który miał nastąpić.

W Mariupolu na początku lutego 2022 roku trafiłem do ośrodka Wolna Przestrzeń Chałabuda prowadzonego przez wolontariuszy. Spotkałem się z założycielem Chałabudy – Dmytrem Czeczerą.

Dmytro, jak wielu innych moich rozmówców, do 2014 roku nie interesował się polityką. Pracował jako inżynier, a wolny czas poświęcał swojemu hobby – fotografii. Wydarzenia 2014 roku w Donbasie zmieniły jego życie (przypomnijmy, że Mariupol wiosną 2014 roku znalazł się pod częściową kontrolą sił prorosyjskich).

fbb6fb8ff4

– W czerwcu 2014 roku po wyzwoleniu w mieście nie było praktycznie milicji. Sami patrolowaliśmy ulice, nie byliśmy bowiem pewni lojalności tutejszych – wspominał Dmytro.

Pod koniec sierpnia 2014 roku Mariupol ponownie znalazł się w niebezpieczeństwie, Rosjanie wraz z separatystami zajęli znajdujący się na granicy z Rosją Nowazowsk i ruszyli na Mariupol.

– Pojechaliśmy kopać okopy i pomagać żołnierzom. Mer zrozumiał, że i bez niego będziemy to robić. Miasto i należący do Rinata Achmetowa [oligarchy, który jednoznacznie potępił rosyjską agresję] Metinvest wydzieliły ciężki sprzęt i materiały – opowiadał aktywista.

Dla Dmytra ważne było wówczas, by pokazać mi, że w Mariupolu żyją ludzie, których warto bronić. Gotowi są nawet oddać własne życie za wolną Ukrainę. I Dmytro ryzykował, jeżdżąc z pomocą na linię frontu wokół Mariupola i na lotnisko w Doniecku, gdzie walczyli żołnierze z jego macierzystej jednostki powietrznodesantowej, w której niegdyś sam służył.

Ostatecznie front zatrzymał się kilkanaście kilometrów od Mariupola. Po 2015 roku pomoc wolontariuszy dla armii nie była już tak potrzebna. Potrzebne były zmiany w samym mieście. Dmytro postanowił skoncentrować swoją (jakże różnorodną) działalność w jednym miejscu. Tak powstała Wolna Przestrzeń Chałabuda, której głównym celem jest szeroko rozumiana edukacja. Organizacja wspiera mikroprzedsiębiorców, prowadzi dla młodzieży zajęcia z podstaw biznesu połączone z „zerową tolerancją dla korupcji".

W 2026 roku 114 tysięcy Ukraińców zostało uznanych za zaginionych (wskutek konfliktu zbrojnego). Głównie są to żołnierze i większość raczej się nie odnajdzie.

– Zmiany na froncie aktywizują ludzi w mieście. Na bazie Chałabudy powstał sztab obrony Mariupola, który zjednoczył kilka organizacji społecznych. Niosły one pomoc armii i organizowały obronę terytorialną – mówił Dmytro na początku lutego 2022 roku.

Kiedy snuł rozważania o przyszłości, szanse na zmiany wiązał z młodzieżą. Jego starszy syn miał osiemnaście lat, gdy zaczęła się pełnoskalowa wojna z Rosją. Dmytro podkreślał, że dla młodego pokolenia kraj nad Wołgą po prostu już nie istnieje.

Rosja postanowiła zmieść Mariupol z powierzchni ziemi, ale miasto bohatersko się broniło.

Chałabuda stała się centrum pomocy dla potrzebujących i przez pierwsze trzy tygodnie natarcia nieprzerwanie udzielała im wsparcia. Szacuje się, że przez ośrodek mogło przewinąć się w tym czasie nawet 25 tysięcy potrzebujących. W połowie

eprasa.pl

marca walki toczyły się kwartał od Chałabudy. Większość wolontariuszy zdecydowała się na ewakuację. Dmytro został, aby nadal pomagać. W mieście nie było łączności, tylko miejscami można było złapać sygnał internetowy. 16 marca 2022 roku Dmytro wyszedł zadzwonić i już nie wrócił.

Śmierć dogoniła go po ośmiu latach

W maju 2023 roku napisała do mnie Nastia Stanko, ukraińska dziennikarka, z którą jeździliśmy na front w latach 2014–2015. Pytała, czy słyszałem, że zginął Derech. Nie wiedziałem.

W styczniu 2015 roku pojechaliśmy wraz ze Stanko i pisarzem Serhijem Żadanem do frontowej miejscowości Triohizibinka w obwodzie ługańskim. Stacjonowali tam ochotnicy z Ajdaru.

Od 24 lutego 2022 do połowy 2026 roku w wyniku rosyjskiej agresji zginęło 16,5 tysiąca ukraińskich cywili.

Dowódcą jednego z oddziałów zwiadowczych Ajdaru był Witalij Derech. Kiedy rozpoczęła się wojna w Donbasie, ten pochodzący z Tarnopola wzorowy Plastun (ukraiński ruch skautowski) i dziennikarz zgłosił się na front jako ochotnik. Wcześniej uczestniczył w rewolucji godności w Kijowie. Przed wojną żył pełnią życia, podróżował, pasjonował się motocyklami.

Na miejsce dyslokacji oddziału dotarliśmy późno, Derech przywitał nas w jednoczęściowej piżamie – kombinezonie przypominającym jakiegoś zwierzaka. To była niesamowita noc. Żadan recytował wiersze, a Witalij – wraz ze swoimi żołnierzami – pokazywał filmiki nagrane telefonem i opowiadał zabarwione czarnym humorem historie frontowe, od których jeżyły się włosy. Opowiadać miał o czym, bo brał udział w najcięższych walkach Ajdaru w obwodzie ługańskim.

Kilka miesięcy później spotkaliśmy się w przyfrontowej miejscowości Szczastie w obwodzie ługańskim. Potem Derech zdemobilizował się, trudno mu było jednak zaadaptować się w cywilu. Tym bardziej, że silnie wpłynęła na niego śmierć przyjaciela, do której doszło podczas pierwszej bitwy Ajdaru w 2014 roku. Mężczyzna umarł w jego ramionach.

Kiedy Rosja zaatakowała na pełną skalę w lutym 2022 roku, zaciągnął się, by znów walczyć.

– Można powiedzieć, że dzięki rosyjskiej agresji doszedł do siebie. Był świetnym żołnierzem – opowiadała mi później Stanko.

Derech wrócił do Ajdaru, w którym pełnił funkcję dowódcy oddziału przeciwczołgowego. Dziennikarka spotkała się z nim wiosną 2023 roku w Drużkiwce (obwód doniecki), gdzie przyjechał na krótko odpocząć.

fbb6fb8ff4

– Był bardzo zmęczony. Walczył wtedy w Popasnej, z fotografii i rozmowy zrozumiałam, że tam na linii frontu było ciężko wyżyć – mówiła Stanko.

Dwa tygodnie później, 28 maja 2023 roku Derech zginął. Miał trzydzieści pięć lat.

Umrzeć wolnym

Pod koniec września 2025 roku rozmawiałem z Ołeksandrem Sawowem, obrońcą Mariupola. Opowiadał mi o pobycie w rosyjskiej niewoli. W maju 2022 roku wraz z innymi obrońcami Azowstalu został pojmany przez Rosjan. Przetrzymywano go w różnych miejscach i poddawano torturom. Doczekał się wymiany i w marcu 2025 roku wrócił do kraju.

Kiedy się z nim spotkałem, wciąż był objęty leczeniem. Mówił o problemach z koncentracją.

– Czasem się zawieszam. Zaczynam myśleć o czymś złym. Później mi przechodzi i mówię sobie, że przecież wszystko, co złe, należy już do przeszłości. Bywa, że gdy słyszę głośny dźwięk, podrywam się. Nie mogę znieść, kiedy ktoś idzie za mną. Zatrzymuję się, pozwalam mu przejść. To mania prześladowcza – opowiadał.

Wydawało mi się, że jego życie się ułoży. W listopadzie 2025 roku Ołeksandr zmarł – jego serce nie wytrzymało. W rosyjskiej niewoli przebywał dwa lata i dziesięć miesięcy.

Piotr Andrusieczko jest korespondentem „Gazety Wyborczej" w Ukrainie. Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl



Ukraińską ziemię pocięły tysiące pocisków. Pola noszą ślady gąsienic czołgów.

Piotr Andrusieczko



Drogi stały się cmentarzyskami dla pojazdów wojskowych.



Piotr Andrusieczko



Zabitych liczy się w tysiącach, ale rzadko się pamięta, że za cyframi kryją się konkretni ludzie.



© Piotr Andrusieczko

Wołodymyr Koczetkow-Sukacz ps. Chewbacca. Pseudonim miał trafny. Gęsta broda, nieco dłuższe włosy. Przypominał postać z *Gwiezdnych wojen*. Budził zaufanie, co pozwalało mu zgromadzić wokół siebie oddanych mu ludzi. W obronę Ukrainy zaangażowany był od rewolucji godności. Zginął na polu walki.



Piotr Andrusieczko

eprasa.pl

Trzydziestojednoletni Erwin Ibragimow był aktywistą krymskotatarskim, członkiem Medżlisu. Nagle ślad po nim zaginął. Jego koledzy (a nawet obcy ludzie) szukali go na własną rękę. Sprawdzali każdy sygnał płynący z różnych miejsc na półwyspie. Niestety, wszystko wskazuje na to, że Erwin nie żyje.



Piotr Andrusieczko

fbb6fb8ff4



Piotr Andrusieczko

Organizacje takie jak ta (Chałabuda) są na celowniku Rosjan. Biura wywraca się do góry nogami podczas przeszukań, pracowników wtrąca do więzień, a nawet zabija.

eprasa.pl

Nic, co można uśrednić

Z Pawłem Kowalem, pełnomocnikiem rządu ds. odbudowy Ukrainy, rozmawia Sonia Knapczyk-Tomalka

SONIA KNAPCZYK-TOMALKA: Jak dokładnie wygląda procedura ekshumacyjna? Ile czasu zajmują poszczególne etapy i kto ma na nie wpływ?

PAWEŁ KOWAL: Procedura ekshumacyjna rozpoczyna się od wniosku o poszukiwania bądź poszukiwania i ekshumację. Procedury – zarówno w Ukrainie, jak i w Polsce – są do siebie podobne, różnice dotyczą szczegółów. Na przykład po stronie ukraińskiej wyraźnie rozdzielono kwestię poszukiwań od kwestii ekshumacji, natomiast w Polsce obie te procedury ujęte są w ramach jednego pozwolenia. Po stronie polskiej wygląda to tak, że do składania wniosków przygotowane są trzy instytucje: Instytut Pamięci Narodowej, Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie oraz Fundacja Wolność i Demokracja. Te trzy podmioty są obecnie wystarczająco przygotowane do występowania z wnioskami o prowadzenie poszukiwań i ekshumacji. Wniosek powinien opierać się na rzetelnym rozpoznaniu oraz solidnej dokumentacji historycznej – mapach, relacjach i wspomnieniach, najlepiej pochodzących z kilku niezależnych źródeł, które pozwalają zawęzić miejsce potencjalnego złożenia zwłok. Na tej podstawie występuje się do strony ukraińskiej o zgodę na prace poszukiwawcze. Zgoda ta ma dwa etapy: regionalny i krajowy. Co istotne, podmiotem występującym o zgodę jest organizacja ukraińska – konkretnie posiadająca uprawnienia do prowadzenia działań archeologicznych na terenie Ukrainy, występująca w imieniu polskiej instytucji prowadzącej potencjalne prace. Po stronie ukraińskiej są trzy podmioty uprawnione do działań na obszarach interesujących nas z punktu widzenia poszukiwań. Następnie udzielana jest zgoda na prace poszukiwawcze, które polegają na odnalezieniu szczątków, a bezpośrednio po ich odnalezieniu – na ich zabezpieczeniu, tymczasowym przysypaniu i wystąpieniu o zgodę na przeprowadzenie prac ekshumacyjnych. Również na tym etapie działają trzy wyspecjalizowane instytucje po stronie polskiej – a właściwie jest ich nieco więcej, jednak w praktyce to właśnie te trzy podmioty, z największym udziałem IPN, występują o stosowną zgodę. Po jej uzyskaniu przystępują do prac wspólnie z partnerem ukraińskim – podmiotem wykonawczym, odpowiedzialnym za działania archeologiczne. Z naszego punktu widzenia proces dokumentacji wykopalisk podlega bardzo wysokim standardom – zarówno w zakresie samych prac, jak i towarzyszącego im postępowania śledczego. Proces

fbb6fb8ff4

ma bowiem charakter nie tylko humanitarny, ale też prawny, ponieważ działania związane z ekshumacjami objęte są śledztwem wołyńskim. W ramach dokumentacji przeprowadza się szczegółowy opis szczątków, a także pobranie materiału genetycznego. Następnie szczątki są przechowywane i przygotowane do pochówku.

Gdzie odbywają się pochówki odnalezionych szczątków?

Pogrzeb odbywa się zwykle, zgodnie z przyjętym już zwyczajem, w okolicy miejsca odnalezienia szczątków – na właściwym cmentarzu. Przez „właściwy cmentarz" rozumiemy najczęściej cmentarz katolicki, ponieważ w większości przypadków mowa o szczątkach osób wyznania katolickiego. Istotne jest, by miejsce pochówku umożliwiało rodzinom przyjazd, modlitwę i zadumę. Przyjęliśmy koncepcję „prawa do godnej pamięci o bliskich zmarłych", która obejmuje cztery elementy: prawo do poszukiwań, do ekshumacji, do pochówku oraz do modlitwy czy kontemplacji. Przyjęliśmy także założenie, że kwestia ekshumacji – a więc realizacji prawa do godnej pamięci o bliskich zmarłych – nie ma charakteru ani politycznego, ani historycznego, i z tego względu nie wiążemy jej z żadnymi dyskusjami natury historycznej czy politycznej. Wspólnie ze stroną ukraińską uznaliśmy, że ta kwestia ma charakter wyłącznie humanitarny, dlatego odcinamy ją od polityki i sporów historycznych, w tym od tematu upamiętnień, rozumianych jako tablice pamiątkowe czy pomniki niezwiązane z samym miejscem pochówku. Oddzielenie spraw pochówków od dyskusji historycznej było zresztą kluczowym przełomem w negocjacjach. Powiązanie prawa do pamięci z polityką niepotrzebnie wikłałoby czysto ludzki wymiar tej sprawy w bieżący spór. Działaliśmy na podstawie ukraińskiego prawa regulującego poszukiwania i ekshumacje. Przepisy te są jasne – Ukraina wydaje na ich podstawie zgody także innym państwom, na przykład Niemcom czy Amerykanom, a po stronie polskiej obowiązują analogiczne procedury.

Jak przedstawia się skład zespołu poszukiwawczo-ekshumacyjnego? Ilu specjalistów – i z jakich dziedzin – deleguje strona polska, a ilu strona ukraińska? Kto ponadto jest obecny podczas prac ekshumacyjnych?

Zespół prowadzący prace poszukiwawcze lub ekshumacyjne w terenie ma zawsze jednego kierownika, pełniącego funkcję swoistego „kapitana" zespołu. W skład zespołu wchodzi kilku specjalistów z różnych dziedzin – doświadczeni archeolodzy, patomorfolodzy oraz osoby przygotowane do prowadzenia prac wykopaliskowych, w dużej mierze wykonywanych ręcznie. W pracach prowadzonych na wniosek strony polskiej zawsze uczestniczy Instytut Pamięci Narodowej – bądź jako główny wykonawca, bądź jako uczestnik ekspedycji. W wyniku prowadzonych przeze mnie negocjacji, także wewnętrznych, przyjęliśmy założenie, że

eprasa.pl

IPN jest obecny przy tych pracach zawsze, tak aby po stronie ukraińskiej utrwalił się zwyczaj, że w kwestiach ekshumacji po stronie polskiej nie dochodzi do wewnętrznych sporów kompetencyjnych. Ma to również znaczenie praktyczne. W strukturze IPN działa bowiem Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, która równolegle prowadzi dokumentację na potrzeby śledztwa wołyńskiego – dużego, otwartego postępowania prowadzonego od dłuższego czasu. Dzięki takiemu ułożeniu współpracy zbieramy również materiał genetyczny, który może później posłużyć do identyfikacji ofiar.

Wspomniał Pan o próbkach DNA – w ilu przypadkach udaje się odnaleźć rodziny ofiar?

Szacuję, że tylko około 10 procent przypadków jesteśmy w stanie stosunkowo szybko zidentyfikować. Warto jednak wyjaśnić pewną podstawową kwestię: proces ten w dużej mierze polega na sukcesywnym uzupełnianiu bazy danych, dlatego może się okazać, że w przyszłości odsetek ten będzie wyższy. W przypadkach, gdy uda się skojarzyć szczątki z konkretną rodziną, możliwe jest przekazanie jej szczegółowej analizy identyfikacyjnej. Zależy to od zgromadzonych danych oraz zakresu współpracy z bankiem danych genetycznych, który zestawia informacje w skali globalnej. Naszym celem jest zbieranie tych danych w taki sposób, by zidentyfikować na podstawie danych genetycznych jak najwięcej ofiar, ale to w istocie zadanie na długie lata. W oczywisty sposób ekshumacja nie jest narzędziem służącym do ustalenia liczby ofiar, ale prowadzi do pochówku. Podobnie ekshumacja nie stanowi prostego sposobu na ustalanie ich tożsamości – imion i nazwisk – ponieważ zależy to od skali dostępnych danych genetycznych. W każdym razie wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom społecznym, ludzkiej potrzebie, którą można by nazwać – w pewnym uproszczeniu – „syndromem Antygony". Rodziny mogą pochować bliskich. Robimy to jednak w takim zakresie, na jaki pozwalają dzisiejsze możliwości techniczne oraz warunki pracy w terenie.

Był Pan obecny przy odnalezieniu szczątków, wśród których znajdowały się także szczątki dzieci, a obok nich – kilkaset osobistych przedmiotów ofiar. Jakie myśli towarzyszyły Panu podczas tych prac?

Widziałem szczątki w Hucie Pieniackiej rok temu i później we Lwowie. Muszę podkreślić, że poszukujemy szczątków osób z różnych okresów historycznych, począwszy od legionistów z I wojny światowej, poprzez ofiary nacjonalistów ukraińskich, aż po szczątki ofiar NKWD oraz ofiar niemieckich z wojny obronnej 1939 roku.

Sądzę, że to bardzo ważna sprawa, która dotąd nie doczekała się właściwej reprezentacji w mediach.

Poszukujemy szczątków z różnych okresów historycznych, a wnioski, które

fbb6fb8ff4

składamy – obecnie kilkadziesiąt – są na różnym etapie realizacji. Już podczas pracy w Hucie Pieniackiej, gdzie sam uczyłem się tego procesu, by móc sprawnie go koordynować, towarzyszyła mi myśl, że ziemia długo przechowuje ślady zbrodni. Nawet jeśli jakiś fragment naszej historii jest trudny, współczesny człowiek – niezależnie od liczby ofiar – musi zgodzić się z tym, że masowe zabójstwa cywilów dokonywane ze względu na narodowość stanowią zbrodnię, której nie da się „zagłaskać". Przez lata sądziłem, że minie sto lat i sprawa nie będzie tak dramatycznie obciążać współczesnych relacji. Potem zmieniłem zdanie. Patrząc na porozbijane czaszki, myślałem, że w historii bywają momenty, w których nie ma innej drogi – musi nastąpić swego rodzaju „czyściec". Ta myśl wróciła do mnie ze wzmożoną siłą, gdy stanąłem na terenie już zakończonych prac w Ostrówkach. Pomyślałem wówczas, że dobrze się stało, iż dyskusja historyczna tak mocno rozgorzała – być może była ona potrzebna, choćby po to, by uświadomić skalę zbrodni osobom po stronie ukraińskiej, które wcześniej nie w pełni zdawały sobie z niej sprawę. W istocie nie ma znaczenia, ile dokładnie było ofiar zbrodni wołyńskiej – to historycy prędzej czy później, na ile to możliwe, precyzyjnie ustalą. Dziś operujemy szacunkami. Wystarczyłaby sama zbrodnia w Hucie Pieniackiej czy w Ostrówkach, by w pełni ją potępić – w XXI wieku nie sposób pozostać obojętnym wobec zbrodni na kilkuset cywilach, dokonanej pod pretekstem zgromadzenia czy wiecu.

Jeśli chodzi o znaczenie liczby ofiar, zapewne nie wszyscy podzielają Pana zdanie.

Oczywiście, że zbrodnia wymaga prawdy, wyjaśnienia, a zatem także ustalenia dokładnych danych. Współczesne standardy są takie, że nawet żołnierz walczący w słusznej sprawie, jeśli dopuści się czynu określanego prawem jako zbrodnia wojenna, podlega osądowi. W kontekście zbrodni wołyńskiej mamy do czynienia ze świadomie zaplanowaną i przeprowadzoną zbrodnią na wielką skalę. Kiedy zbliżamy się do konkretnej wsi, konkretnego miejsca, konkretnych ludzi, nagle odkrywamy, że sprawa nabiera innego wymiaru – przestaje być polityką, a staje się testem naszego stosunku do demokracji i praw człowieka. Po stronie ukraińskiej, także wśród moich przyjaciół, niejednokrotnie słyszałem pytanie: „po co wy to robicie, zostawcie to historykom". Po stronie polskiej z kolei spotykam się z krytyką wśród części środowisk liberalnych – niedawno, podczas spotkania we Wrocławiu, zaatakowała mnie za to jedna z pań profesor. Zastanawiałem się wówczas, jak człowiek o przekonaniach liberalnych i demokratycznych w XXI wieku może twierdzić, że ta sprawa jest nieważna albo mało istotna? Jak się możemy jako demokraci zabezpieczyć przed zbrodniami na tle narodowościowym czy religijnym w przyszłości, jeśli będziemy przemilczać podobne zbrodnie z przeszłości? Cały problem polega na tym, że aby znaleźć właściwą miarę dla tych wydarzeń, musimy widzieć je jako sprawę polsko-

eprasa.pl



Archiwum prywatne

Przyszłość wymaga determinacji, by usunąć przeszkody w relacjach polsko-ukraińskich. Wbrew propagandzie Rosji, wbrew ludziom złej woli. Wstaję i myślę: po to opatrzność daje teraz te narzędzia, żeby z nich skorzystać i nie zmarnować historycznej szansy na pojednanie.

-ukraińską. Nie możemy więc zamazywać podstawowego faktu, że organizacje nacjonalistyczne dążyły do wymordowania Polaków z powodów politycznych. Jednocześnie sprawa ta ma wymiar uniwersalny: przedstawiciele jednego narodu zaplanowali wygnanie, a w razie jakiegokolwiek oporu – wymordowanie drugiego narodu i w dużej mierze plan wykonały. To wymiar, który wykracza poza kontekst czysto polsko-ukraiński. W XXI wieku, zwłaszcza po rozpadzie Związku Sowieckiego, byliśmy świadkami przynajmniej kilku podobnych przypadków na świecie. Nie znajdziemy właściwego języka do opisania tego, co wydarzyło się w Ukrainie, na wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej, jeśli nie spojrzymy na tę sprawę uniwersalnie.

Czy podczas prac terenowych w Ukrainie spotkał się Pan z jakimikolwiek reakcjami miejscowej ludności?

Spotykałem się wyłącznie z pozytywnymi reakcjami – nie doświadczyłem ani nie słyszałem o żadnej nieżyczliwości. W miejscach takich jak Ostrówki, gdzie prowadzono już częściowe ekshumacje, lokalna społeczność często sama dba o te groby. To poruszający wątek dla badaczy czy reportażystów: część tych ludzi to prawdopodobnie potomkowie sprawców. Nieraz zastanawiałem się, jak oni

fbb6fb8ff4

sami to przeżywają, ale na miejscu widziałem wyłącznie szlachetne postawy. Gdy w poprzednich latach przyjeżdżałem 11 lipca składać kwiaty, miejscowi przedstawiciele władz zawsze wychodzili mi na spotkanie, towarzysząc przy zniczach i wieńcach. Pamiętam ich żal kiedyś, że nie przyjechał żaden minister z Kijowa. Pomyślałem wtedy, że dla lokalnego sołtysa to wyzwanie znacznie trudniejsze niż dla polityka z Kijowa – reprezentuje przecież ludzi, których sąsiedzi, bliscy mogli uczestniczyć w zbrodni. Tym większy szacunek budziła jego obecność przy grobach.

Jak do tego podchodzą ukraińskie władze i politycy?

Postawę ukraińskiego rządu, otoczenia prezydenta Zełenskiego oraz lokalnych przedstawicieli wobec kwestii ekshumacji oceniam w ostatnich dwóch latach jako rzetelną. Początki negocjacji były jednak trudne – po stronie ukraińskiej widoczny był wtedy pewien „symetryzm dyplomatyczny": przekonanie, że jeśli odnajdziemy ciało w jednym miejscu, analogiczne prace muszą odbyć się po drugiej stronie granicy. Dzisiaj już nie ma takiego podejścia. Powtarzałem, że w końcu nadejdzie moment, gdy ekshumacje będą mogły toczyć się bez przeszkód. To fundamentalna część naszej tożsamości – człowiek nie zazna spokoju, dopóki nie pochowa swoich bliskich. W rozmowach musiałem też czasem sięgać po argument, że w Ukrainie równolegle ekshumuje się żołnierzy Wehrmachtu. Po 2022 roku było kilka tysięcy takich ekshumacji. Wiedziałem. Potwierdzały to również odpowiednie badania, jak wrażliwym tematem w Polsce są ekshumacje oraz jak chętnie wykorzystuje go rosyjska propaganda. Gdy pytano mnie z pretensją, po co zajmować się tym w czasie wojny, odpowiadałem: właśnie po to, by dać większą legitymizację naszemu wsparciu dla współczesnej Ukrainy. Sam przeszedłem daleką drogę emocjonalną i intelektualną w odniesieniu do tego tematu. Jako historyk znałem teorię, ale dopiero spotkania z konkretnymi rodzinami uświadomiły mi sedno tej sprawy: ludzie po prostu pragną godnie pożegnać bliskich i mają do tego prawo nawet po wielu dekadach. To nie rodziny instrumentalizują ten temat – robią to politycy i aktywiści.

Według jakich kryteriów wybierane są kolejne lokalizacje poszukiwań? Czy kluczowa jest tu dokumentacja historyczna?

Tak, dokumentacja historyczna musi być zgromadzona przez odpowiednie instytucje – to warunek podstawowy. Widzę już jednak, że w praktyce ważnym impulsem do podjęcia poszukiwań i ekshumacji bywa też zainteresowanie konkretnego środowiska. To zwykle pierwszy, istotny czynnik sprawczy. Chodzi o sytuacje, w których istnieje środowisko osób pochodzących z danej, konkretnej miejscowości – dziś żyją one często w Polsce, niekiedy w jednym województwie, znają się nawzajem. Nie zawsze tak jest, ale tam, gdzie taka więź istnieje, stanowi ona waż-

eprasa.pl

ny motor działania, można powiedzieć: motywację o charakterze emocjonalno-rodzinnym. Obok niej istnieje jednak motywacja wynikająca z tego, o których zbrodniach lub ich okolicznościach dysponujemy dobrą dokumentacją. Ekspedycje poszukiwawcze wiążą się bowiem z realnymi kosztami – zarówno finansowymi, jak i czasowymi, angażują też siły konkretnych osób. Ponieważ w Ukrainie trwa wojna, nie jest to sytuacja, w której wszyscy chętnie i od razu decydują się na wyjazd. Wielu ekspertów, choćby ze względów rodzinnych, rezygnuje z udziału – zdarza się, że współmałżonek nie chce puścić danej osoby w takie miejsce. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę realia, w jakich te prace się odbywają. Cały ten proces wymaga też znacznych nakładów ze strony ukraińskiej w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa – i trzeba przyznać, że strona ukraińska robi to bardzo dobrze, dbając o to, by ekspedycje były chronione zarówno przed ewentualnymi prowokacjami, jak i przed zagrożeniem ze strony dronów czy bezpośrednich działań wojennych, co biorąc pod uwagę rosyjskie metody działania, nie jest niebezpieczeństwem czysto teoretycznym. Całość jest skomplikowana i wymaga dużych nakładów, dlatego kluczowym kryterium pozostaje solidna dokumentacja dotycząca konkretnego miejsca oraz realna szansa na to, że prace poszukiwawcze zakończą się powodzeniem.

Jak współcześnie wyglądają te miejsca? Czy są to obszary oddalone od ludzkich siedzib, czy raczej pola uprawne, lasy, zarośla? Czy mógłby Pan opisać ten teren nieco bardziej szczegółowo?

Różnie. Nauczyłem się, że na terenach, gdzie odnajdujemy ludzkie szczątki, często rośnie specyficzna roślinność – archeolodzy rozpoznają takie miejsca na przykład po obecności akacji. Często są to pobocza istniejących wsi lub tereny po wsiach już nieistniejących – tam, gdzie na polu widoczne są jedynie ostatnie ślady dawnej zabudowy, a dziś jest to zwykły grunt uprawny, na którym nikt już nie mieszka. Zdarzają się też okolice cmentarzy oraz miejsca zalesione. To mniej więcej ten typ terenu, z jakim spotykają się ekspedycje poszukiwawcze.

Po ostatnim kryzysie w relacjach polsko-ukraińskich, do którego doszło po nadaniu jednostce wojskowej imienia bohaterów UPA, prezydent Zełenski zapowiedział otwarcie archiwów służby bezpieczeństwa i wywiadu. Co znajdziemy w tych dokumentach i czy są już odtajnione? Polscy historycy i politycy mówią, że te materiały znają od dawna – więc co nowego właściwie miałoby zostać udostępnione?

Nie wszystkie. Historycy mają rację, że znaczna część tych archiwów została otwarta w okresie, gdy kierował nimi Andrzej Kohut, przychylny udostępnianiu zasobów. Problemy dotyczą dwóch kwestii. Po pierwsze, w zasobach ukraińskiego wywiadu mogą wciąż znajdować się do-

fbb6fb8ff4

datkowe dokumenty przejęte po wywiadzie sowieckim, które nigdy nie zostały upublicznione. Mogą to być na przykład materiały dotyczące relacji politycznych czy powojennych kontekstów emigracji polskiej i ukraińskiej – wiadomo, że emigracja środowisk melnykowskiego i banderowskiego była poddana bardzo intensywnej inwigilacji. Przy tej okazji mogą znaleźć się tam istotne dokumenty dotyczące zbrodni. Po drugie, istnieje problem udostępniania dokumentów już odtajnionych lub nawet takich, które nigdy nie były tajne – wynika on z trwającej wojny i nie jest to sprawa prosta. Zgodnie z ukraińską ustawą o IPN – wzorowaną częściowo na rozwiązaniach polskich – dokumentacja różnych służb powinna trafić do archiwum ukraińskiego IPN, podobnie jak ma to miejsce w Polsce. W praktyce w większości przypadków tak się nie stało, i to nie z powodów politycznych, lecz czysto technicznych, logistycznych, a także z uwagi na wojnę. Dokumenty, które zostały już skatalogowane, właśnie dlatego nie są udostępniane w pełnym zakresie, co – do pewnego stopnia – pozostaje zrozumiałe. Jako historyk nie sądzę jednak, by znajdowały się tam materiały zmieniające nasz ogląd całości tej zbrodni. Wystarczy sięgnąć do rozkazu Romana Szuchewycza dotyczącego przeprowadzenia czystki etnicznej na terenie Galicji, by zrozumieć charakter zbrodni wołyńskiej – że miała ona wyraźne znamiona ludobójstwa. Wystarczy też zastanowić się nad faktem, że w „krwawą niedzielę" 1943 roku UPA i inne organizacje nacjonalistyczne dokonały mordów niemal jednocześnie w około stu miejscowościach. To nie mogło być dziełem przypadku – ktoś musiał to zaplanować. Nie sądzę więc, byśmy w tych archiwach odkryli coś zasadniczo nowego co do istoty sprawy. Pewne trudności wiążą się z samym pojęciem ludobójstwa – być może na język polski powinno być ono tłumaczone raczej jako „genocyd", co byłoby bardziej precyzyjne. Po polskiej stronie niektórzy odbierają słowo „ludobójstwo" jako kategorię niejako „wyższą" od zbrodni wojennych, co nie do końca jest trafne – to po prostu odrębny termin prawny. W każdym razie znane nam dokumenty rzeczywiście potwierdzają intencję ludobójczą, realizowaną przy użyciu skrajnie brutalnych metod, które stanowiły zbrodnie wojenne.

Wśród historyków zajmujących się tym tematem pojawia się obawa, że strona ukraińska może dążyć do zmiany narracji: do złagodzenia obrazu wydarzeń w oczach świata przez tworzenie przekonania, że w ukraińskich archiwach może kryć się coś nowego, dotąd nieujawnionego.

Może się zdarzyć, że ktoś sądzi, iż w archiwach znajdzie się jeszcze coś, co zmieniłoby obraz sprawy. Jest jednak jedna kwestia, przed którą przestrzegam – przed relatywizowaniem zbrodni poprzez kontekst historyczny. Nie można relatywizować tak daleko posuniętej zbrodni wojennej, odwołując się do opowieści o „niewłaściwej polityce II Rzeczy-

eprasa.pl

pospolitej" – taki zabieg dyskwalifikuje osobę, która się go dopuszcza. Trzeba tu rozróżnić dwie sprawy. Jedną jest ocena polityki mniejszościowej państwa polskiego w tym okresie – historycy z pewnością będą mieć różne poglądy na jej temat, sam jestem krytyczny. Drugą jest jednak wszelka intencja pomniejszania zbrodni poprzez taki kontekst – a to jest niegodne człowieka o demokratycznych przekonaniach w XXI wieku. Kto ma poważne, demokratyczne przekonania, ten ma obowiązek potępienia zbrodni wojennych – przede wszystkim ludobójstwa, ale nie wyłącznie jego. Sądzę, że w tej zasadniczej kwestii nic się nie zmieni. Uważam, że Ukraińcom jako wspólnocie narodowej potrzeba czasu, by samodzielnie zmierzyć się z tym tematem. Wierzę, że w końcu jakiś ukraiński historyk czy pisarz napisze książkę o Ostrówkach, że powstanie też historia Huty Pieniackiej autorstwa Ukraińca. Wtedy rozpocznie się wewnętrzna dyskusja – nie da się bowiem narzucić komuś z zewnątrz interpretacji historii ani polityki historycznej. Trudne tematy z historii o różnej skali zawsze potrzebują czasu. Przypomina mi się, jak długo u nas „przyjmowały się" książki Jana Tomasza Grossa o Jedwabnem. Niektórzy pytają: „dlaczego tego nie zmienicie, skoro to rosyjska propaganda – niech więc zmienią nazwę ulicy". Zmianie – szczerej i prawdziwej zmianie polityki historycznej jednego państwa – nie służy zbyt mocny nacisk z zewnątrz. Widać to przy kwestiach nazewnictwa ulic. Postulat zmiany nazwy ulicy w innym kraju z pewnością nie jest drogą do skutecznego rozwiązania problemu – do tego muszą dojrzeć sami mieszkańcy domów przy tych ulicach, samorządy itd. Ze zdumieniem w tym kontekście oglądałem obrazki z niedawnego uroczystego pogrzebu Ratka Mladicia w Belgradzie.

Realistyczne jest natomiast to, że zaczynamy rozmawiać o tej zbrodni także na gruncie uniwersalnym: ani różnice narodowościowe, ani fakt, że wszyscy wywodzili się z II Rzeczypospolitej, niczego nie usprawiedliwiają. Nic z tych okoliczności nie usprawiedliwia zbrodni. Dopiero gdy stać nas na to, by tę zasadę odnieść do każdej formacji zbrojnej na świecie, bez wyjątków – zaczyna się poważna rozmowa, na miarę naszych aspiracji bycia nowoczesnymi państwami XXI wieku. Każda próba usprawiedliwiania zbrodni kontekstem historycznym, podobnie jak liczenie na dokument, który zmieniłby naszą ocenę, to bezdroża. Nie wiem, co miałoby zmienić nasze myślenie o ludziach pochowanych w dole w Ostrówkach – zawsze będziemy myśleć o tym tak samo. Nawet gdyby odnaleziono dokument świadczący, że jakiś polski urzędnik w Ostrówkach czy sąsiedniej wsi źle traktował mniejszość ukraińską przed wojną – niczego by to nie zmieniło. Przynajmniej dla kogoś, kto zachowuje otwarty umysł i, jak wspomniałem, prezentuje przekonania demokratyczne i humanitarne.

Czy widzi Pan szansę na wspólne stanowisko Polski i Ukrainy w spra-

fbb6fb8ff4

wie zbrodni wołyńskiej w najbliższych latach?

Nie, nie widzę na razie takiej szansy, ponieważ uważam, że to nie zadanie państw, by ustalać historię. Możemy jako państwa stwarzać ku temu warunki – tak jak zrobiliśmy to choćby przy okazji kongresu historyków w Baranowie Sandomierskim – możemy zapewniać środki na projekty badawcze, ale samymi badaniami powinni zajmować się historycy. Mówię to jako historyk z zawodu: jestem przeciwny temu, by urzędy organizowały pracę badaczy. Uważam to za niepoważne, a zarazem niegodne demokratycznego, liberalnego państwa XXI wieku. Historycy mogą się różnić w ocenach, a niekiedy rejestr rozbieżności jest wartościowszy niż wspólne stanowisko wypracowane na siłę. Po pierwsze, nie widzę obecnie takiej szansy, po drugie – nie widzę też takiej konieczności. Widzę natomiast potrzebę wspólnej pracy: wspólnych projektów badawczych i wzajemnego wspierania się w interpretacjach. Taką potrzebę i taką możliwość zdecydowanie dostrzegam. Nie sądzę jednak, byśmy powinni dążyć do wypracowania jednego, wspólnego stanowiska, bo w tej sprawie nie ma nic, co dałoby się uśrednić.

Procesowi ekshumacyjnemu towarzyszą wielkie emocje – ze strony rodzin ofiar, związane ze sporem politycznym między sąsiadującymi krajami, z działaniami wojennymi w tle. Pod Pana adresem padają oskarżenia o cenzurę medialną. Jak Pan sobie z tym radzi? Co Pana motywuje do tych działań?

Przekonanie, że wspólna polsko-ukraińska przyszłość wymaga determinacji, by usunąć te przeszkody w naszych relacjach, które ją realnie blokują. Wbrew propagandzie Rosji, wbrew ludziom złej woli. Wstaję i myślę: po to opatrzność daje teraz te narzędzia, żeby z nich skorzystać i nie zmarnować historycznej szansy na pojednanie.

Paweł Kowal z wykształcenia jest historykiem i politologiem. Poseł na Sejm RP, przewodniczący Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych oraz pełnomocnik rządu ds. odbudowy Ukrainy.

eprasa.pl

Fin z wami!

Arto Paasilinna

Prezentujemy fragment powieści *Fin z wami* Arta Paasilinny, która w przekładzie Sebastiana Musielaka ukaże się w październiku 2026 roku nakładem wydawnictwa Książkowe Klimaty.

Archanioł Gabriel i Święty Piotr spotkali się w bibliotece starego bułgarskiego klasztoru żeńskiego i odbyli gorączkową naradę kryzysową. W agendzie mieli tylko jedną sprawę, bo i nie było niczego ważniejszego i pilniejszego od znalezienia jakiegoś zmiennika dla Wszechmogącego.

Na samym początku Gabriel stwierdził, że już dawno spostrzegł, iż Pan Bóg jest zmęczony. Zaprawdę, Stwórcy potrzeba długiego urlopu wypoczynkowego i będą mogli mówić o szczęściu, jeśli ten jeden rok Mu wystarczy. Zdaniem archanioła Najwyższy ostatnimi czasy sposępniał, co uwidaczniało się już choćby w Jego upodobaniu do spędzania czasu w tej zapomnianej przez Boga i ludzi, zagrzybionej ruinie.

Święty Piotr zauważył, że Pan Bóg bynajmniej o tej ruinie nie zapomniał, bo właśnie w niej przebywa, choć prawda, że tylko by przesiadywał w tym swoim fotelu na wieży i gapił się apatycznie na góry. No i rzeczywiście są tutaj daleko od centrum wydarzeń.

– Użyłem być może niewłaściwego sformułowania, lecz nie da się o tej okolicy powiedzieć nic dobrego. Te zawilgocone ściany mnie też kiedyś w końcu wpędzą w depresję – odrzekł Gabriel.

– Zaiste, Naszemu Panu potrzeba urlopu – przyznał mu rację Piotr.

Sam zauważył, że Stwórca stał się roztargniony i robota ostatnio w ogóle Mu nie idzie. Na przykład kilka tygodni temu, kiedy trzeba już było na gwałt dopinać ptakom wędrownym loty z półkuli północnej do ciepłych krajów, Pan porządnie zamieszał w starych systemach.

– Wyobrażasz to sobie? Tylko w jeden dzień ni stąd, ni zowąd posłał jakieś sześć tysięcy flamingów do syberyjskiej tundry zamiast do Doliny Nilu, nawet nie zdążyłem mrugnąć! No i oczywiście wyruszyły w drogę, wielkie stada flamingów najpierw dotarły do Turcji, potem okrążyły od wschodu Morze Kaspijskie, wzięły kurs na Ural i dalej na Syberię. Musiała to być dla tych biednych stworzeń straszliwa przeprawa, i teraz, rzecz jasna, będą musiały tam zostać i marznąć.

fbb6fb8ff4

Archanioł Gabriel przeraził się nie na żarty. Jak można było tak okropnie sfuszerować sprawę? Czy ta wtopa przebiła się do powszechnej świadomości? Czy da się to wszystko jeszcze odkręcić?

Piotr wyjaśnił, że flamingi leciały głównie nad obszarami niezamieszkałymi, a na stepach Azji, nie mówiąc już o syberyjskiej tundrze, ornitologów na szczęście się nie widuje. Kilka nieszczęśników jednak pobłądziło po drodze i zboczyło do Finlandii. Czyli tam, gdzie jeszcze nikt nigdy nie widział czegoś takiego na wolności. Miłośnicy ptaków wypatrzyli jednego z zesłanych na Sybir flamingów na wyspie Hailuoto niedaleko Oulu i prasa zaraz zrobiła z tego wielką sensację. Finowie nie mogli wyjść ze zdumienia. Opublikowano nawet zdjęcia biednego ptaka.

– No i miałem zagwozdkę, jak teraz stamtąd wyciągnąć tę zbłąkaną sztukę. Postanowiłem skorzystać z pomocy pewnego ohara, ostatecznie to też z natury ptak wędrowny. Załatwiłem sprawę w ten sposób, że ohar zaprzyjaźnił się z flamingiem i z wyspy odleciały już razem. Gdy ohar z czasem wyruszy z powrotem na południe, jest nadzieja, że flaming się połapie i zabierze z nim, no i przestanie w końcu mącić Finom w głowach. Oczywiście to drobiazg w porównaniu z wielkimi problemami tego świata, no bo cóż przy nich znaczy sześć tysięcy flamingów, niemniej sprawa jest symptomatyczna – powiedział apostoł Piotr i westchnął.

– Dopiero się narobi, gdy Szatan się zorientuje i ogłosi, że Boży świat całkiem stanął na głowie – dodał z zatroskaną miną archanioł Gabriel.

– Tę kwestię zastępstwa musimy tymczasem utrzymywać w największej tajemnicy. Umówmy się może, że nie będziemy sprawy ogłaszać, dopóki zmiennik Pana nie przejmie sterów – zaproponował Święty Piotr.

– Nie wolno tego rozgłaszać już choćby z punktu widzenia naszej kosmicznej reputacji. Pomyśl tylko, co by było, gdyby o wszystkim dowiedział się taki Allah. Temu i bez tego ostatnio nieźle odbija – stwierdził Gabriel.

– Fakt, Allah jest specyficzny, ale nie warto się nim za bardzo przejmować – rzekł uspokajająco Piotr.

– Może i nie, ale jak na Boga jest jednak trochę za krewki. – Gabriel pokręcił głową. – No i ma szerokie poparcie ludów pustyni.

Niebiescy kanclerze przystąpili do omawiania praktycznej strony problemu. W pierwszej kolejności sporządzili wstępny opis obowiązków przyszłego zastępcy Pana Boga. Poszło im to łatwo, jako że obaj wiedzieli z doświadczenia, czym zajmuje się Stwórca, a czym z kolei oni ze swoimi anielskimi zastępami.

Apostoł i archanioł uznali, że właściwa osoba na stanowisko pełniącego obowiązki Pana najszybciej się znajdzie przez kanał modlitewny. Ludzie, jak wiadomo, modlą się żarliwie: dzień i noc zwracają się do Boga we wszelkich możliwych sprawach. Liczba kierowanych do Nieba modlitw idzie w miliony i zasadniczo wszystkie na-

eprasa.pl

leżałoby rozpatrywać, ale rąk do pracy w Niebie jest wciąż za mało w stosunku do potrzeb. W praktyce więc nikt nie ma siły słuchać tego wiecznego koncertu życzeń, a cóż dopiero mówić o zajęciu stanowiska wobec każdej modlitwy i uruchomieniu procedury wdrożeniowej. Anielskie zastępy najzwyczajniej w świecie nie dają sobie z tym wszystkim rady. Utarło się więc w Niebie, że słucha się jedynie tych najżarliwszych i najbardziej rzeczowych modlitw. Choć stanowią one średnio piętnaście procent ogółu, w grę tak czy owak wchodzą miliony modlitw dziennie. Z tej grupy aniołowie niższego szczebla wybierają według uznania, a czasem też losowo, reprezentatywną próbkę, dwa do trzech procent, i te modlitwy kierują do rozpatrzenia. Tak więc ostatecznie może tylko co tysięczna modlitwa skutkuje podjęciem pożądanych działań. To i tak nieźle, bo na przykład według rozeznania Piotra kancelaria wspomnianego niedawno Allaha rejestruje ledwie jedną na dziesięć tysięcy modlitw, a i w tej grupie pozytywne rozpatrzenia dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. Innymi słowy, selekcję mają tam srogą, no ale wiadomo, islam to religia młoda, niemająca jeszcze doświadczenia w załatwianiu takiej liczby petentów.

Podczas rekrutacji niebiańskiego personelu nie można przecież brać pod uwagę osoby z lękiem wysokości, tym bardziej gdy w grę wchodzi zastępstwo na urzędzie Najwyższego.

– To może zróbmy tak: przysłuchujmy się w tym tygodniu uważnie napływającym do nas modlitwom, wybierzmy autorów tych najinteligentniejszych i najbardziej żarliwych, po czym każmy aniołom wybrać z tej grupy najlepsze kandydatury do dalszej selekcji. Myślisz, że dziesięć tysięcy wiernych nam wystarczy i że damy radę wybrać spośród nich zastępcę Pana Boga?

– Zaprawdę powiadam ci, Święty Piotrze, że urobimy sobie z tym ręce po same łokcie – przepowiedział archanioł Gabriel.

– Co poradzisz. Nasz Pan jest w takim stanie, że trzeba Mu znaleźć zmiennika na już.

Tak więc Święty Piotr i archanioł Gabriel przystąpili do rozkręcania młynów Pana Boga. Wezwali kilku dyrektorów wyższego szczebla i rozdzielili zadania: zacząć uważny nasłuch i wydać anielskim zastępom szczegółowe instrukcje odnośnie do skrupulatnego monitoringu modlitw. Przez najbliższe siedem dni aniołowie mieli oceniać modlących się wiernych pod kątem ich inteligencji, doświadczenia, wykształcenia, prawości, pobożności, zuchwałości, polotu, sumienności i tak dalej. Wszystko po to, aby ni mniej, ni więcej, tylko wyłonić najlepszego chrześcijanina na całym świecie. Zastępy mają przyłożyć się do roboty, ciąży teraz na nich ogromna odpowiedzialność.

fbb6fb8ff4

Oczywiście na tym etapie nie wolno było informować nikogo, czemu ta selekcja ma ostatecznie służyć. Istniały obawy, że któryś z aniołów z głupoty czy naiwności się wygada i do opinii publicznej wycieknie tajemnica, że w Niebie trwają w najlepsze poszukiwania nowego Boga dla chrześcijan. Pośród aniołów, a nawet świętych zdarzają się rozmaite ptaki niebieskie, pobożność nie zawsze idzie w parze z rozumnością. Piotr i Gabriel widzieli to w praktyce już tysiące razy. Czasem zresztą archanioł rzucał z przekąsem, że czym anioł świętszy, tym zazwyczaj głupszy.

Tak oto w ów wrześniowy tydzień w Niebie nareszcie pilnie wsłuchiwano się w modlitwy chrześcijańskiego świata, wciągano je do rejestrów i na bieżąco uzupełniano wszystkie statystyki. Po siedmiu dniach zarejestrowano ponad siedemset milionów modlitw, z czego większość stanowiły oczywiście zwykłe dyrdymały, niedające żadnych podstaw do uruchomienia procedur wdrożeniowych. Ludzie modlili się do Pana Boga o usunięcie nagniotków, odrośnięcie włosów na łysinie, obicie mordy gnojkowi od sąsiadów, uzupełnienie garderoby, umycie okien… i o wiele innych podobnych głupot. Aż nie do wiary, ilu było proszących o pieniądze, a ilu oczekujących, że Pan Bóg zainterweniuje w ich sprawach sercowych. Zdarzali się również delikwenci rozgoryczeni i żądni krwi: Wszechmogącego błagano, by starł z powierzchni Ziemi całe rody, plemiona, ludy i społeczności międzynarodowe. Lwia część wiernych wykazywała się interesownością i egoizmem. Po wielu innych było widać, że to zwyczajni niewierni Tomasze, że tak naprawdę wcale nie wierzą w istnienie Boga. A już w ogóle najwięcej w tym wszystkim uwierała rutyna, zwłaszcza w modlitwach wieczornych i tych klepanych przez pastorów z poczucia obowiązku. Wszystkie je oczywiście odrzucano bez komentarza.

Przez najbliższe siedem dni aniołowie mieli oceniać modlących się wiernych pod kątem ich inteligencji, doświadczenia, wykształcenia, prawości, pobożności, zuchwałości, polotu, sumienności i tak dalej. Wszystko po to, aby ni mniej, ni więcej, tylko wyłonić najlepszego chrześcijanina na całym świecie.

Ale zarejestrowano również wiele szczerych i żarliwych próśb w obliczu naprawdę wielkiej trwogi i beznadziei. Ludzie modlili się także za najbliższych, pobożni wierni wznosili oczy ku niebu z myślą o rodzinie, domu, ojczyźnie, a nawet o całej ludzkości. To właśnie z tej grupy aniołowie wybrali wstępny surowiec do dalszej, dokładniejszej obróbki – w sumie nieco ponad milion wiernych.

Po tygodniu Święty Piotr i archanioł Gabriel podali swoim analitykom dokładniejsze kryteria wyboru. Idealny kandydat miał spełniać wyśrubowane wymagania, do procesu selekcji zaadaptowano fiński wzorzec rozmów rekrutacyjnych dla kandy-

eprasa.pl

datów na stanowiska w administracji. Jednym z warunków było posiadanie kwalifikacji w dziedzinie zarządzania i administracji, innym – nieskazitelna prawość. Do ważnych wymogów zaliczono inteligencję, dalej poczucie humoru, odwagę, lotność umysłu… No, dość powiedzieć, że w procesie selekcji Niebo kierowało się bardzo wieloma kryteriami.

W międzyczasie Piotr i Gabriel zwrócili się do Wszechmogącego z pytaniem, czy życzy sobie na zmiennika mężczyznę czy kobietę. Gdyby bowiem miało się okazać, że kobieta nie nadaje się na stanowisko pełniącego obowiązki Pana Boga, uprościłoby to znacznie sprawę: kandydatów byłoby wtedy o połowę mniej.

Pytanie niebieskich kanclerzy tak bardzo Stwórcę zdziwiło, że aż zaniemówił. A kiedy już ochłonął, wpadł w okropną złość: wszak kobieta jest dzieckiem Bożym tak samo jak mężczyzna, dzieckiem równie jak on mądrym i umiejętnym, a przy tym z natury często pobożniejszym i bez wyjątku po wielokroć przyjemniejszym dla oka. Jego zdaniem nic nie stało na przeszkodzie, aby miał zmienniczkę zamiast zmiennika. Owszem, w paru zacofanych krajach wciąż nie powołuje się kobiet do kapłaństwa, w Niebie jednak na podobną dyskryminację nie ma miejsca.

Ponieważ seksizm nie wchodził w rachubę, należało kontynuować selekcję opartą na rzeczywistych kwalifikacjach kandydatów obu płci. Była to praca niemal tytaniczna, ale że najlepiej rokujące kandydatury analizowano teraz na trzy zmiany, przez całą dobę na okrągło, zaczęły się pojawiać pierwsze efekty. Bezlitośni aniołowie hurtem wyrzucali za burtę dobrych chrześcijan, aż w końcu sporządzili listę dziesięciu tysięcy prawych i wybitnie uzdolnionych wiernych, którą przedstawili Świętemu Piotrowi i archaniołowi Gabrielowi.

Niebiescy kanclerze przystąpili do analizy. Ślęczeli nad papierami dniami i nocami, dopytywali, szukali nowych kryteriów oceny – i tak zdołali skrócić listę o połowę. Na przykład podniesienie poprzeczki w kategorii odwagi pozwoliło na wyeliminowanie jakichś trzech tysięcy nazwisk: przyszły Bóg musiał być gotów zeskoczyć z dachu dwupiętrowego budynku na stóg siana. Podczas rekrutacji niebiańskiego personelu nie można przecież brać pod uwagę osoby z lękiem wysokości, tym bardziej gdy w grę wchodzi zastępstwo na urzędzie Najwyższego.

Dodatkowe punkty przyznawano za dobrą pamięć, ale pamiętliwych odrzucano bez skrupułów. Już tylko z tej racji odsiano kolejnych sześciuset kandydatów, w tym dziesiątki świątobliwych kardynałów i biskupów, nie mówiąc o całym legionie księży i pastorów. Obecny papież nie przeszedł do kolejnej rundy, choć sprawiał wrażenie nadzwyczaj pobożnego. Przy jego nazwisku na liście pojawiła się miażdżąca notatka: „Klepie modlitwy z przyzwyczajenia, nie wierzy w Boga". Warto w tym miejscu wspomnieć, że fiński biskup Olavi Rimpiläinen, który robił wokół siebie tyle szumu, że echa jego poczynań dochodziły aż do samego Nieba, w ogóle nie był brany

fbb6fb8ff4

pod uwagę. Bynajmniej nie z powodu niskiej oceny jego potencjalnej dobroci, pobożności, umiejętności czy nawet pewnej odwagi, a po prostu dlatego, że w ciągu owych siedmiu dni Rimpiläinen całkiem zapomniał o modlitwie. Miał wtedy na głowie ważniejsze rzeczy: tak zajadle głosił swój sprzeciw wobec kapłaństwa kobiet, że ani razu nie porozmawiał ze swoim Panem. Można tylko załamywać ręce nad tą potencjalnie wielką stratą, jaką poniósł przez to świat Boży.

Trudno być prorokiem we własnym kraju, a już najtrudniej w Niebie.

Natomiast operatorowi żurawia wieżowego Birgerowi Ryynänenowi akurat zdarzyło się pomodlić w owym historycznym tygodniu. Fin nie prosił Boga o nic dla siebie, ale jedynie o to, aby jego życiowa partnerka Eija Solehmainen stała się lepszą osobą, by w jej charakterze wykiełkowała choćby odrobina samokontroli, by w jej głowie znalazło się więcej miejsca na rozum i namysł, dzięki czemu ich wspólne pożycie na ziemskim padole przynosiłoby więcej zadowolenia wszystkim zainteresowanym. Modlitwa ta wypływała prosto z serca Ryynänena i brzmiała tak rozczulająco i bezinteresownie, że Fina bez wahania zakwalifikowano do rundy finałowej. Birger zresztą doskonale się prezentował w całym konkursie, w końcu był człowiekiem nie tylko zdolnym i inteligentnym, lecz również bardzo odważnym, jak przystało na dobrego operatora żurawia wieżowego.

Arto Paasilinna był fińskim pisarzem i dziennikarzem. Autor trzydziestu pięciu powieści. Trzecia książka, *Rok zająca* (1975, wyd. pol. 2020), przyniosła przełom w jego karierze – po jej wydaniu Paasilinna porzucił dotychczasową pracę w gazecie i całkowicie poświęcił się pisarstwu. Odtąd publikował mniej więcej jedną powieść rocznie, ciesząc się sympatią i uznaniem czytelników. Francuski przekład *Roku zająca* (1989) zapewnił autorowi międzynarodowy rozgłos i zapoczątkował niesłabnącą fascynację literaturą fińską na całym świecie. Książki Paasilinny były tłumaczone m.in. na angielski, niemiecki, koreański, włoskim francuski, słoweński, czeski i polski.

eprasa.pl

Przerwana droga

Patrick Leigh Fermor

Prezentujemy rozdział *Nizina Wołoska* z powieści *Przerwana droga*, która w przekładzie Ewy Ledóchowicz ukaże się we wrześniu 2026 roku nakładem wydawnictwa Książkowe Klimaty.

Z początku brzmiało to dziwnie, kiedy zwracali się do mnie *domnule* zamiast *gospodin*. Musiałem przestawić się z moich pierwocin bułgarskiego na swoje pierwociny rumuńskiego. W miejscu niskiej szklaneczki ze *sliwo* pojawiła się na stole *ţuică* w małej trójkątnej czarce z cylindryczną szyjką; na gazetach oraz reklamach zamiast cyrylicy w rządki ustawiły się litery łacińskie z zawieszonymi nad sobą znakami diakrytycznymi, cyrkumfleksem i odwróconym półksiężycem, nadającymi głosce nosowy rezonans lub tłumiącymi samogłoski – bądź z zaczepionymi pod spodem znaczkami przypominającymi wiszącą na troczku cedyllę, która zamieniała wymowę *s* na *sz*, a *t* na *c*. Zmianę przypieczętował – choć nie było to potrzebne, gdyż nawet bez takich nakierowujących oznak natychmiast odczuwało się różnicę w atmosferze – wiszący na ścianie wizerunek inteligentnego, pulchnawego oblicza króla Karola pod stosownie hohenzollernowskim hełmem (przedstawianym czasem z orłem na szczycie, a czasem z kaskadą białego końskiego włosia) oraz nad lśniącym napierśnikiem i zawieszonym na ramionach Orderem Michała Walecznego. Obok niego zaś zawsze bezwarunkowo tkwił obrazek księcia i byłego króla Michała, zrzuconego z tronu przez nieoczekiwanie wracającego z wygnania ojca (który zachował pozycję przez około dekadę, kiedy to role się odwróciły): ładny chłopczyk o łagodnych oczach i pięknie uczesanych gęstych włosach, zwykle przedstawiany w swetrze lub rozpiętej koszuli.

Z początku brzmiało to dziwnie, kiedy zwracali się do mnie *domnule* zamiast *gospodin*. Musiałem przestawić się z moich pierwocin bułgarskiego na swoje pierwociny rumuńskiego. W miejscu niskiej szklaneczki ze *sliwo* pojawiła się na stole *ţuică* w małej trójkątnej czarce z cylindryczną szyjką; na gazetach oraz reklamach zamiast cyrylicy w rządki ustawiły się litery łacińskie z zawieszonymi nad sobą znakami diakrytycznymi, cyrkumfleksem i odwróconym półksiężycem, nadającymi głosce nosowy rezonans lub tłumiącymi samogłoski – bądź z zaczepionymi pod spodem znaczkami przypominającymi wiszącą na troczku cedyllę, która zamieniała wymowę *s* na *sz*, a *t* na *c*. Zmianę przypieczętował – choć nie było to potrzebne,

fbb6fb8ff4

gdyż nawet bez takich nakierowujących oznak natychmiast odczuwało się różnicę w atmosferze – wiszący na ścianie wizerunek inteligentnego, pulchnawego oblicza króla Karola pod stosownie hohenzollernowskim hełmem (przedstawianym czasem z orłem na szczycie, a czasem z kaskadą białego końskiego włosia) oraz nad lśniącym napierśnikiem i zawieszonym na ramionach Orderem Michała Walecznego. Obok niego zaś zawsze bezwarunkowo tkwił obrazek księcia i byłego króla Michała, zrzuconego z tronu przez nieoczekiwanie wracającego z wygnania ojca (który zachował pozycję przez około dekadę, kiedy to role się odwróciły): ładny chłopczyk o łagodnych oczach i pięknie uczesanych gęstych włosach, zwykle przedstawiany w swetrze lub rozpiętej koszuli.

Czasami, aczkolwiek dosyć rzadko – mówiono, że to z powodu chłodnych stosunków między królem a jego matką – pojawiała się też obok szlachetna, nieco krągła sylwetka królowej Marii, której ogromne lśniące oczy osobliwie kontrastowały z podobnym do zakonnego białym woalem i czymś, co przypominało barbetę pod brodą, które razem okalały jej twarz. Lecz te emblematy – ani też trzy kolory nad strażnicą celną, ani orzeł na leju w kieszeni, który zastąpił gotowego do skoku lwa z lewa – nie były potrzebne, aby zaznaczyć odmianę. W samych ludziach dookoła spostrzegało się coś żywszego, coś bardziej wyostrzonego, kruchszego i śpiewniejszego – może bardziej swobodnego – w każdym razie zdecydowanie innego od szorstkiej, powolnej stateczności tych, których właśnie opuściłem. Świat słowiański zastąpiony został światem łacińskim. Na zewnątrz ciemna wstęga Dunaju z migoczącym naszyjnikiem Ruszczuka po drugiej stronie (co robi Rosa? je kolację? czyta? poleruje? szyje?) oraz biegnącą pośrodku nurtu przerywaną linią granicy stanowiła znacznie większy rozdział od faktycznej geograficznej rozpiętości.

Możemy nienagannie praktykować naszą religię, a jednocześnie żyć jak zwyczajni ludzie.

W odległości kilkudziesięciu mil w górę biegu rzeki na jej przeciwległym brzegu, po tej stronie Ruszczuka, co miejsce, w którym jedliśmy obiad, niemal dokładnie tam, gdzie zaczęły zanikać ostatnie blaski dnia, rozciągało się pole bitwy pod Nikopolem. W 1396 roku Zygmunt Luksemburski, późniejszy cesarz rzymski, zasilony francuskim rycerstwem pod wodzą Jana bez Trwogi, syna Filipa II Śmiałego z Burgundii, wyruszył na krucjatę przeciw zagrożeniu osmańskiemu. Jednak Bajazyd Błyskawica dopadł ich pod twierdzą Nikopol, pokonał i pojmał wszystkich, a potem przetrzymywał w Turcji aż do wykupienia. (Sześć lat później sam Bajazyd został rozgromiony pod Ankarą przez Tamerlana i osadzony w klatce, a po trzynastu latach wielu spośród tych samych rycerzy francuskich walczyło pod Azincourt).

eprasa.pl

Rzadko się trafiało takie wtargnięcia świata zachodniego na osobliwe i z pozoru ciemne oraz niczyje ziemie pomiędzy prawosławnymi księstwami i słowiańskimi carstwami, rozciągnięte od granicy cesarstwa wschodniorzymskiego na bizantyjskim wschodzie po Święte Cesarstwo zachodniorzymskie nad środkowym Dunajem. Lecz tereny ledwo kilkaset mil na południe całkiem dobrze zostały poznane trzy wieki wcześniej przez wyprawy krzyżowe, których pierwszy pochód wiódł północnym szlakiem egejskim przez Macedonię ku Azji Mniejszej. Ta osobliwa trasa zapoczątkowała zachodnie migracje, które z czasem usiały Lewant klasztorami, szrankami, dzwonnicami, blankami obsiadłymi przez pustułki, a krużganki otoczyły niejedną salę balową i przy okazji z wolna przemieniły normańskich paladynów w satrapów pośród jaśminów: figury w brokacie i turbanach z sokołami na nadgarstkach bardziej pasujące do perskiej miniatury niż na tkaninę z Bayeux.

***

Wołoszczyzna, mimo swej rumuńskiej nazwy – *Muntenia*, czyli kraj górski – jest w gruncie rzeczy równiną. Na dalszej północy w poprzek niej ciągną się zakolami pasma wzgórz, a wreszcie stają dęba jako strome, wysokie i majestatyczne masywy Karpat Południowych. Jest to najbardziej wysunięte na południe wygięte na zachód wychylenie Karpat; po jego drugiej stronie leży Transylwania, kraina, w której aż nadto długo zabawiłem wcześniej tego roku. Południowe naddunajskie mokradła różniły się od terenu po bułgarskiej stronie. Tam grunt opada do rzeki niespiesznie, tarasami, a na brzegu gwałtownie urywa się klifem. Tu, gdzie rzeka się kończy, początek bierze niewzruszenie płaska równina, której środkowy plan dość często rozmywają połacie mokradeł pełne ptactwa wodnego, wyglądające z oddali jak umowne znaki bagien stawiane na mapach.

Maszerowałem teraz wzdłuż głównej drogi – nie było sensu z niej zbaczać. Biegła prosto jak strzała od horyzontu po horyzont. Z drugiej jej strony pasły się olbrzymie stada. Chłopi i pastusi obuci w znane mi już buty z niewyprawionej skóry – zwane *opinci* w Rumunii, a *cerwuli* w Bułgarii – tak jak w Transylwanii, mieli resztę stroju całkowicie białą: przepasane białe tuniki sięgały im prawie kolan i przypominały koszule niewetknięte w spodnie. Znowu nosili *cojoace*, kurtki baranie, włosiem do środka a gładką stroną na zewnątrz, istna układanka z pozszywanych różnokształtnych kawałków. Zamiast podobnych do huzarskich, płaskich bułgarskich kołpaków na głowy wkładali *căciule*, przekrzywione stożkowate czapy z czarnego albo brązowego baranka. Co kilka mil mijałem wioskę, złożoną z walących się bielonych domów krytych strzechą, obok stało zwykle zbiorowisko długich wozów przeznaczonych pod zaprzęg konny lub bawoli, a potem znów ciągnęła się równina. „W lewo"

fbb6fb8ff4

i „w prawo" po rumuńsku brzmi *stânga* i *dreapta*. Ale zauważyłem, chyba właśnie na tej drodze, kiedy obserwowałem, jak chłopi wołają do bawołów czy wołów, że Rumuni mają na to samo także całkiem inne, ludowe, określenia. *„Hăis!"*, pokrzykiwali przeciągle głębokim głosem, a bydlęta powoli schodziły na lewo; *„ceala!"* – i odwracały się w prawo. Cygańskie furgony częściej tu przejeżdżały niż po drugiej stronie Dunaju, w wielu miejscach całe tabory koczowały przy drodze. Często dotrzymywałem im towarzystwa podczas wędrowania, ale zazwyczaj po mili albo dwóch dezerterowałem. Nie miałem bowiem pomysłu na zadzierzgnięcie znajomości – co stanowiło spore upokorzenie, gdyż pamiętałem, z jaką łatwością inni podróżnicy po Bałkanach z nimi przestawali. Rok czy dwa później w Mołdawii całkiem dobrze poznałem paru rumuńskich Cyganów, ale oni pochodzili z osiadłych społeczności, mówili po romsku, lecz mieszkali we wsiach i żyli tam od kilku pokoleń – od czasu, gdy w połowie ubiegłego wieku zniesiono pańszczyznę w wielkich majątkach ziemskich. W kontaktach z nomadycznymi Cyganami jakoś nie potrafiłem przełamać bariery ich żebractwa, którego kultywowanie uważali najwyraźniej za punkt honoru.

Zdradliwy grunt. Z licznych barwnych relacji podróżniczych dobrze znamy melancholię stepów i smutek równin.

Dalej na wschód wielka nizina przechodzi w prawdziwy step, rozległą równinę Bărăgan, ulokowaną w wygiętej ku północy pętli Dunaju. Ten step przetacza się przez rzekę i po drugiej stronie staje się Dobrudżą: kompletnie jałowy i odludny, lecz na swój ponury sposób piękny obszar. Nie rośnie tam nic prócz ostów, te zaś, obumierając, usychają i ich połamane fragmenty fruwają dookoła nad powierzchnią, łączą się ze sobą i wreszcie tworzą ogromne ruchome bryły jakby gigantycznych kul z ostowego puchu. Tylko raz przeciąłem ten step, samochodem, w środku lata. Wiatr gnał kule w szalonym wyścigu, a gdy przybrał na sile, zagarnął je razem z kurzem, z wszelkimi patykami i śmieciami, kawałkami przegniłych desek, które pospadały z ciągnących tędy kiedyś wozów, i wszystko wysoko się poderwało, po czym zawirowało w szalonych spiralach, tworząc kurzowego diabła wysokiego na sto stóp, ciemnego od pochwyconych odpadków, ustawicznie skręcającego się w obrotach niczym laska cukrowa, który wreszcie na niebotycznej wysokości postrzępił się i rozwiał. Szczątki wessane i zamaszystym ruchem wysoko uniesione przez wir roznosił potem po okolicy wiatr. W tym samym czasie nieopodal trzy kolejne zakręciły się na pustkowiu, z głośnym świstem niszcząc i zmiatając cokolwiek stanęło na ich drodze, wszystkie pochylone w jednym kierunku powiewały strzępiastymi rozpostartymi szeroko wierzchołkami, stwarzając pozór dzikiej gestykulacji. Przez równinę pełną złudnych miraży sunęły wskroś zachodu słońca cztery takie

eprasa.pl

słupy, poły ich kurzowej opończy rozszczepiały ostatnie promienie na dramatyczny spektakl przepastnych splotów oranżu i bursztynu, krwistej czerwieni i fioletu, hen, znacznie dalej, rozsypujących się na okruchy. Znane są historie o całych wozach porywanych razem z owcami i bawołami przez te kręcące się diabły. Chłopi snują opowieści o samotnych pastuchach uciekających przed nimi po stepie, wreszcie porywanych i wyrzucanych wysoko w zawrotnym piruecie, a później gdzie indziej odnajdywanych jako zmiażdżone i wyżęte strachy na wróble. Nie dziwota, że takie zjawiska łatwo obrastają legendami, jeśli rzeczywiście są to tylko legendy…

Równina, którą teraz wędrowałem, w niczym tamtej nie przypominała; ale monotonna, opuszczona i osobliwie piękna kraina po obu stronach drogi także zdawała się kryć w sobie tchnienie pustkowi. Nad płaską ziemią unosiło się poczucie głębokiego smutku i beznadziei. Rozległy obszar od rzeki do gór nie zawiera poza żurawiami studni nic, na czym można byłoby oprzeć oko, żaden szkielet skały nie przebija się przez gładką powierzchnię, żaden sygnał nie zapowiada bogactwa gatunków porastających strome liściaste zbocza Siedmiogrodu. Latem jest tu pewnie trochę lepiej, grunt przyodziewa się w rozległe pola pszenicy i kukurydzy, ale nawet wtedy melancholia nie ustępuje. Wsie majaczą ułudne niczym zjawy, a w wyglądzie i głosie mieszkańców czuje się bierną łagodność i uległość. Jakby historia zniszczyła w nich wszystko, co mieli w środku. Pod rządami prawosławnych książąt, często despotycznych i chciwych, uciskani przez własnych obszarników zatracili – jeśli nie liczyć nieudanych sporadycznych rozruchów chłopstwa – zdolność do zrywu przeciw obcemu najeźdźcy, czyli nie reagowali już na bodziec, który dla ludu Grecji, Bułgarii, Serbii, Czarnogóry i chrześcijańskiej części Bośni i Hercegowiny oraz Albanii wciąż stanowił podnietę do walki przynoszącej ukojenie. Choć wszyscy chrześcijanie Półwyspu Bałkańskiego współdzielili powszechny ucisk otomański, tkwili na pokładzie tej samej łodzi, to oszczędzono im poddaństwa wewnętrznego, które panowało na północ od Dunaju aż do czasu, gdy sami właściciele ziemscy znieśli je pod wpływem popularności liberalnych prądów dziewiętnastego wieku. Mieli swoich romantycznych Robin Hoodów – zwłaszcza w górach – ale i tam bandurzy[1] oraz hajducy, o ile nie zajmowali się wyłącznie górskim rozbójnictwem, prowadzili wojnę bardziej z rodzimą niesprawiedliwością niż z innym konkretnym, powszechnym wrogiem w turbanie, jak robili to klefci[2] bądź bardziej na południu komitadżi. Albowiem bezpośrednie otomańskie rządy kończyły się na rzece. Od

[1] Bandurzy (także pandurzy, od węg. *pandúr*, „policjant") – do XVIII w. żołnierze nieregularnych formacji piechoty na terenie Austro-Węgier, przekształconych w XIX w. na południowych rubieżach ziem austriackich Habsburgów w straż graniczną (tzw. graniczarów); także – wszelki zbrojny sługa dawnych magnatów (gł. węgierskich i chorwackich). Formacje bandurów obecne były także na Dolnym Śląsku.

[2] Klefci (od gr. *kléftes*, *kléftis*, „złodzieje") – ludność grecka (potem także albańska) od XV w. prowadząca walkę partyzancką przeciwko Turkom.

fbb6fb8ff4

wieków jednak dwa księstwa: Wołoszczyzny i Mołdawii (dopiero w połowie dziewiętnastego wieku zjednoczone pod wspólną nazwą Rumunii) pozostawały lennem Turcji, a podstawowy obowiązek książąt elekcyjnych zasiadających na starożytnych tronach Michała Walecznego i Stefana III Wielkiego stanowiło składanie ogromnej corocznej daniny sułtanowi przy jednoczesnym (obowiązek samodzielnie sobie narzucony) pomnażaniu własnych majątków. Trudno orzec, czy taka uległość wobec tureckiej zachłanności była dla księstw ogólnie rzecz biorąc mniej czy bardziej uciążliwa od dotkliwości bezpośredniego jarzma osmańskiego nałożonego na karki bałkańskich chłopów.

Kiedy w połowie XIX wieku oba księstwa się połączyły, ich wspólnym władcą został na krótki czas Aleksander Cuza[3], po czym panowanie przejął Karol z dynastii Hohenzollernów, późniejszy król Karol I. Właśnie to dawne królestwo – w odróżnieniu od nowego, utworzonego z wszystkich prowincji przyznanych Rumunii po Wielkiej Wojnie na mocy traktatu w Trianon – nosiło nazwę Regatu: Rumunii *par excellence*. Nowe tereny, które nagle z etnicznych powodów przyłączono do pradawnego gniazda, choć większość z nich przez setki lat oddzielały granice, to na południe od delty Dobrudża, o którą upominali się Bułgarzy; Besarabia, od ponad wieku należąca do Rosji; Bukowina na dalekiej północy, będąca niegdyś odległym krańcem cesarstwa austriackiego; oraz Siedmiogród i Banat na południowym zachodzie, dawniej część Węgier. W ten sposób kraj rozrósł się ogromnie, wzbogacił i rozbudził irredentystyczny gniew sąsiadów – zwłaszcza Węgier i Bułgarii.

Ciężko powiedzieć, jak bardzo pechowość ostatnich stuleci – czy może całej rumuńskiej historii? – przyłożyła się do fatalistycznej melancholii, którą, odnoszę wrażenie, zawsze wyczuwałem u rumuńskich chłopów, a szczególnie u tych z nizin, oraz na ile wielokrotne reformy rolne, podział i kolejne rozdrabnianie wielkich włości, obdzielanie nimi po trochu, zdołały ją uśmierzyć. Rumuńskie kroniki, które sumują to z pozostałymi powodami do rozpaczy, czyta się jak katalog nieszczęść: biblijne plagi owadów, klęski nieurodzaju, pomory bydła, przerażające zarazy, które jedna po drugiej dziesiątkowały całe populacje, przemarsze wojsk, łupiestwo, podpalenia i rabunek. Przede wszystkim zaś podczas rozciągłych i nieodnotowanych nigdzie stuleci, jeszcze zanim pierwsi mnisi zaczęli spisywać kroniki, ale już po wezwaniu do odwrotu legionów rzymskich (od których to oraz od autochtonicznych Daków Rumuni bezpośrednio się wywodzą), te równiny, olbrzymi pusty obszar, stawały się miejscem postoju i obozowisk wszelkich barbarzyńców z Azji sunących ku zachodowi przez scytyjskie odludzia leżące na północ od Morza Czarnego: Gotów, Hunów, Awarów, Madziarów, Bułgarów, Kumanów i Pieczyngów – to tutaj ściągali lejce,

[3] Aleksander Jan Cuza (1820–1873) – bojar mołdawski i książę Zjednoczonych Księstw Mołdawii i Wołoszczyzny.

eprasa.pl

zanim ostro ruszyli dalej na południe i południowy zachód, by, przeprawiwszy się przez rzekę, przyspieszyć upadek Rzymu i zaraz potem uderzyć na mury Bizancjum, aby być może wreszcie tam, na Bałkanach, zapuścić korzenie; albo nim popędzili na zachód, by przedarłszy się przez gromadnie migrujących łagodnych Słowian, rzucić zachodniemu chrześcijaństwu wyzwanie, zagrozić Paryżowi, i na koniec podbić i zaludnić Hiszpanię, lub, jak zrobili to Madziarzy, osiąść na panońskiej równinie.

Poza jakimikolwiek nieszczęściami i zmiennymi kolejami historii, które się tędy przetaczały, trudno byłoby dać wiarę, aby te pełne inercji, sprawiające wrażenie nieskończonych płaskie połacie latem spierzchłe i zakurzone, zimą po horyzont zakryte śniegiem z przepastnym niebem nad sobą i pięknymi zachodami słońca każdego dnia skazanymi na skonanie mogły stanowić okolicę tryskającą optymizmem, dobrym humorem albo odradzającą się energią. Język rumuński charakteryzuje bogactwo słownictwa opisującego odcienie smutku; przeciągłe monosylabiczne *dor* oznacza nieokreślone, lecz pełne niepokoju i ku niczemu konkretnemu nieskierowane uczucie smętku zmieszanego z tęsknotą (aczkolwiek słowo może być także użyte do wyrażenia swoistej smutnej tęsknoty za ukochaną osobą) i doskonale wyraża taki stan: *mi e dor* – „mam *dor*" – czyli „tęsknię, cierpię z tęsknoty…" bez określonego podmiotu czy przyczyny.

W samych ludziach dookoła spostrzegało się coś żywszego, coś bardziej wyostrzonego, kruchszego i śpiewniejszego – może bardziej swobodnego – w każdym razie zdecydowanie innego od szorstkiej, powolnej stateczności tych, których właśnie opuściłem.

To słowo często pojawia się na ustach chłopów. Inne z zasłyszanych, które zawsze uderzało mnie swoją celnością w oddawaniu takiego przygnębienia, z którego się nie da otrząsnąć, brzmi *zbucium*, spondej oddający rozpacz totalnego zniechęcenia, swoistego mołdawsko-wołoskiego bluesa. *Mi e zbucium…* (Chociaż nie ma innego związku pomiędzy tymi dwoma wyrazami oprócz ich podobnego brzmienia, zawsze *zbucium* przywodzi mi na myśl kolejne rumuńskie słowo – *bucium* – które oznacza metalowy róg długi na trzy albo cztery jardy, noszony na służbistym ramieniu, wywinięty do góry – przypominający wyglądem te, których używają w klasztorach lamów mnisi buddyjscy – w który dmą pasterze i juhasi, kiedy długim złowieszczym grzmieniem zachwycająco przepojonym *zbucium*, niesionym przez echo po dolinach Aluty i Bystrzycy, zwołują swoje stada w wysokich partiach Karpatów).

Zdradliwy grunt. Z licznych barwnych relacji podróżniczych dobrze znamy melancholię stepów i smutek równin – tęsknicę i *Sehnsucht* otwartych przestrzeni oraz ludową duszę odnajdującą dla nich wyraz w muzyce i tym wszystkim, czego niejeden soczysty głos zdążający za sylwetką pastucha prowadzącego stado prosto ku za-

fbb6fb8ff4

chodzącemu słońcu nadużył ponad wszelki akceptowalny poziom banału. Szkoda; jednakże tutaj takie brzmienia są wyjątkowo precyzyjnie zgodne z miejscem. Duża część rumuńskiej muzyki i śpiewu, ta, którą uwielbiałem, ucieleśniała właśnie jego cechy, odnosi się to w szczególności do gatunku pieśni zwanej *doiną*. Nie ma on nic wspólnego z akrobatycznymi zmianami tempa od sennego do karkołomnego, w których mistrzami są Cyganie, czy z bardziej orientalnym zawodzeniem i odmienną skalą Bałkanów, ani też z wysokimi, drżącymi żałobnymi pieśniami maniockimi. *Doină* jest emanacją ducha wsi i pól oraz równin, nieskończenie wolna w formie, zawiera długie pauzy i niepochwytne tony, przenoszące piękno. Słyszy się je przez okno pociągu albo z tyłu zza stogu, gdy kosiarz złożył ostatni pokos. Kiedy zapada noc, dochodzi z wioski, do której człowiek zbliża się piechotą, tak jak ja w tej chwili – wędrowiec zatrzymuje się wtedy, słucha i zaczyna pojmować, że ład i skandowanie, jakie narzuca ten krajobraz, są jedynym sposobem na poradzenie sobie z zawisłym wokół nastrojem, stanowiącym wyraz obecności tego, co rozdziera serce i jest daremne.

***

W pierwszej wsi nawiedzanej przez *doinę*, w której przyszło mi się zatrzymać tego wieczoru, jedynym miejscem, gdzie mogłem zanocować, okazał się żydowski sklep z artykułami spożywczymi, przy którym działał także niewielki zajazd. Sprzedawca, zabiegany rudowłosy mężczyzna, różnił się bardzo od poznanych wcześniej w Płowdiwie i Ruszczuku Żydów sefardyjskich: Aszkenazyjczyk z rodu Aszkenazów, znany wśród wieśniaków jako Domnul David. Z rodziną porozumiewał się w jidysz, a ze mną osobliwą i urzekająco nosową niemczyzną, *Judendeutsch*. Żałuję, że w przeciwieństwie do starego rabina z Banatu niewiele się znał na księgach świętych. Powiedziałem mu, że bardzo bym chciał, żeby ktoś wyjaśnił mi, czym dokładnie różni się Tora od Talmudu, bo ciągle je myliłem, i opowiedział o Golemie oraz chasydach, ale odparł, że tu znajdę tylko drobne, rozproszone wspólnoty, trzeba mi się raczej udać do Górnej Mołdawii, znacznie dalej na północ, do któregoś z tamtejszych miasteczek, choćby do Botoszan albo Dorohoi – skąd akurat Domnul David pochodził – niemal całkowicie żydowskich. (Rzeczywiście się tam wybrałem, tyle że rok później).

Czy to za sprawą właściwej Żydom smykałki, czy może ogólnego rumuńskiego braku zmysłu handlowego, a najpewniej z obu tych przyczyn jednocześnie, prawie wszystkie sklepiki we wsi prowadzili Żydzi; sytuacja podobnie przedstawiała się w większości miast, może oprócz tych w delcie Dunaju, gdzie także liczni Grecy robili interesy – szczególnie w Konstancy, Gałaczu i Braile – handlując barkami na Dunaju. Stąd wzięło swój początek kilka wielkich greckich majątków. To Grecy pełnili

eprasa.pl

też najczęściej funkcje zarządców i ajentów dużych posiadłości. Zapewne dlatego nie zawsze ich lubiano. Ale była to niewielka dolegliwość w porównaniu z głęboko zakorzenionym i niemal nagminnym antysemityzmem, z jakim Rumuni traktowali blisko milion Żydów zamieszkujących ich kraj. Uprzedzeni do nich byli jeszcze brutalniej od Węgrów. Wiejskim karczmarzom, kupcom i sklepikarzom nie tylko przypisywano wszelkie możliwe wady, ale pomstowano na nich z nieomal mistycznym fanatyzmem. Proste chłopstwo dawało wiarę bajkom o rytualnych mordach. Ale przecież nawet bardziej wyrafinowani Węgrzy zdawali się jeszcze silniej od Rumunów opętani tym zagadnieniem. Często podsuwano mi książki Jeana i Jérôme'a Tharaudów – *La Fin des Habsbourg, Quand Israël n'est plus roi* i im podobne – abym poznał prawdę o roli, jaką Żydzi odegrali w rewolucji Béli Kuna[4]. Całkiem na porządku dziennym słyszało się rozmowy o planie zapanowania nad światem, tej dawno zdemaskowanej nieprawdzie, zawartej w *Protokołach mędrców Syjonu*. (Według pewnego węgierskiego ziemianina, lubującego się w genealogiach, ten plan wprowadzano w życie z pokolenia na pokolenie sposobem żydowskiego przenikania do szeregów całej zachodnioeuropejskiej arystokracji z francuską w pierwszym, a angielską w drugim rzędzie. By wyjaśnić, co dokładnie ma na myśli, pokazał mi publikację, tom często przywoływany, ale rzadko widywany, zwany *Semi-Gotha*. Pękaty i ciężki podręcznik musiał zostać skompilowany przez kogoś o równie jasno sprecyzowanym celu, jaki charakteryzował pana Galtier-Boissière'a – miał ten sam format i konsekwentną spójność, co pozostałe trzy tomy wydane w Gotha, które stanowiły, jak się zdaje, jedyne lektury co poniektórych włościan, ocierających się o analfabetyzm, gdy chodziło o inne dziedziny wiedzy, a zdolnych wykazać się umiejętnością czytania wyłącznie w przypadkach czerwonooprawnego tomu *Hofkalender* królewskich oraz książęcych rodów, w niebieskiej oprawie *Gräfliche* i w zielonej *Freiherrliches Taschenbuch*. Drukowany na prywatne życzenie tom czwarty, w oprawie z żółtej skóry, wytłoczoną miał złotą gwiazdę Dawida w miejscu tamtych uzasadnionych koron i diademów. Aby zilustrować rozprzestrzenianie się światowego żydostwa i nieprawdopodobne przebrania, w których się ono czaiło, dziedzic,

Z rodziną porozumiewał się w jidysz, a ze mną osobliwą i urzekająco nosową niemczyzną, *Judendeutsch*. Żałuję, że w przeciwieństwie do starego rabina z Banatu niewiele się znał na księgach świętych. Powiedziałem mu, że bardzo bym chciał, żeby ktoś wyjaśnił mi, czym dokładnie różni się Tora od Talmudu, bo ciągle je myliłem.

[4] Béla Kun, właść. Kohn (1886–1983) – węgierski komunista pochodzenia żydowskiego, w 1919 r. przywódca Węgierskiej Republiki Rad, członek rosyjskiej partii bolszewickiej RKP(b).

fbb6fb8ff4

z miną melancholijnego triumfu, chudym i zdobnym w herb małym palcem wskazywał kolejno nazwisko po nazwisku. Winston Churchill było pierwszym, jakie padło na głos, Lord Rothermere drugim, i to z żalem, gdyż w tamtym czasie węgierscy rewizjoniści właśnie w nim pokładali ogromne nadzieje[5]. Sam widzisz, nigdy nie wiadomo, podsumował. Kiedy podałem w wątpliwość wiarygodność jego ulubionej księgi, poczuł się urażony i niemile zaskoczony).

Tego typu wrogość jeszcze głębiej zapuściła korzenie na północy, gdzie w ciągu zaledwie stu trzydziestu lat populacja żydowska wzrosła z około dwóch tysięcy rodzin do blisko miliona osób. Większość zbiegła z Polski i rosyjskiej granicznej strefy osiedlenia, gdyż panowały tam trudniejsze warunki. Doszło do tego, że w kilku dużych miastach Mołdawii, włącznie z Jassami, stolicą prowincji, Żydzi przewyższali teraz liczebnie mieszkańców rumuńskich i zmonopolizowali cały handel regionu. Nic dziwnego, że ten trudny do przełknięcia zalew napływowej ludności wzbudził wśród miejscowych niechęć, wrogość i agresję; nie dałoby się tego porównać z harmonijną i stopniowo formującą się w świecie otomańskim pozycją znanych z ogłady i o wiele mniej liczebnych Sefardyjczyków, ale także nie dziwota, że Żydzi, którym odmawiano pełni praw obywatelskich i których pozbawiano dostępu do jakichkolwiek dróg rozwoju, awansu czy zaszczytów, przejmowali i doskonalili jedyną im dostępną, nieobarczoną przesądami dziedzinę. Dalekie księstwo, w którym nagle zaczęli rosnąć w siłę, nie miało klasy średniej; wiejska społeczność nie znała pośredniego stanu pomiędzy średniowiecznym feudalizmem dużych właścicieli ziemskich – bardziej lub mniej ważnych bojarów, spośród których większość nigdy nie postawiła stopy na swoich zakumulowanych akrach – a nieprzebranym i bezlitośnie wykorzystywanym chłopstwem. Warstwa średnia mieszczaństwa nie istniała i w miarę jak kraj się rozwijał, ludność żydowska, ci wszyscy pośrednicy i drobni handlarze, stawała się, zwłaszcza w Mołdawii, półobcym odpowiednikiem burżuazji.

Choć z pewnym oporem, wszyscy oddawali Żydom sprawiedliwość – są uczciwi, nawet gdy bezwzględnie egzekwują własne warunki. Zorientowałem się też, że wszyscy, także ci najbardziej uprzedzeni, mieli przynajmniej jednego żydowskiego przyjaciela, takiego, co to „nie był jak inni".

Choć z pewnym oporem, wszyscy oddawali Żydom sprawiedliwość – są uczciwi, nawet gdy bezwzględnie egzekwują własne warunki. Zorientowałem się też, że

[5] Lord Rothermere, Harold Sidney Harmsworth, 1. wicehrabia Rothermere (1868–1940) – brytyjski prawicowy potentat prasowy (założyciel wspólnie z bratem Alfredem „Daily Mail" i „Daily Mirror", twórca prasowego gatunku tabloidów), jeden z bogatszych Anglików.

eprasa.pl

wszyscy, także ci najbardziej uprzedzeni, mieli przynajmniej jednego żydowskiego przyjaciela, takiego, co to „nie był jak inni" – zbiór tych wyjątków musiał sumować się w imponującą liczbę. Ale dopiero podczas moich późniejszych podróży po Mołdawii i Bukowinie poznawałem Żydów – dyskutowałem z nimi, zaprzyjaźniałem się – którzy nie czuli się izolowani pośród gojskiej większości. Dla pozostałych brak potrzeby dostosowywania się do obcych obyczajów sprawiał, że ich życie toczyło się w absolutnie niczym niezakłócony sposób: długie czarne chałaty, kapelusze z czarnego aksamitu z szerokim rondem, jarmułki, czarne, rude i blond brody, pejsy skręcone jak korkociągi (takie, jakie mieli mój gospodarz i jego syn w lasach Banatu) oraz jidysz w znacznej mierze nieskażony rumuńszczyzną, lecz przetykany słowami polskimi i rosyjskimi, a także hebrajskim, studiowanym przez rabinów i uczniów szkół talmudycznych. Słyszało się wśród nich nosową intonację i oglądało wschodnią gestykulację w najczystszej postaci, choćby takie opuszczanie przygarbionych ramion z jednoczesnym unoszeniem rąk o dłoniach obróconych ku górze. Właśnie z tych okolic, szczególnie z Czerniowców, stolicy Bukowiny (która była pod panowaniem Habsburgów aż do końca pierwszej wojny światowej), pochodziło wiele żydowskich talentów, które po przetransplantowaniu do Ameryki triumfalnie rozkwitły na scenie, ekranie, w muzyce i sztukach pięknych, i okraszone polotem poczucia humoru nieobecnym u żadnej innej rasy, zakrawającym wręcz na genialność, dostarczyły światu mnóstwa doskonałych zabawnych żydowskich anegdot.

Od pobytu u rabina z Banatu zawziąłem się, że zrobię wszystko, by poznać historię Żydów, i przetrząsałem encyklopedie oraz wszelakie monografie, jakie tylko zdołałem wynaleźć w Sofii, i to w każdym języku, który choć trochę rozumiałem. Spędziłem nawet pewien czas, aczkolwiek nazbyt krótki, w synagodze aszkenazyjskiej w Bratysławie, przeszedłszy najpierw pod przewodnictwem żydowskiego przyjaciela przez te wszystkie obrzędy, które dotyczą obcych. W Płowdiwie po wysłuchaniu mszy odprawianej w kościele ormiańskim w dniu fascynującego świętego długo stałem przed sefardyjską synagogą, wahając się, czy wejść, ale ponieważ nie miałem ze sobą nikogo, ostatecznie nie śmiałem przekroczyć progu. (Dopiero dwadzieścia lat później, zafascynowany śpiewem cerkiewnym i chorałem gregoriańskim – oraz tym, że prawdopodobnie wywodzą się, zwłaszcza psalmy, z sięgającej czasów apostołów liturgii wielkich świątyń Antiochii i Jerozolimy – usłyszałem śpiew sefardyjski, pięknie wykonany, we wspaniałej portugalsko-holenderskiej synagodze przy Artillery Row w londyńskim City[6] . Miałem więc już sporą wiedzę o tym, dlaczego

[6] Prawdopodobnie omyłka autora. Może chodzić albo o aszkenazyjską synagogę przy Sandy's Row, nieopodal Artillery Row w Spitafields w Londynie, założoną przez holenderskich Żydów – albo o sefardyjską portugalsko-hiszpańską (zwaną czasem portugalsko-holenderską) synagogę, tzw. Bevis Marks Synagogue, przy Heneage Lane w City; w tekście autor wspomina śpiew sefardyjski.

fbb6fb8ff4

Żydzi z północy posługiwali się dialektem niemieckim i nosili nazwiska niemieckiego pochodzenia – na przykład Schwartz, Weiss, Abendstern, Weintraub, Blumenblatt, Goldberg – albo nazwiska o słowiańskich końcówkach, takie jak Moisky czy Rabinovitch – zamiast starożytnych hebrajskich. Kiedy wszyscy poszli już spać, usiedliśmy z Domnulem Davidem w jego sklepo-zajeździe i rozmawialiśmy, ale niewiele potrafił pomóc w dociekaniach na temat Machabeuszy, babilońskiej niewoli, upadku Świątyni, diaspory czy Chazarów, aczkolwiek bawiło go moje zainteresowanie. Przyszło mi wtedy do głowy, że angielski sklepikarz podobnie mało wiedziałby o danegeldzie albo witenagemocie[7]. Zaciągając żaluzje, powiedział jednakże coś, co przetrwało w mojej pamięci. Porównywaliśmy religię żydowską i chrześcijańską. „Powiem ci o wielkiej przewadze naszej religii nad waszą: nikt nie jest w stanie i przykładnie praktykować chrześcijaństwa, i zwyczajnie żyć. Wy, chrześcijanie, jeśli nie zaliczacie się do grona świętych, nigdy nie spełniacie oczekiwań, nie jesteście tacy, jacy powinniście być; nawet na sekundę nigdy nie jesteście w porządku, zawsze winni, zawsze nieszczęśliwi, zawsze, jak bardzo byście się nie starali, w niełasce. Tymczasem religia żydowska stworzona jest dla istot ludzkich. Mamy kilka prostych zasad, których nie wolno nam łamać, i tyle. Możemy nienagannie praktykować naszą religię, a jednocześnie żyć jak zwyczajni ludzie. Być dobrym Żydem jest łatwo, być dobrym chrześcijaninem się nie da. A przecież chrześcijanie nie są bardziej cnotliwi od Żydów, nieprawdaż? Mniej więcej tacy sami? Jakie więc mają szanse? Jaki rezultat? My jesteśmy szczęśliwi w naszej religii, wy wszyscy jesteście nieszczęśliwi, ot co. Mamy mnóstwo innych kłopotów, ale nie z religią. *Gott sei Dank*. Ona nie atakuje nas zza naszych pleców, tak jak robi to gojom".

***

Potrzebne jest teraz pewne wyjaśnienie w nawiasie, krótka pauza, i to właśnie nie gdzie indziej, a tutaj, w żelaznym łóżku u Jacoba Bercoviciego, handlarza zbożem z Gałacza, pod upstrzonym muchami i pozbawionym kartek kalendarzem, przedstawiającym Judytę przed Holofernesem.

Ostatnie kilkanaście stron kryje aluzje do mojej znajomości z Rumunią cokolwiek dłuższej niż tych kilka przeciągniętych letnich miesięcy spędzonych wszak wyłącznie wśród Węgrów czy tamten krótki pobyt w wielkim zakolu Dunaju. Otóż było tak. Podczas pięciu lat między końcem opisywanej tu podróży a wybuchem wojny

[7] *Donegeld* – średniowieczny podatek angielski (praktykowany 991–1162) przeznaczony pierwotnie na okup dla duńskich najeźdźców, potem jako zwykły podatek gruntowy; *witenagemot* – w średniowiecznej Anglii (VII do XI w.) rada starszyzny (rodzaj zgromadzenia narodowego, złożonego z osób duchownych oraz świeckich), doradzająca królowi w sprawach wagi państwowej.

eprasa.pl

wielokrotnie powracałem do wszystkich przebytych na jej trasie państw, z jedynym wyjątkiem Bułgarii, której po zakończeniu rocznej wędrówki, czystym przypadkiem, nigdy więcej nie odwiedziłem. Spośród tych wszystkich krajów Grecja (która co prawda nie stanowi części bieżącej relacji, ale wyraźnie wyłania się spoza ostatniej strony) i Rumunia były tymi, które odwiedziłem i w których mieszkałem najczęściej. W Rumunii zatrzymywałem się dwukrotnie, za każdym razem na mniej więcej rok. (Za ostatnim razem zostałbym na jeszcze dłużej, gdyby wybuch wojny nagle nie uderzył w dzwon, obwieszczając koniec cudownych letnich wakacji, i nie odesłał z powrotem tam, gdzie długi zimowy semestr zamknął mnie za kolczastym drutem koszarów Gwardii Królewskiej, których place dudniły od szczęku, tupotu i okrzyków). Kiedy pomieszkiwałem w otoczeniu dolin Górnej Mołdawii, często podróżowałem po szerszym obszarze – jeździłem do delty, Bukowiny, powracałem do Siedmiogrodu, zjeździłem Dobrudżę, Besarabię oraz byłem niejeden raz w Bukareszcie. Na pierwsze rumuńskie wspomnienia nałożyło się wiele następnych i kiedy piszę o początkach, sprawia mi trudność oddzielenie spostrzeżeń i domysłów nagromadzonych później: trzeba byłoby narzucić sobie udawaną naiwność, żeby tego dokonać. Niełatwe zadanie, odłączyć późniejsze doświadczenia od najwcześniejszych wypadów do Regatu. A pokusa, by na zbliżających się stronach przemycić jeden czy dwa wtręty późniejszej daty, jest nieodparta. Zabieg to ryzykowny, lecz jeśli dostrzegę stosowne okazje – przypuszczalnie przy końcach akapitów albo w którymś zachęcającym odstępie w z grubsza gotowych spojeniach tej książki – mogę, oczywiście nie bez powiadomienia czytelnika, pozwolić mu się przebić. Wszak przypuszczalnie już nigdy więcej nie będę przechodzić na papierze tej trasy, a mam późniejsze wrażenia z tego niezwykłego kraju, które chciałbym odtworzyć… Zobaczymy, jak to pójdzie.

Wyrażam niejaką wątpliwość, ponieważ w tym nader osobliwym i ogólnie przyjemnym zadaniu opracowywania własnej archeologii dokuczają mi dwie zasadnicze kwestie. Pierwsza to pojawiająca się z nagła nieostrość, kiedy szwankuje precyzyjna pamięć i jakiś odcinek trasy majaczy pozbawiony wydarzeń, a żaden z postawionych ołówkiem na mapie znaczków nie przychodzi z pomocą. Nieraz już mnie to spotykało i z pewnością spotka znowu. Początkowo takie ciemne plamy na pamięci pogrążały mnie w rozpaczy. Wpatrywałem się to w kartkę, to w mapę, doznając cierpienia narastającego z upływającymi minutami, w czasie których nic, dosłownie nic, się nie pojawiało. Teraz podchodzę do tego inaczej. Pustkę odczytuję jako sygnał, że nic wartego zapamiętania i nadającego się do mojego dzisiejszego wykorzystania się tam nie pojawiło: brak zadumy nad krajobrazem, wioskami, nawet nad miastami i ich mieszkańcami. A przecież niewątpliwie musiałem albo przez nie wędrować, nie utrwalając nic w pamięci zapewne dla jakiegoś mojego osobniczego defektu, albo je bezwiednie mijać, tak jak się mija poniektóre budowle o wielkiej doniosłości (dużo

fbb6fb8ff4

bym teraz dał, aby je zobaczyć) czy całe górskie łańcuchy tętniące historią i pełne cudów natury, polityczne zwroty i wydarzenia o przełomowym znaczeniu. Ostatnie spostrzeżenie budzi we mnie myśl, że moje zapiski są na pewno najmniej zorientowanym na aktualności z wszelkich dzienników podróży, jakie kiedykolwiek ujrzały światło dzienne, nawet spośród tych spisywanych po dłuższej zwłoce. Ale znajduję prywatną wymówkę: ta książka nie ma być ani kompendium wiedzy o kulturze, ani przewodnikiem, ani polityczną bądź wojskową relacją. (Chyba niestosownie byłoby dłużej zatrzymywać się przy własnych mankamentach…) Dobrą stroną takich luk jest to, że oszczędzają nam, tobie, czytelniku, i mnie, utonięcia w bezładnym zalewie kompletną, ale bezkrytyczną rekonstrukcją wydarzeń.

Na pierwsze rumuńskie wspomnienia nałożyło się wiele następnych i kiedy piszę o początkach, sprawia mi trudność oddzielenie spostrzeżeń i domysłów nagromadzonych później: trzeba byłoby narzucić sobie udawaną naiwność, żeby tego dokonać.

Druga kwestia jest czymś zgoła przeciwnym: kiedy podejmuję fragmenty, które przeleżały nietknięte dwie dekady i dłużej, by je poskładać, nagle potrafi wynurzyć się spośród nich jakiś szczegół o mocy oddziaływania porównywalnej do smaku magdalenki, który rozpostarł przed Proustem pełną panoramę jego dzieciństwa. Nieistotny detal pociąga cię za sobą, by zaraz przepleść ciągi myśli i skojarzeń, zwielokrotnić podźwięki echa ech i przytłoczyć cię tym wszystkim; a ty w dążeniu do uzyskania zbawiennego choćby cienia symetrii i równowagi musisz wtedy z tego nieprzydatnego połowu wiele odrzucić, by odpłynęło z powrotem do mrocznych głębin, w których kryjówce cały ten czas tkwiło przyczajone. Dla pisarza, który zawsze okazuje się najgorszym własnym redaktorem, to zadanie dotkliwie trudne. W takich chwilach można by odnieść wrażenie, że piętrząca się po mojej lewej ręce ryza na pozór czystego papieru już zawiera zapisane atramentem sympatycznym to, o czym mam zamiar zaraz pisać, i że kiedy tylko kładę kartkę przed sobą, ta zaczernia się konkatenacjami szczegółów, do ostatniej chwili niepamiętanych, jak gdyby czubek stalówki zasilany był przez jakiś odczynnik-wywoływacz, a nie tusz. A gdy kolejna strona dołącza do manuskryptu rosnącego po mojej prawej ręce, pęczniejący balon dopowiedzeń i przypomnień dodawanych do tekstu staje się tak wielki, że unosi stronicę nad głową ku powale bielejącej greckimi wyspami, no i trzeba go przekłuć albo spuścić zeń powietrze, jeśli choćby pozór równowagi i harmonii ma być osiągnięty.

Zakrada się tu jeszcze trzeci problem: troska, by przedstawienie kraju było wizerunkiem prawdziwym, i nie mam na myśli obrazu odpowiadającego prawdzie wedle jakichkolwiek uogólnionych kryteriów, o ile takie w ogóle istnieją, ale by oddał

eprasa.pl

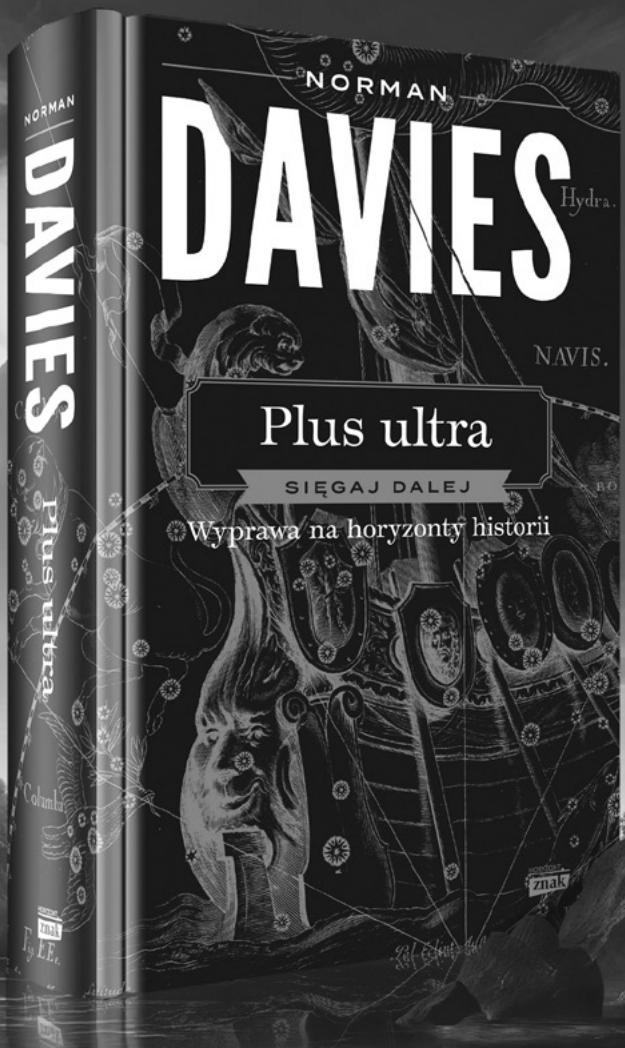
prawdę ogólnego wrażenia, które powstaje, gdy zlepiają się niezliczone odłamki doświadczeń w chwili, gdy się w końcu stamtąd wyjeżdża: nad wyraz osobista synteza, przydatna dla kogokolwiek innego przy poszukiwaniu hipotetycznego absolutu tylko wtedy, gdy okaże tolerancję wobec ślepoty, inklinacji i półwiedzy autora. I właśnie w tej chwili czuję, że jeśli teraz pisząc, oparłbym się jedynie na wspomnieniach ze swojej pierwszej, a na tych kartach wciąż leżącej przede mną wizyty, to znalazłbym się daleko od prawdy. Stąd pokusa, aby wcisnąć gdzieniegdzie kliny późniejszej daty. Lecz niechże tymczasem nas to nie trapi. Nawet jeśli jakakolwiek nieodparta chętka zawiśnie przyczajona nad różnymi warstwami moich rumuńskich wspomnień, szczegóły pierwszego przybycia do Bukaresztu wyryte mam w niej ostro; tak więc ruszajmy.

Patrick Leigh Fermor był brytyjskim pisarzem, żołnierzem, erudytą i podróżnikiem. Wsławiony rolą w greckim ruchu oporu podczas II wojny światowej. W 2004 roku pasowany na Rycerza Kawalera przez Elżbietę II. Po wojnie zajął się pisarstwem. W Polsce wydano jego książki *Mani. Wędrówki po Peloponezie* (2013) oraz *Czas milczenia* (2015). W 2021 roku nakładem Książkowych Klimatów i ArtRage ukazała się pierwsza część trylogii o pieszej wędrówce przez przedwojenną Europę do Konstantynopola – *Czas drogi* w przekładzie Ewy Ledóchowicz. Książka po raz pierwszy została opublikowana w 1977 roku. Opowieść o kolejnych etapach podróży kontynuowana jest w tomie *Między lasem a wodą* (wyd. pol. 2024), a następnie dobiega końca w tomie *Przerwana droga*. Dzieła Fermora uznawane są za klasykę literatury podróżniczej. Sławie jego książek dorównuje popularność postaci autora. Wielbiciele pisarza kultywują wspomnienie o jego urodzie, fantazji, życzliwości, erudycji oraz niespotykanej pamięci, pozwalającej mu płynnie porozumiewać się w pięciu językach i cytować długie fragmenty literackie w każdym z nich.

fbb6fb8ff4

REKLAMA

Sięgaj dalej, odkrywaj więcej!



Tam, gdzie kończy się mapa, zaczyna się **Plus ultra!**

eprasa.pl

Pomiędzy solidarnością a konfliktem

Z profesorem historii Andrijem Portnowem rozmawia Piotr Leszczyński

PIOTR LESZCZYŃSKI: W jednym z Pana tekstów z ubiegłego roku przeczytałem: „Symbolem różnych narracji narodowych, dwóch »historii do użytku domowego«, stał się Wołyń 1943". I dalej: „Jako historyk, który wielokrotnie wypowiadał się w różnych mediach na temat Wołynia i znaczenia otwartej dyskusji o tym rozdziale polsko-ukraińskiej historii, mogę powiedzieć, że w intensywności obecnych manipulacji politycznych wokół tego tematu odczuwalne są nie tylko historyczne traumy i ból, ale także brak jasnej, pozytywnej wspólnej wizji przyszłości. I właśnie to wydaje się głównym wyzwaniem". No i stało się – co teraz?

ANDRIJ PORTNOW: Mam wrażenie, że współczesny konflikt (żeby nie powiedzieć: wojna) pamięci ma wyraźny potencjał destrukcyjny, ale dotyczy on jedynie pośrednio wydarzeń historycznych na Wołyniu podczas II wojny światowej. Od razu powiem, że dla mnie nie ulega wątpliwości zbrodniczy charakter masowych mordów na ludności cywilnej i niejednokrotnie pisałem o tym, że masakra na polskiej ludności Wołynia z 1943 roku, dokonana przez UPA, może być analitycznie opisana jako „ludobójstwo" (warto tu pamiętać, że w literaturze naukowej istnieją liczne, czasami sprzeczne definicje genocydu). Jeśli chodzi o badania historyczne, wciąż wiemy zbyt mało o samej zbrodni i jej kontekstach. Wymaga ona dalszych poważnych badań, zarówno lokalnych, jak i porównawczych. Ogólnie rzecz biorąc, jest to temat nie tylko historii polsko-ukraińskiej, ale jeden z wciąż najmniej znanych przypadków masowej przemocy wobec ludności cywilnej w czasie II wojny światowej.

Wracając do „wojny o pamięć", wydaje mi się ważne, aby zachować analityczne podejście do obu społeczeństw. Jednocześnie zrozumienie asymetrii w postrzeganiu historii oraz specyfiki kontekstowej obu krajów nie powinno wykluczać wzajemnego szacunku. Muszę przyznać, że wiosną 2022 roku, kiedy często bywałem w Warszawie, uderzał mnie (ale też budził niepokój) nadmierny „optymizm pojednania". W tym masowe odejście od utrwalonego w języku polskim zwrotu „na Ukrainie" czy nawet przemianowanie w wagonach restauracyjnych Wars „pierogów ruskich" na „pierogi galicyjskie". A teraz w miejsce nadmiernego entuzjazmu pojawiły się emocje i agresja. Jedno-

fbb6fb8ff4

cześnie dostrzegam niebezpieczne tendencje w obu krajach: w Polsce straszne doświadczenia rzezi wołyńskiej coraz częściej stają się uzasadnieniem ksenofobii wobec dzisiejszych Ukraińców. Natomiast w Ukrainie nierzadko spotyka się złudne podejście, zgodnie z którym heroizacja Bandery i UPA rzekomo nie ma żadnych kontrowersyjnych konotacji.

Innymi słowy, dostrzegam pewne zagrożenia dla demokratycznego rozwoju obu społeczeństw. Widzę też to, o czym wspomniałem w przytoczonym przez Pana cytacie: dwóm europejskim sąsiadom nadal brakuje jasnej, pragmatycznej wspólnej wizji przeszłości. Być może właśnie dlatego te same pierogi w obecnym menu Warsa noszą nazwę: „Pierogi z serem, ziemniakami i rumianą cebulą".

Zgadzam się. Bo dajmy na to, w polskiej narracji historycznej nie wspomina się o ukraińskich krytykach nacjonalizmu stworzonego przez Dmytra Doncowa, którzy od lat trzydziestych dyskutowali zarówno z nim, jak i ze Stepanem Banderą. Może Pan Profesor opowiedzieć o ich działalności?

Tak, mam w planach napisać obszerny artykuł o ukraińskich krytykach radykalnego nacjonalizmu ukraińskiego. Przede wszystkim powiem jasno: utożsamianie całego ukraińskiego ruchu politycznego z „banderowcami", a tym bardziej nazywanie wszystkich osób posługujących się językiem ukraińskim „banderowcami" – to ulubiony motyw propagandy sowieckiej, a później rosyjskiej. I faktycznie rozpowszechniają go również ci ukraińscy politycy lub dziennikarze, którzy obecnie dążą do podtrzymania mitu Bandery, w szczególności w odpowiedzi na polskie roszczenia. W rzeczywistości Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (utworzona w 1929 roku) nigdy nie była jedyną ukraińską siłą polityczną. A nacjonalistyczne teksty Dmytra Doncowa (nawiasem mówiąc, emigranta z Imperium Rosyjskiego, urodzonego w obecnie okupowanym Melitopolu) w okresie międzywojennym były krytykowane przez różne ukraińskie środowiska. Pojawiała się krytyka z lewej strony, to jest ze strony ukraińskich socjalistów. Autorzy tacy jak Karlo Koberskyj i Wołodymyr Lewyńskyj otwarcie pisali o niepokojących antydemokratycznych tendencjach ideologii Doncowa oraz o jej podobieństwie do niemieckiego narodowego socjalizmu. Pojawiła się również wpływowa krytyka z prawej strony. Filozof polityczny Wjaczesław Łypyńskyj zdecydowanie odrzucał niemoralność Doncowa. Sam pochodzący z polskiej szlachty, który świadomie opowiedział się za ukraińską tożsamością – Łypyńskyj bronił politycznego, inkluzywnego rozumienia narodu ukraińskiego. Pojawiła się również krytyka ze strony środowiska Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, który kategorycznie potępiał terrorystyczne metody walki OUN. Krytyka płynęła także ze strony Mileny Rudnickiej, przewodniczącej Związku Ukrainek, która na przykład w 1937 roku pisała o „szczególnym

eprasa.pl

zagrożeniu ze strony totalnych, wykluczających ruchów", zwłaszcza dla emancypacji kobiet.

Po II wojnie światowej metody stosowane przez OUN pod przewodnictwem Bandery (a organizacja ta podzieliła się w 1940 roku) krytykowali zarówno przedstawiciele drugiej frakcji OUN – na czele z Andrijem Melnykiem – jak i ukraińscy intelektualiści o poglądach liberalnych lub konserwatywnych (w duchu Łypyńskiego). W tym kontekście można wymienić takie nazwiska jak Wasyl Rudko, Jurij Szewelow, Omelan Pricak i inni. Borys Krupnyckyj, historyk emigrant w Niemczech Zachodnich, pisał w 1947 roku o niebezpieczeństwach współczesnego nacjonalizmu: o cynicznej postawie polegającej na tym, by „nie kochać tego, co własne, a nienawidzić tego, co obce", oraz o niedopuszczalnym traktowaniu kultury wyłącznie jako środka do osiągnięcia celów politycznych. Krupnyckyj przypominał: „Prawdziwa atmosfera kulturowa w warunkach braku krytycyzmu i ślepego posłuszeństwa ulega zawężeniu, a nawet całkowicie zanika". Moim zdaniem warto i dziś wsłuchać się w te słowa. I to nie tylko Polakom i Ukraińcom.

Jerzy Giedroyc uważał, że trzeba wspierać Ukrainę, Litwę, Białoruś. W ten sposób powstała polityka ULB paryskiej „Kultury". Redaktor zerwał z myśleniem o Polsce wciśniętej między Rosję a Niemcy. Giedroyc jako pierwszy powiedział, że to nie Rosja jest sąsiadem Polski, lecz sąsiadami są Ukraina, Litwa i Białoruś. I na tym polegał dokonany przez Giedroycia przewrót kopernikański w polskim myśleniu o geopolityce. Rewolucją było też wezwanie, byśmy uczyli się Ukrainy, jej aspiracji, jej kultury i tożsamości. W ten sposób dochodzimy do *Deklaracji w sprawie ukraińskiej*, która powstała z inicjatywy środowiska Maisons-Laffitte w 1977 roku („Kultura" nr 5/356), gdzie nie tylko wspominano aspiracje niepodległościowe, ale i przewiny polskiego imperializmu wobec ukraińskiego sąsiada.

Jeśli mówimy o Giedroyciu, chciałbym przytoczyć jego odpowiedzi na ankietę dotyczącą stosunków polsko-ukraińskich, udzielone dla ukraińskiego czasopisma emigracyjnego „Widnowa", które ukazywało się w Monachium. Tak więc jesienią 1985 roku wyraził on swoje głębokie przekonanie, że „stosunki polsko-ukraińskie mają decydujące znaczenie dla przyszłego losu Europy Wschodniej i Środkowej". W tym samym miejscu, zwracając się do ukraińskiej społeczności, Giedroyc wyraźnie stwierdził, że jedną z przeszkód w normalizacji stosunków polsko-ukraińskich „jest brak jakichkolwiek gestów czy inicjatyw ze strony ukraińskiej". Miał moralne prawo do takiego stwierdzenia, choćby dlatego, że to właśnie on pod koniec lat pięćdziesiątych był inicjatorem wydania antologii współczesnej literatury ukraińskiej. Licząca prawie tysiąc stron książka pod tytułem *Rozstrzelane Odrodzenie* została wydana w języku ukraińskim w Instytucie Literackim w Paryżu.

fbb6fb8ff4

Nawiasem mówiąc, Giedroyc planował opublikować podobną antologię literatury białoruskiej, ale nie udało mu się uzgodnić tego z białoruską emigracją.

W tej samej ankiecie – przypominam, był to rok 1985 – Giedroyc podkreślił wyjątkowe znaczenie dogłębnej analizy takiego tematu, jak „polsko-ukraińskie stosunki gospodarcze w przyszłości". Moim zdaniem Jerzy Giedroyc był prawdziwym wizjonerem. Na współczesnej polsko-ukraińskiej scenie polityczno-intelektualnej nie dostrzegam postaci o podobnej randze. Być może właśnie dlatego wspomniane już przez nas nadrzędne zadanie pozostaje nadal otwarte: dostrzeżenie i urzeczywistnienie racjonalnego wspólnego interesu dwóch europejskich państw i społeczeństw.

Emisariuszem spraw ukraińskich stał się Bohdan Osadczuk, który należał do grona najbliższych współpracowników Redaktora. Przypomnijmy jego postać. Osadczuk był z perspektywy Giedroycia współpracownikiem idealnym. Mieszkał w Berlinie Zachodnim i był dla „Kultury" przewodnikiem po świecie emigracji ukraińskiej oraz ambasadorem Giedroycia wśród ukraińskiej diaspory. W przeciwieństwie do wielu emigrantów Osadczuk przekraczał niewidzialne mury getta emigracji wschodnioeuropejskiej, pisząc i ucząc, oddziaływał na zachodnioeuropejską opinię publiczną. Jak postrzega Pan postać „ukraińskiego korespondenta"?

Skoro już wspomnieliśmy o Bohdanie Osadczuku, to mamy jeszcze jednego konsekwentnego krytyka Doncowa i Bandery. Dla mnie historia Osadczuka, który regularnie pisał nie tylko do „Kultury", ale także do „Neue Zürcher Zeitung", stanowi pewną próbę intelektualnego wyobrażenia trójkąta potencjalnej współpracy geopolitycznej: Polska – Niemcy – Ukraina. Chociaż sam Osadczuk w jednym z artykułów twierdził, że historycznie zarówno dla Rosji, jak i dla Niemiec konflikty polsko-ukraińskie były „narzędziem realizacji własnych imperialistycznych interesów".

Niedawno miałem okazję zapoznać się z odtajnioną sprawą KGB dotyczącą Osadczuka (przechowywaną w kijowskim Archiwum Służby Wywiadu Zagranicznego Ukrainy). Od sowieckich organów Osadczuk otrzymał kryptonim „Kret". W tej sprawie, nawiasem mówiąc, szereg dokumentów dotyczy skoordynowanych prób zwerbowania go przez KGB i Służbę Bezpieczeństwa PRL. Nawet jesienią 1990 roku, kiedy przyjechał do Kijowa, praktycznie na krótko przed ogłoszeniem niepodległości Ukrainy, KGB bacznie go obserwowało. Można powiedzieć, że była to również pewna forma uznania.

Podczas swojego pontyfikatu Jan Paweł II konsekwentnie wspierał pojednanie polsko-ukraińskie. Jego wizyta z 2001 roku w Kijowie i Lwowie miała ogromne znaczenie zarówno dla Kościoła, jak i dla budowy nowych relacji polsko-ukraińskich. Dość

eprasa.pl

szybko po wyborze papież Polak odwiedził ukraińskie wspólnoty w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, co pokazuje jego konsekwencję w działaniach na rzecz dialogu. Nie zapominajmy też o jego roli w konflikcie przemyskim w 1991 roku (sprawa katedry obrządku greckokatolickiego). Jaka jest ukraińska pamięć tego pontyfikatu w kontekście politycznym?

Zacznę od tego, że w niedawno wydanej książce niemieckiego historyka Franka Böscha *Zeitenwende 1979* przedstawiono tezę, że to właśnie w 1979 roku miały miejsce wydarzenia, które ukształtowały współczesny świat. Historyk analizuje dziesięć wydarzeń – od rewolucji irańskiej po sowiecką inwazję na Afganistan – a jeden z rozdziałów poświęcony jest wizycie papieża Jana Pawła II w Polsce. Moim zdaniem jest to bardzo trafna i słuszna ocena znaczenia tej pielgrzymki oraz jej konsekwencji.

Jeśli mowa o Ukrainie, rzeczywiście przełomowym wydarzeniem 1989 roku było przywrócenie legalnej działalności Kościoła greckokatolickiego. Został on zlikwidowany przez reżim stalinowski w 1946 roku, ale nadal działał w podziemiu. Nawiasem mówiąc, w tym samym czasie, pod koniec lat osiemdziesiątych, przy wsparciu papieża toczyły się polsko-ukraińskie rozmowy historyczne na temat dziedzictwa Rzeczypospolitej. Ze strony ukraińskiej znaczącą rolę odegrał wspomniany już przeze mnie Omelan Pricak – dyrektor i założyciel Ukraińskiego Instytutu Naukowego na Uniwersytecie Harvarda. A w zorganizowaniu pierwszej audiencji Pricaka u papieża pomógł mu jego wieloletni polski przyjaciel, z którym w okresie międzywojennym wspólnie uczyli się w gimnazjum w Tarnopolu – kardynał Władysław Rubin.

Zatem znaczenie postaci Jana Pawła II dla stosunków polsko-ukraińskich nie ulega wątpliwości. Chciałbym jednak podkreślić, że większość Ukraińców to prawosławni. Co więcej, w kraju tym do dziś trwa rywalizacja między różnymi kościołami prawosławnymi. Jest to niezwykle interesująca i złożona kwestia, która wymagałaby odrębnej dyskusji.

Jacek Kuroń – przyjaciel Ukraińców, zwolennik polsko-ukraińskiego dialogu oraz prawa do własnej odrębnej pamięci historycznej Ukraińców i Polaków – widział Polskę i Ukrainę razem w zjednoczonej Europie. Do końca był przykładem budowania mostów między sąsiadami. Już ciężko chory uczestniczył w rozmowach dotyczących wygaszenia konfliktu polsko-ukraińskiego wokół Cmentarza Orląt Lwowskich w 2002 roku. Nie dziwiła zatem obecność Wiktora Juszczenki, który po pomarańczowej rewolucji został prezydentem Ukrainy, na pogrzebie Kuronia w czerwcu 2004 roku. Czy pamięć dotycząca takich osób jak Kuroń – budowniczych porozumień – przetrwa w dzisiejszym świecie?

fbb6fb8ff4

Właśnie wspomniałem o „przełomowym" roku 1979. Wiosną tego samego roku Jacek Kuroń, pod wpływem paryskiej „Kultury", stwierdził: „Szowinistyczne podejście do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów oznacza zgubę dla Polski. Takie podejście skazuje nas na sąsiedztwo z Rosją". Przytaczając ten cytat, pozwoliłbym sobie na jeszcze jedną uwagę dotyczącą obecnego etapu polsko-ukraińskiego dialogu. Nie opuszcza mnie niepokojące wrażenie, że dla pewnej grupy „ekspertów" po obu stronach granicy znacznie wygodniej jest „rozmawiać" z uproszczonymi, radykalnymi głosami drugiej strony. To właśnie oni zyskują największy rozgłos. I to właśnie oni są często utożsamiani z opinią absolutnej większości społeczeństwa – polskiego czy ukraińskiego. I wtedy pojawia się wygodny dla wielu obrazek – „wszyscy" ukraińscy lub „wszyscy" polscy intelektualiści są tacy sami. Niepokoi mnie współczesne zapotrzebowanie na uproszczoną, zideologizowaną narrację oraz słabość zniuansowanych, empatycznych głosów po obu stronach. W tym kontekście marzę o spotkaniu historyków z obu krajów, którzy postawiliby sobie za cel krytyczne podejście do uprzedzeń i „prawdy objawionej" „własnej" społeczności. A także do przemijających współczesnych trendów. Wydaje mi się, że potrzebujemy świadomego dystansu wobec naszych czasów. I ciągłej pracy nad otwartością na inne poglądy.

Z dokumentów powstałych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, późniejszych wspomnień ukraińskich dysydentów oraz opublikowanych już dokumentów z archiwum KGB wiemy, że przynajmniej część ukraińskiej inteligencji bardzo uważnie śledziła kolejne przesilenia polityczne w Polsce. Trudno pojąć, jak wiele ryzykowali ukraińscy dysydenci w sowieckim świecie?

Polska prasa i polskie książki, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych i osiemdziesiątych, stanowiły dla wielu ukraińskich intelektualistów (nie tylko dysydentów) prawdziwe okno na Zachód. Pamiętam opowieści mojego nauczyciela, znakomitego historyka kultury Jarosława Isajewycza, który często wspominał, jak dzięki dozwolonym w ZSRR polskim wydawnictwom dowiadywał się o niektórych postaciach z historii Ukrainy i oglądał ich portrety. Był to więc wpływ kulturowy i polityczny wykraczający poza kręgi dysydenckie. I wpływ ten nie ograniczał się do „Solidarności". Chociaż, oczywiście, ruch „Solidarności" wywarł ogromne wrażenie na inteligencji ukraińskiej. W książce o Dnieprze – moim rodzinnym mieście, położonym na południu Ukrainy – opowiadam historię młodego dysydenta Artura Fredekinda, który pod wpływem wiadomości z Polski wykonał i wrzucił do skrzynek pocztowych ulotkę z jednym jedynym słowem: „Solidarni?". Ten znak zapytania na końcu wydaje mi się bardzo symboliczny. W realiach późnosowieckiego Dniepropietrowska słowo to oznaczało aresztowanie i skazanie za propagandę antypaństwową.

eprasa.pl

W odpowiedzi na wprowadzony w Polsce stan wojenny ukraiński miesięcznik emigracyjny „Suczasnist" (nr 12/1981) wydał oświadczenie, w pełni solidaryzując się z Polakami: „Jako najbliżsi sąsiedzi Polski Ukraińcy w sposób szczególny popierają walkę Polaków w tym ciężkim dla nich czasie. Wspólny, tragiczny los naszych narodów zobowiązuje nas do porozumienia i współpracy. Wzywamy wszystkich Ukraińców w ojczyźnie i w diasporze, by okazali wszystkimi dostępnymi im środkami solidarność z Polakami oraz stawali w ich obronie". Żadna inna emigracja wschodnioeuropejska nie wykazała tak daleko posuniętej solidarności z walczącymi Polakami.

Jeśli wspomniał Pan o emigracyjnym czasopiśmie „Suczasnist", warto przypomnieć o dwóch jego numerach w języku polskim. Te zeszyty ukazały się latem 1985 roku i zimą 1989 roku. Obecnie oba tomy stanowią rzadkość bibliograficzną i, o ile mi wiadomo, nie są dostępne w internecie. Należałoby to zmienić. W końcu można by stworzyć internetowe archiwum różnorodnych publikacji poświęconych tematyce polsko-ukraińskiej, w szczególności tych, które ukazywały się w drugim obiegu.

Skoro poruszamy temat historii dyskusji na temat stosunków polsko-ukraińskich w okresie „zimnej wojny", warto wspomnieć również o pierwszej polsko-ukraińskiej konferencji naukowej, która odbyła się w języku angielskim pod koniec lat siedemdziesiątych (czyli jeszcze przed powstaniem „Solidarności") na Uniwersytecie McMaster w Kanadzie. Jej głównym organizatorem był tamtejszy profesor nauk politycznych, pochodzący z Ukrainy Petro Potichnyj. Zbiór referatów pod jego redakcją, zatytułowany *Poland and Ukraine. Past and Present*, ukazał się drukiem w 1980 roku. Potichnyj był nie tylko naukowcem, ale także weteranem Korpusu Piechoty Morskiej z czasów wojny koreańskiej. A w 1945 roku jako czternastoletni chłopiec wstąpił do UPA. Tak więc w UPA byli różni ludzie. Ich losy potoczyły się różnie. Przypomnę, że przez pewien czas w UPA przebywał również Danyło Szumuk – wieloletni więzień sowieckich łagrów. W swoich wspomnieniach *Za wschodnim horyzontem* (*Za schidnem obrijem*), wydanych w 1974 roku, napisał między innymi szczerze o zabójstwach cywilnych Polaków na Wołyniu, dokonanych przez UPA, i jednoznacznie potępił tę zbrodnię.

W 2025 roku zainaugurowano projekt: *Nauczanie transnarodowej historii: Polska – Niemcy – Ukraina. Wspólne projekty podręcznikowe w kontekście przemian społecznych po inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 roku*. Jego celem jest opracowanie rekomendacji dotyczących polsko-ukraińskiego podręcznika do historii, a przynajmniej wspólnych materiałów dydaktycznych. Przedsięwzięcie jest realizowane przez Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk oraz

fbb6fb8ff4

Narodowy Uniwersytet „Akademia Kijowsko-Mohylańska" w Kijowie. Czy wymienione w naszej rozmowie postacie i wydarzenia mogłyby się znaleźć w przyszłym podręczniku? I co pominęliśmy?

Inicjatorami projektu są moi dobrzy koledzy. To ważna i bardzo trudna inicjatywa. Podręcznik to szczególny gatunek. Jednak marząc o publikacji dydaktycznej poświęconej historii polsko-ukraińskiej, chętnie przeczytałbym (a może nawet sam napisał) o esejach Jerzego Stempowskiego i prozie Leopolda Buczkowskiego, o muzyce Karola Szymanowskiego i jego związkach z południową Ukrainą. A także o ukraińskim profesorze Uniwersytetu Warszawskiego, Myronie Kordubie (którego wykłady wywarły wpływ na Giedroyca), o generale Szandruku, o szczególnej przyjaźni Juliana Tuwima i Jewhena Malaniuka. Oczywiście także i o tym, jak Mickiewicz wpłynął na ukraiński ruch narodowy i jak Iwan Franko pokłócił się z polskim środowiskiem z powodu artykułu (napisanego po niemiecku) o Mickiewiczu jako „poecie zdrady". Moim zdaniem nie należy omijać trudnych, bolesnych kwestii. Nie warto pozostawiać ich propagandowym, uproszczonym narracjom. Zwracanie na nie uwagi jest również przejawem szacunku zarówno wobec nas samych, jak i naszych partnerów, a także wobec przeszłości w całej jej złożoności.

Andrij Portnow jest profesorem historii, pracuje w Instytucie Pileckiego w Warszawie; członek Ukraińskiego PEN Clubu oraz Viadrina Centre for Polish and Ukrainian Studies we Frankfurcie nad Odrą. Ukończył Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, po czym w roku 2005 obronił we Lwowie doktorat o emigracji ukraińskiej w Polsce międzywojennej. Od 2012 roku mieszka i wykłada w Niemczech. Autor ponad dziesięciu książek, w tym wydanego przez Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie eseju *Polska i Ukraina: wspólna historia, asymetryczna pamięć* (w wolnym dostępie: https://cbh.pan.pl/sites/default/files/download/A_Portnov_Polska%20i%20Ukraina%20Warszawa_Berlin_2023.pdf).

eprasa.pl

Powrót do badań podstawowych

Z prof. Igorem Hałagidą, historykiem z Uniwersytetu Gdańskiego, który kieruje projektem identyfikacji ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego z lat 1939–1947, rozmawia Ireneusz Dańko

IRENEUSZ DAŃKO: Historycy polscy i ukraińscy przedstawiają inaczej wydarzenia, które w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu miały miejsce na Wołyniu i na terenach sąsiednich. Dlaczego tak trudno ustalić wspólną interpretację, a nawet fakty?
PROF. IGOR HAŁAGIDA: W Polsce i w Ukrainie mamy różne spojrzenie na wiele kwestii historycznych, nie tylko na zbrodnię wołyńską. Wokół tego tematu panują jednak szczególnie duże emocje po jednej i po drugiej stronie. Nie brak ich także wśród zawodowych historyków. Osobiście jestem sceptykiem, czy w najbliższych latach dojdzie do zbliżenia stanowisk. Pamiętajmy, że historia to przede wszystkim nasze wyobrażenie o przeszłości. Tak zwanej prawdy historycznej nie jesteśmy w stanie nigdy w stu procentach ustalić.

Pana projekt przybliża nas do jej poznania?

Chciałbym w to wierzyć. Jeżeli coś może jednoczyć – to pamięć o tych, którzy stracili życie. Sam pomysł powstał, bo od jakiegoś czasu nie widziałem szans na zbliżenie stanowisk historyków w sprawie wydarzeń sprzed osiemdziesięciu lat. Zaproponowałem więc powrót do badań podstawowych, kwerendy źródłowej, do tego wszystkiego, co jest żmudną pracą i nie przynosi od razu spektakularnych sukcesów, ale może przydać się przyszłym pokoleniom. Ogólnie mówiąc, chodzi o zmianę paradygmatu. Polsko-ukraiński spór historyczny sprowadza się dotąd w zasadzie do tego, kto zaczął krwawy konflikt i kto jest bardziej winny. Mój zespół badawczy skupił się natomiast na ofiarach – polskich i ukraińskich. Staramy się ustalić ich nazwiska, by oddać hołd i ocalić od zapomnienia, zgodnie z przesłaniem duchowego patrona projektu, arcybiskupa Borysa Gudziaka, założyciela Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie i greckokatolickiego metropolity Filadelfii. Jego słowa nie przypadkiem otwierają każdy tom, w którym publikujemy listy zabitych osób. Sednem jest bowiem założenie, że wszystkie ofiary są nasze, niezależnie od narodowości, i żadnej nie powinniśmy pominąć. Naszym obowiązkiem jako historyków, ale też chrześcijan czy po prostu ludzi kieru-

fbb6fb8ff4

jących się etyką, jest pamiętać o każdym człowieku, który poniósł śmierć.

Projekt pod patronatem lwowskiej uczelni ruszył w 2018 roku. Prace finansuje prywatna amerykańska fundacja Ukrainian Studies Fund. Dlaczego nie uczestniczy w nim polski i ukraiński IPN?

Bo, szczerze mówiąc, nie były zainteresowane. UIPN to niewielka instytucja, która nie ma ani kadr, ani funduszy, by w takim projekcie uczestniczyć. IPN z kolei dwukrotnie odrzucał oficjalne propozycje środowisk ukraińskich w Polsce, by prowadzić identyfikację wszystkich ofiar – polskich i ukraińskich. W sumie jednak chyba dobrze, że tak się stało. Dzięki temu, że nie jesteśmy afiliowani przy żadnej instytucji państwowej, nie można postawić nam zarzutu upolitycznienia. Dla mnie osobiście bardzo ważne jest też to, że uczestniczą w nim historycy z Ukrainy.

Po ośmiu latach zakończyliście pierwszy etap prac. Efektem są trzy tomy z nazwiskami ukraińskich ofiar. Dlaczego zaczęliście od nich, a nie od Polaków, których zginęło znacznie więcej?

Z prostej przyczyny. W polskiej historiografii powstawały już wcześniej listy ofiar ukraińskich nacjonalistów. Znam kilkanaście takich opracowań – różnej wartości, o różnej podstawie źródłowej. W Ukrainie podobnych projektów właściwie nie było. Jeśli coś robiono, to w bardzo wąskim zakresie z inicjatywy lokalnych historyków amatorów czy krajoznawców. Chcieliśmy nadrobić stracony czas. Wspomniane tomy (a przygotowywane są kolejne) są czymś w rodzaju symbolicznego pomnika. Nie przypadkiem okładki książek nawiązują wyglądem do nagrobnych postumentów.

Jak ustalacie tożsamość ofiar?

Metodologia nie jest odkrywcza. Zbieramy informacje ze wszelkich dostępnych źródeł i opracowań, po czym je krzyżujemy. Przeglądamy między innymi dawną prasę, nekrologi, dokumenty polskiego i ukraińskiego podziemia, akta sądowe czy archiwa różnych władz, które działały na danym terenie w interesującym nas okresie. Szczególnie cennym źródłem są księgi metrykalne, których dotąd raczej nie badano pod tym kątem. Księża – różnych obrządków – zapisywali w nich nie tylko personalia zabitych osób, ale też okoliczności ich śmierci i to, kim byli sprawcy zbrodni. W Polsce dostęp do takich dokumentów jest utrudniony ze względu na przepisy o ochronie danych osobowych. W Ukrainie łatwiej pokonać bariery administracyjne, by móc legalnie przeglądać archiwalne metryki wiernych prawosławnych czy katolickich parafii. W ten sposób znaleźliśmy wiele nazwisk ofiar i szczegółowych opisów wydarzeń znanych z innych źródeł. Prócz tego prowadzimy też coś w rodzaju badań terenowych w miejscowościach, w których doszło do zbrodni. Niestety upływ czasu i biologia zrobiły swoje

eprasa.pl

i zdecydowana większość świadków już nie żyje. Relacje mamy zwykle z drugiej ręki – od krewnych dalszych i bliższych. Staramy się również rozpytywać miejscowych historyków, duchownych czy działaczy społecznych, którzy mogą coś wiedzieć. Czasem na cmentarzach znajdujemy nagrobki z nazwiskami i datą śmierci ofiar. Wszystkie informacje gromadzimy w naszej bazie danych, aby maksymalnie zagęścić źródła i je zweryfikować. Każdy „rekord" oznacza jedną osobę, ma ponad dwadzieścia rubryk, w których zapisujemy między innymi: imię, nazwisko, wyznanie, miejsce urodzenia i śmierci, wiek, zawód, sprawcę zabójstwa, jeśli jest on znany. Staramy się być maksymalnie skrupulatni. Wątpliwe przypadki wykluczamy z publikacji. Na przykład z okupacyjnego dystryktu lubelskiego mieliśmy początkowo ponad siedem tysięcy ukraińskich „rekordów", ale po weryfikacji ich liczba spadła do niespełna pięciu tysięcy.

Od dwóch lat ustalacie i spisujecie nazwiska Polaków, którzy zginęli z rąk Ukraińców. Czym ta praca różni się od poprzedniej?

Metodologia pracy jest identyczna. W przypadku polskich ofiar musimy jedynie poświęcić więcej czasu na weryfikację tego, co już zostało napisane i upublicznione. Ubiegły rok spędziłem między innymi nad dokumentami Rady Głównej Opiekuńczej, która niosła pomoc mieszkańcom Wołynia i Galicji Wschodniej. Osobiście wpisałem do naszej bazy dotychczas ponad trzy tysiące nazwisk. W niektórych publikacjach ci sami ludzie figurują dwa, a nawet trzy razy na listach ofiar, bo mają zmienioną jedną literę w nazwisku. Dopiero z kontekstu wynika, że chodzi o tego samego człowieka.

W ustaleniu ofiar pomogą zapewne ekshumacje, które wznowiono w Ukrainie, a także zapowiadane przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego udostępnienie całości dokumentów Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i Służby Wywiadu Zagranicznego Ukrainy dotyczących zbrodni wołyńskiej.

Ekshumacje z pewnością uzupełnią nasze ustalenia, ale ich opracowanie jest poza zakresem projektu, ponieważ nie posiadamy do tego ani kompetencji, ani prawa. Tym zajmują się – i słusznie – odpowiednie agendy na szczeblu międzypaństwowym. Natomiast jeżeli chodzi o zapowiadane otwarcie archiwów, to nie wiem, o jakie chodzi. Większość z nich od lat jest dostępna dla historyków, a w tych, które nie są – chociażby Archiwum Służby Wywiadu Zagranicznego Ukrainy – są oczywiście rewelacyjne materiały, ale nie odnoszą się one do tych kwestii, którymi zajmujemy się w projekcie.

Ile ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego udało się dotąd ustalić?

Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że liczby nie są dla nas najistotniejsze. Tak jak mówiłem, koncentrujemy uwagę na personaliach. Historyczna statystyka jest poniekąd „produktem ubocznym", który

fbb6fb8ff4



Archiwum prywatne

Staram się wypośrodkować opinię. Być może jako polski historyk ukraińskiego pochodzenia potrafię lepiej rozumieć sposób myślenia i narrację jednej i drugiej strony.

siłą rzeczy musi się pojawiać w naszym projekcie. Na całym pograniczu polsko-ukraińskim, do którego zaliczam Wołyń, Podole, Galicję Wschodnią i południowo-wschodnie tereny współczesnej Polski, ustaliliśmy około 20 tysięcy Ukraińców, którzy zginęli z rąk polskich, tj. podziemia, wojska, milicji czy różnych samoobron. Kolejne około 10 tysięcy osób to ofiary Polaków służących w oddziałach pod komendą niemiecką i sowiecką. Ponad dwie trzecie z tych wszystkich osób udało się nam ustalić z imienia i nazwiska.

Polskich ofiar było kilka razy więcej.

Niewątpliwie. Polacy mieszkający na wschodnich terenach przedwojennej Polski byli po prostu słabszą stroną. Dotyczy to, oczywiście, ogólnych obrachun-

eprasa.pl

ków, bo jeśli spojrzymy na poszczególne rejony i okresy, to proporcje wyglądają różnie. Na samym Wołyniu zdecydowanie dominują polskie ofiary, ale już na terenie dzisiejszej Polski śmierć zgarnęła większe żniwo wśród Ukraińców.

Jaką liczbę polskich ofiar uznaje Pan za najbardziej wiarygodną?

Na razie trudno powiedzieć. Przed nami jeszcze mnóstwo pracy. Szacunki, które od lat krążą w polskiej przestrzeni publicznej, wydają się mocno przesadzone. IPN podawał niedawno, że na całym pograniczu z rąk Ukraińców zginęło 135 tysięcy Polaków. Czasem słyszy się nawet o 200 tysiącach ofiar zbrodni wołyńskiej, ale to już są zupełne bajki. W głównym nurcie historiografii padają liczby od 80 tysięcy do 100 tysięcy. Nie są one jednak ustalone w sposób źródłowy. Autorzy klasycznego opracowania na ten temat, Ewa i Władysław Siemaszkowie, piszą, że na samym Wołyniu ukraińscy nacjonaliści zamordowali około 60 tysięcy osób. Swoje wyliczenia oparli głównie na wspomnieniach ocalałych osób i krewnych ofiar. Te relacje są cennym źródłem historycznym, ale mocno subiektywnym, tym bardziej że zbierano je kilkadziesiąt lat po opisywanych zdarzeniach. U Siemaszków brakuje krzyżowego porównania różnych źródeł, które ograniczyłyby błędy. Z imienia i nazwiska podają 22–23 tysięcy zabitych mieszkańców Wołynia. Z grubsza można przyjąć te dane, choć zdarzają się pomyłki i powtórzenia. Jeśli dodamy osoby, których zabójstwa są udokumentowane, ale nie została ustalona ich tożsamość, to liczba ofiar może wzrosnąć do 35 tysięcy. Byli też zapewne ludzie (może nawet parę tysięcy), których śmierci nie uchwyciły żadne źródła historyczne. Jednak nawet jeśli ich uwzględnimy, to nie osiągniemy liczby 60 tysięcy ofiar na Wołyniu, o których piszą Siemaszkowie. W przypadku Galicji Wschodniej sytuacja jest jeszcze gorsza – w podawanych szacunkach niekiedy pojawiają się liczby wzięte z kosmosu. Tomasz Bereza w jednym ze swych ostatnich artykułów naukowych napisał, że „szacunki strat zamykają się w przedziale od 20 tysięcy do 110 tysięcy". Taka rozpiętość pokazuje, że tak naprawdę można wpisać każdą liczbę i będzie to przyjęte. Już sam ten fakt jest porażką polskich i ukraińskich środowisk historycznych.

Wielu Ukraińców zginęło z rąk ukraińskich nacjonalistów za pomoc polskim sąsiadom.

To prawda, ale trudno ich uznać za polskie ofiary. Nie zajmujemy się nimi obecnie w ramach naszego projektu. Nie mamy tylu sił i środków (proszę pamiętać, że jest nas raptem pięć–sześć osób). Jedynie w tomie dotyczącym terenów powojennej Polski udało się wyodrębnić materiały z kilkuset nazwiskami Ukraińców zabitych przez ukraińskie podziemie. Na Wołyniu i w Galicji Wschodniej takich osób było co najmniej kilkanaście tysięcy. Mam nadzieję, że w przyszłości powstanie taka lista, bo te ofiary też zasługują na pamięć.

fbb6fb8ff4

Profesorowie Grzegorz Motyka i Jan Pisuliński, znawcy stosunków polsko-ukraińskich w XX wieku, wytykają Panu błędy metodologiczne i ignorowanie niektórych źródeł, czego wynikiem ma być między innymi zawyżenie liczby ukraińskich ofiar.

Znamy się niemal trzydzieści lat, szanuję ich dorobek naukowy, ale nie zgadzam się z krytyką. Tym bardziej, że niekiedy jest ona po prostu nieuczciwa i wykracza poza akademickie standardy. Pracując nad naszym projektem, korzystamy ze wszelkich znanych źródeł i opracowań (także wspomnianych historyków). Znacznie poszerzamy też przy tym źródłową bazę. Nasze podejście metodologiczne uważam za bardziej rzetelne niż Siemaszków, którzy wszystkich Polaków zabitych przez Ukraińców przedstawiali jako ofiary ukraińskich nacjonalistów, bez względu na to, czy sprawcami byli członkowie OUN/UPA, schutzmanni (funkcjonariusze niemieckiej policji pomocniczej), żołnierze SS-Galizien, komuniści czy zwykli chłopi podburzeni przez sowieckie władze. Wspomniani historycy ignorują to i powołują się na liczby występujące u Siemaszków. My opisujemy dokładnie każdy przypadek, aby czytelnik sam zdecydował, do jakiej kategorii zaliczyć sprawców i ofiary. Niektóre zdarzenia – po dokładnym zbadaniu źródeł – wyglądają inaczej, niż je dotychczas opisywano. Tak było na przykład w przypadku mordu na mieszkańcach polskiej kolonii Sławentyn w województwie tarnopolskim. Większość przekazów historycznych mówi, że nocą z 17 na 18 września 1939 roku bojówka OUN zabiła tam do osiemdziesięciu pięciu osób. Po sprawdzeniu księgi metrykalnej okazało się, że zginęło trzydzieści pięć. Miejscowy proboszcz rzymskokatolicki spisał nazwiska ofiar. Nie zostały zabite przez OUN, lecz ukraińskich chłopów, których po ataku na Polskę sowieckie dowództwo wezwało do rozprawy z „polskimi panami". Błąd w liczbie ofiar wynikał zapewne stąd, że ktoś w późniejszym dokumencie lub opracowaniu trójkę przerobił na ósemkę. Osobiście bardzo ważne jest dla mnie doprecyzowanie sprawców zbrodni, bo to wiele mówi też o ofiarach i przebiegu konfliktu. Profesor Motyka zarzuca mi na przykład, że w publikowanych listach uwzględniam Ukraińców zabitych przez Polaków służących w policji pod niemiecką komendą. Sam jednak uwzględnia w opisach konfliktu polsko-ukraińskiego zabójstwo kilkuset polskich mieszkańców Huty Pieniackiej przez Ukraińców z 4. Pułku Policyjnego SS pod komendą niemiecką.

W Polsce uznaje się masowe mordy na ludności polskiej z Wołynia i sąsiednich terenów za czystkę etniczną i ludobójstwo. Ukraińscy historycy, z nielicznymi wyjątkami, jak na przykład profesor Jarosław Hrycak z Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie, odrzucają takie podejście. Były szef ukraińskiego IPN Wołodymyr Wjatrowycz mówi o tragicznej wojnie polsko-ukraińskiej,

eprasa.pl

podczas której zbrodni – na mniejszą i większą skalę – dokonywały obie strony konfliktu. Które stanowisko jest Panu bliższe?

Staram się wypośrodkować opinię. Być może jako polski historyk ukraińskiego pochodzenia potrafię lepiej rozumieć sposób myślenia i narrację jednej i drugiej strony. Zbrodnia wołyńska była niewątpliwie wynikiem konfliktu polsko-ukraińskiego, który nasilał się od końca XIX wieku i wszedł w najbardziej tragiczną fazę podczas II wojny światowej. Czytając o tym, co władze II RP wyprawiały z Ukraińcami, trudno nie zauważyć, że nienawiść miała podłoże, aby bujnie wyrosnąć. Wystarczy wspomnieć, że w 1938 roku (niespełna rok przed wybuchem wojny!) podczas kolejnej brutalnej pacyfikacji kilkudziesięciu ukraińskich wsi w Galicji Wschodniej polskie wojsko wyciągało z domów ludzi, rozbierało do naga i katowało. Ukraińska pisarka i działaczka społeczna Iwanna Błażkewycz otrzymała sto dwadzieścia uderzeń kijem, miała połamane liczne kości, nigdy już nie wróciła w pełni do zdrowia. To oczywiście nie usprawiedliwia późniejszych zbrodni, ale sporo tłumaczy, jak wyglądały ówczesne relacje polsko-ukraińskie i czym były spowodowane. A w warunkach wojny, codziennego obcowania ze śmiercią, życie ludzkie też straciło na wartości. Nawet wtedy jednak nie musiało dojść do masakry polskiej ludności. Nie mam wątpliwości, że decyzję o wymordowaniu Polaków na Wołyniu podjęto w banderowskiej frakcji OUN, choć nie znaleziono dotąd żadnego dokumentu, który wprost wyglądałby na tak wydany rozkaz. Osobiście unikam używania pojęcia „ludobójstwo", które jest terminem ściśle prawniczym. Jako historyk wolę mówić o zbrodniczej czystce etnicznej, której ofiarą padła polska ludność na wschodnich terenach przedwojennej Polski. Przy prawnej ocenie tamtych wydarzeń istotna jest intencja, którą kierowali się sprawcy masowych mordów. Z takiej perspektywy zbrodnia wołyńska miała niewątpliwie ludobójczy charakter. Pytanie tylko, jak w tym kontekście potraktować to, co wiosną 1944 roku wydarzyło się w powiecie hrubieszowskim, gdzie oddziały AK w ciągu kilkunastu dni zaatakowały co najmniej trzydzieści pięć ukraińskich wsi, zabijając ponad 2,5 tysiąca osób.

Polscy historycy nie kryją, że dochodziło do ataków na ukraińskie wioski, w trakcie których ginęła także cywilna ludność, w tym kobiety i dzieci. Były to jednak zwykle akcje odwetowe i wyprzedzające na bazy działalności UPA. W żadnym wypadku Komenda Główna AK nie nakazywała mordowania niewinnych cywili. Wręcz przeciwnie – potępiała.

To prawda, że te decyzje o atakach podjęło lokalne dowództwo AK, a nie najwyższe kierownictwo. Nie rozumiem jednak określeń „akcje odwetowe" czy „wyprzedzające" (gdy chronologia przeczy logice odwetu). Osoby ich używające nie powinny więc oburzać się na stosowany w Ukrainie termin „Wołyńska Tragedia".

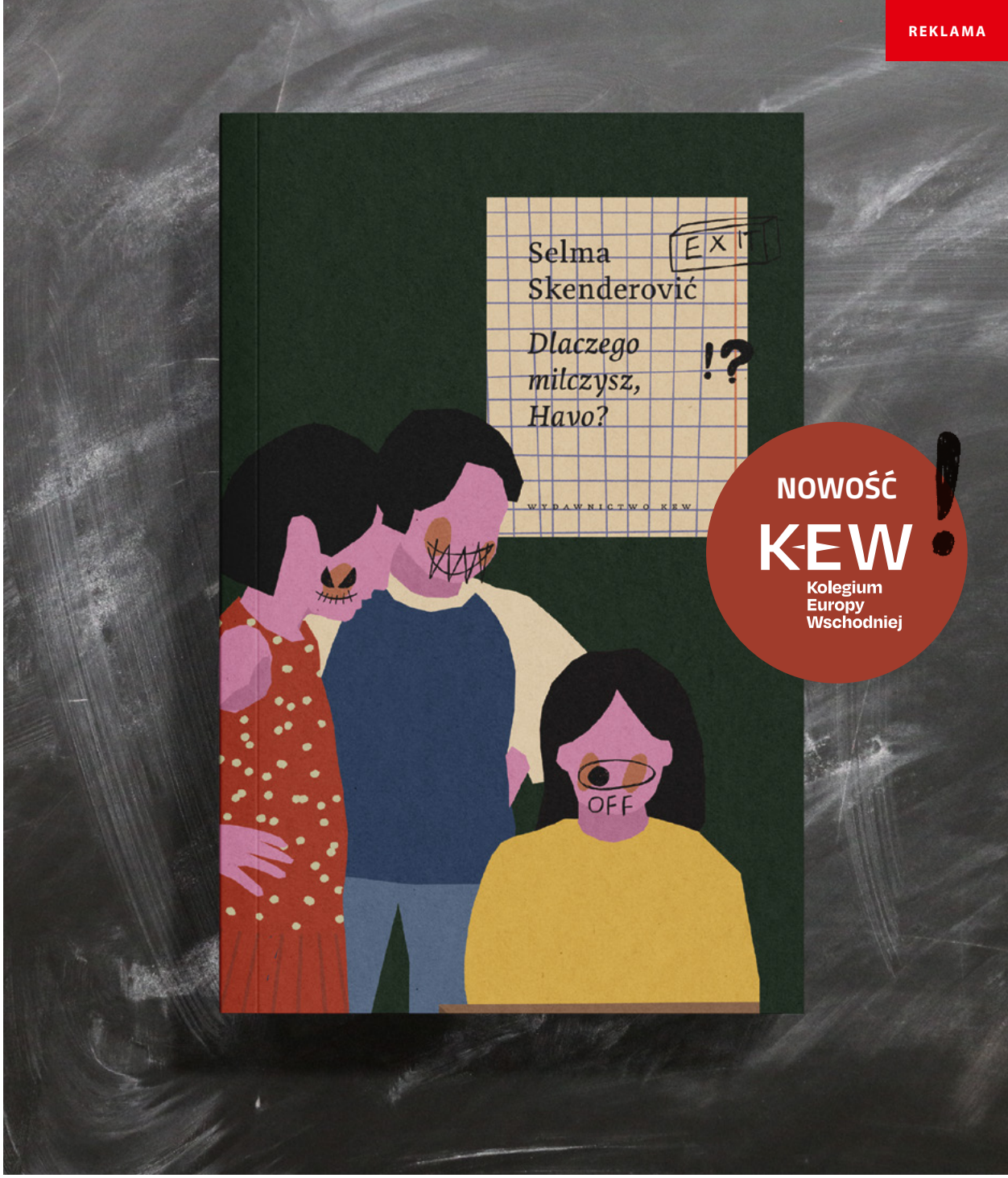
fbb6fb8ff4

Postulowałbym raczej w opisie wydarzeń stosowanie pojęć z podobnych światów. Zamordowanie mieszkańców ukraińskich wsi Sahryń czy Pawłokoma było zbrodniami. Zastanawiam się nawet, czy w sensie prawnym nie można w przypadku pierwszej z nich użyć terminu „ludobójstwo", skoro organizatorom chodziło o likwidację jak największej liczby osób narodowości ukraińskiej. Taki zarzut, w pierwszym odruchu, Komenda Obwodu AK postawiła dowódcy akcji Stefanowi Kwaśniewskiemu na wieść, co tam się stało (Kwaśniewski wspomina o tym w swych niepublikowanych wspomnieniach). Ale znów rozmawiamy o przebiegu wydarzeń i sprawcach, a w centrum tej dyskusji przecież powinny być ofiary.

Prof. Igor Hałagida jest historykiem, pracuje na Uniwersytecie Gdańskim. W latach 2001–2018 pracownik naukowy Instytutu Pamięci Narodowej. Specjalizuje się w najnowszej historii Polski ze szczególnym uwzględnieniem relacji polsko-ukraińskich w XX wieku. Członek Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego i Związku Ukraińców w Polsce. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za „zasługi w upamiętnianiu historii Polski".

eprasa.pl fbb6fb8ff4

REKLAMA



Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

bb6fb8ff4

W numerze między innymi:

O Kirgistanie, który ponownie wchodzi na ścieżkę autorytaryzmu, pisze **MIŁOSZ SZYMAŃSKI**: „Czy Kirgizi będą gotowi na czwartą rewolucję, która obali kolejnego autokratę? Jeśli gospodarka będzie się rozwijać, a płace rosnąć, to Dżaparowowi może się udać scementować władzę. Sytuacja gospodarcza kraju pozostaje zależna od rosyjskiej, a Rosja jest głównym – obok Chin – partnerem handlowym i źródłem niemal całego importu paliw i zbóż".

IRENEUSZ DAŃKO kreśli portret Kseni Sobczak: „W putinowskiej Rosji można rozwijać medialny biznes i pławić się w luksusie mimo obyczajowych skandali, głoszenia liberalnych poglądów i krytyki (umiarkowanej) władz, a nawet wojny w Ukrainie. Warunek jest jeden: trzeba nazywać się Ksenia Sobczak".

MACIEJ PIECZYŃSKI pisze o twórczości Daniiła Tulenkowa, Z-pisarza, który stał się gwiazdą prowojennej Z-literatury, choć jego teksty bezlitośnie demaskują największe patologie armii Putina.

K-EW
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa